

65

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

styczeń – marzec 2023



lqi

poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Sylwia Oksiuta-Warmus, foto: Piotr Dłubak

SŁOWO OD REDAKCJI

Bogdan Knop, *Wspomnienie* 3

POŻEGNANIE

Bohdan Zadura, *Pamięć i Wojtek Pestka* 4

WYDARZENIA

Kalendarium: styczeń-marzec 2023 r. 6

Barbara Strzelbicka, *Bez „Korzeni”* 8

LAURÓW WIENIEC

Redakcja, *Uziemiony jubileusz* 9

Janusz Jano Mielczarek, *Antymetria* 9

POEZJA

Wiesław „Kardynał” Wyszyński, *Sokrates* 11

Jacek Szczerbak, *Wojna upojna upiórów historii* 13

Małgorzata Franc, *Inspirowane muzyką* 14

Janusz Strojec, *Różaniec poetycki* 16

Tadeusz Luterek, *Śpiewać nam przyszło...* 19

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Nie budź mnie, proszę* 21

Maciej Rudlicki, *Krople szczęścia* 23

Ida Jadwiga Łubińska, *Sikorka bogata kolorami* 24

Andrzej Ostalowski, *Garbata karawana życia* 25

Anna Jędryka, *Samotność* 27

Zdzisław Opałko, *Bądźmy jak...* 28

Wiesława Owczarek, *Pory roku. Wiosna* 29

Zbigniew Szpruta, *Rocznice* 31

Barbara Strzelbicka, *portret* 33

WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI

Arkadiusz Frania, *Poetyckie za-piski duszy (Jacek „Mikołaj” Olszewski)* 35

PROZA

Adrian Musiał, *Dwie wieże. Dwa świata spojrzenia* 43

Krzysztof Prokop, *202X* 47

Paulina Wysocka-Morawiec, *Kozłowe walentynki* 57

PRZEKŁADY

Teodozja Zariwna, *Miasto bez serca*, przeł. Bogdan Knop 67

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2023 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

CONVERSATIO

*Moc stwarzania metafizycznych światów. Z aktorką Sylwią Oksiutą-Warmus
rozmawia Barbara Strzelbicka* 73

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Wielogłos o sztuce opowiadania 83
 Maria Milewska, *Częstochowianie w Kanadzie* 95
 Tomasz „Aztzenty” Barański, *Z przewodnika turystycznego* 99

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Kłamstwo* 101

HISTORIA W GALERII

Jarosław Kapsa, *Zapomniane...* 106

WIDZIANE Z GALERII. Subiektywna kronika wypadków kulturalnych

Elżbieta Jolanta Gola, *Wystawa Tamary Łempickiej* 111
 Barbara Strzelbicka, *„Książkowanie” po nowemu* 112
 Barbara Strzelbicka, *Mistrzowska fotografia* 113
 Barbara Strzelbicka, *Głosy kobiet* 114
 Barbara Strzelbicka, *Wierszowanie przy kawie* 114
 Tomasz „Aztzenty” Barański, *Kobiece portret* 115
 Artur Gielezy, *Jurajska poezja* 116

NOTY O KSIĄŻKACH

W kręgu Galerii. Antologia opowiadań 117
 Roman Małynowski, *Słodkie życie* 117
 Artur Gielezy, *Rozmyślanie przy kawie* 117

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, *Nasza skrzeczywistość* 119

NOTY O AUTORACH

Teodozja Zariwna 71
 Sylwia Oksiuta-Warmus 82
 Maria Milewska 98

Wspomnienie

NAJBARDZIEJ OKRUTNY MIESIĄC „to kwiecień” pisał w *Ziemi jałowej* T. S. Eliot. Tak – okrutny. 3 kwietnia odszedł Wojciech Pestka – poeta, prozaik, reporter, scenarzysta, mój Przyjaciel.

Zdecydowałem się napisać to wspomnienie, bo mam głębokie przekonanie, że gdyby nie Wojtek – żadnej Galerii by nie było, a gdyby nawet była, to z pewnością beze mnie i zapewne bez Olgi Wiewióry. Wszystkie ważne osoby – ważne dla mnie i dla czasopisma – poznałem bezpośrednio lub pośrednio przez Wojtkę: Jazepa Januszkiewicza, Wasyla Słapczuka, Siergieja Moreinę, Bohdana Zadurę, a poprzez nich kolejne postaci ze świata literatury. Poprzez Jazepę poznałem Uładzimira Niaklajewa, poprzez Bohdana Zadurę – Wołodymyra Jaworskiego i Wasyla Machnę. Z Wojtkiem przyszła też do Galerii Łotwa. A przecież sam początek mojej obecności w Towarzystwie (ówcześnie działającym jeszcze jako LiTWA) wynikał z organizowania przez Wojtkę, z moim udziałem, wizyty pisarzy ukraińskich w Częstochowie. Potem tych wizyt było wiele, aż do ostatniej, w listopadzie 2022 r. – Wasyla Machny, gdy dzięki inspiracji Wojtki konsul honorowy Ukrainy wręczył nagrody literackie Bohdanowi Zadurze i Oldze Wiewiórze.

Wojtek miał tę niezwykłą zdolność łączenia ludzi i wydobywania na powierzchnię ich ukrytych talentów. Był patronem i inspiratorem wszystkich moich (i nie tylko

moich) publikacji, czy to w „Odrze”, „Toposie”, „Twórczości”, „Akcencie”, „Lublinie”, „Protokole Kulturalnym”, czy w „Akancie”. Poprowadził z mistrzowską precyzją mój wieczór autorski przed laty.

Starałem się odwdziżyć – towarzyszyłem jego pisaniu, poczynając od recenzji pierwszego tomu *Dziesięć wierszy dla Grosza* zamieszczonej w „Lublinie”, poprzez omówienie tomu reportażu *Do zobaczenia w piekle*, a ostatnio w „Twórczości” w recenzji *Bezsennych* i eseju inspirowanym apokaliptyczną kresową trylogią (*Do zobaczenia w piekle*, *Gdyby Polacy nie byli Polakami*, *Diabelska maszyna do szycia*) w lubelskim „Akcencie”.

Napisaliśmy wspólnie jedno opowiadanie – *Warsztaty piekarskie* – zabawną humoreskę inspirowaną rzeczywistymi zdarzeniami. To były czasy, gdy Wojtek zdecydował się być zawodowym pisarzem, rzucił dobrze płatne zajęcia i jako pięćdziesięciolatek wykonał skok w nieznaną. Od tamtej pory napisał wiele książek, zyskał wiele nagród, stworzył scenariusz do filmu, a rodzinną Jedlnię uczynił małym centrum kultury i pamięci historycznej.

Są takie chwile, których słowa nie są w stanie nazwać i opisać. Wszystkiego nie opowiem, być może kiedyś zdołam to pomieścić w napisanym.

Wczoraj odszedł. Pisarz. Przyjaciel. Wspaniały, dobry człowiek. Pustka długo pozostanie niezapełniona. Może na zawsze. Żegnaj, Wojtku!

Bogdan Knop,
redakcja Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”
i Towarzystwo Galeria Literacka

Częstochowa, 4 kwietnia 2023 r.

Bohdan Zadura

Pamięć i Wojtek Pestka

(suche kwiaty)

– w Drohobyczu On z kim innym i ja z kim innym, jakby moją wycieczkę organizowało Biuro Podróży „Bruno Schulz i Wspólnicy”, a jego jakieś ukraińskie, ale poznajemy się pod drewnianą cerkwią św. Jura, do której trudno wejść, ale jakoś się wchodzi, gdy kobieta przynosi do niej klucz i zbiera hrywny (i później – parę razy)

– w Warszawie na Wiejskiej, w kanciapie za sekretariatem, kiedy jeszcze paliłem (parę razy)

– w Wilnie na Poetyckim Maju nad Wilią (raz, ale parę dni; również w innych litewskich miastach, a także w Szetajniach)

– w szpitalu przy Spartańskiej (kiedy już nie paliłem, ale jeszcze nie wiedziałem, że nie będę)

– w Lublinie (parę razy)

– w Krakowie raz, więc powinienem pamiętać, z jakiej okazji, a nie pamiętam

– w Puławach, którymś latem, kiedy przywoził swoją teściową na wizytę w szpitalu u okulisty

– we Włodawie

– w Jedlni na grzybach, kiedy jeszcze nie miałem zakazu wstępu do lasu ze względu na kleszcze

– w Częstochowie parę razy (a ostatni w listopadzie 2022, gdy żaden wróbel ani papuga w Hotelu Weneckim nie zaćwierkała, że będzie ostatni)

to głupie, ale w tej chwili jakbym zostawiał na boku telefony i e-maile, rozmowy, przeczytane książki, przekłady, jeden film, który zobaczyłem, chociaż nie wszedł na ekrany, wspólnych znajomych, a męczyło mnie, czy w Warszawie, w której już prawie nie bywam, był u mnie w mieszkaniu przy Kopińskiej

3 KWIETNIA 2023



**Z głębokim smutkiem żegnamy zmarłego 3 kwietnia 2023 r.
Wojciecha Pestkę,**

poetę, prozaika, tłumacza, scenarzystę, dziennikarza, członka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, inicjatora przedsięwzięć społecznych i kulturalnych, istotnie związanego ze środowiskiem lokalnym, założyciela i prezesa Stowarzyszenia Jedlnia, Honorowego Obywatela Gminy Pionki.

Za osiągnięcia literackie i translatorskie został uhonorowany wieloma prestiżowymi nagrodami polskimi i ukraińskimi, odznaczony medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”, Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Był związany z Częstochową – po ukończeniu studiów matematycznych pracował w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wieloletni Przyjaciół, współpracownik i orędownik Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”.

Zespół redakcyjny Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”
Zarząd i członkowie Towarzystwa Galeria Literacka

KALENDARIUM styczeń – marzec 2023



STYCZEŃ

- 7.01. – wernisaż wystawy fotografii i malarstwa braci Janusza i Stanisława Jurów – Galeria 4Arte;
- 11.01. – promocja książki *W kręgu Galerii. Antologia opowiadań*, wydanej przez Towarzystwo Galeria Literacka – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 14.01. – wernisaż wystawy malarstwa Agnieszki Kwapisz-Wolbiś „In memoriam” – OPK „Gaude Mater”;
- 15.01. – zmarł Marek Gaszyński, dziennikarz i autor tekstów piosenek;
- 15.01. – zmarł Janusz Limbach, nauczyciel, kurator oświaty;
- 16.01. – zmarła Gina Lollobrigida, aktorka;
- 16.01. – zmarł Józef Dmitruczuk, ortopeda i lekarz sportowy;
- 17.01. – otwarcie wystawy Karoliny Błaś „Kotyfikacja” – Miejska Galeria Sztuki, Galeria Zwiastun;
- 18.01. – spotkanie autorskie z fotografem Jackiem Kamińskim, laureatem konkursu fotograficznego Klimaty Częstochowy 2022 – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 20.01. – spotkanie autorskie z Rafałem Hetmanem, reporterem, twórcą internetowym – OPK „Gaude Mater”;
- 21.01. – wernisaż wystawy malarstwa Justyny Warwas „Wieloświat” – OPK „Gaude Mater”;

- 27.01. – zmarł prof. Aleksander Krawczuk, historyk starożytności;
- 28.01. – Jubileusz 35-lecia pracy artystycznej Antoniego Rota – Teatr im. Adama Mickiewicza;
- 29.01. – 31. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

LUTY

- 1.02. – zmarł Leonard Pietraszak, aktor;
- 3.02. – zmarł Szewach Weiss, polityk i dyplomata;
- 3.02. – wernisaż wystawy malarstwa Marii Cieślak-Gurgul – OPK „Gaude Mater”;
- 8.02. – zmarł Burt Bacharach, muzyk;
- 10.02. – wernisaż wystawy w 30-lecie twórczości Doroty Jabłońskiej-Gralak „SuperNova” – Galeria 4Arte;
- 10.02. – zmarł Carlos Saura, reżyser;
- 16.02. – wernisaż wystawy Dominika Cierpiała „Mental rape” – Miejska Galeria Sztuki;
- 17.02. – wernisaż wystawy 35. Pleneru Miejskiego ZPAP Okręgu Częstochowskiego „Spójrz w górę!” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 18.02. – wernisaż wystawy malarstwa Artura Wawrzekiewicza „Realizm nie realizm” – OPK „Gaude Mater”;

- 19.02. – „Książkowanie – Biblioteka Główna Politechniki Częstochowskiej;
- 20.02. – wizyta Joe Bidena, prezydenta USA, w Ukrainie;
- 21-22.02. – wizyta Joe Bidena, prezydenta USA, w Polsce;
- 22.02. – „Mgnienie” – spotkanie z fotografem Piotrem Dłubakiem – CSM „Nasza Praca”;
- 23.02. – wernisaż wystawy Mirosławy Truchty-Nowickiej „To” – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 24.02. – 1. rocznica inwazji Rosji na Ukrainę;
- 24.02. – otwarcie wystawy Katarzyny Sterny „Nadal mam walizkę w Berlinie” – MGS, Galeria Zwiastun;
- 25.02. – Musical „Metro” – Koncert Jubileuszowy z okazji 30-lecia premiery – Hala Sportowa Częstochowa;
- 25.02. – słuchowisko Anny Jurgielewicz „Głosy zajmują miejsca” – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej.

MARZEC

- 1.03. – zmarła Aleksandra Otocka, nauczycielka i poetka;
- 2.03. – wernisaż wystawy prac Pauliny Bobak „Nieobecni? Obrazy utkane ze wspomnień” – Miejska Galeria Sztuki;
- 3.03. – spotkanie autorskie z Arturem Gielezym i promocja tomu poetyckiego *Rozmyślanie przy kawie* – OPK „Gaude Mater”;
- 3.03. – wernisaż wystawy Ewy Powroźnik, Marii Cieślak-Gurgul, Ireny Młynarczyk „Trójgłos malarstwa” – Galeria 4Arte;
- 3.03. – zmarł Stanisław Balbus, teoretyk literatury, badacz języka artystycznego;
- 4.03. – wernisaż wystawy malarstwa Dominika Cierpiała „Autodestrukcja” – OPK „Gaude Mater”;
- 4.03. – wernisaż wystawy malarstwa Stanisława Chomiczewskiego „Pejzaż i nie tylko” – Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie „Konduktorownia”;
- 6.03. – wernisaż fotografii Altei Leszczyńskiej „Laleczki” – ROK;
- 8.03. – wernisaż wystawy „Damą być...” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 8.03. – zmarł Chaim Topol, odtwórca roli Teviego Mleczarza w filmie „Skrzypek na dachu”;
- 10.03. – jubileuszowe spotkanie z Jerzym Kędziorą – Miejska Galeria Sztuki;
- 11.03. – wernisaż wystawy Jerzego Klimczaka „Ewokowanie obrazów z lat 2002-2022” – OPK „Gaude Mater”;
- 17.03. – wernisaż wystawy fotografii Andrzeja Zembika „Piaskowe opowieści” – Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyśle;
- 17.03. – zmarła Dubravka Ugrešić, chorwacka pisarka i eseistka;
- 24.03. – zmarł Ireneusz Skubis, nauczyciel i polityk;
- 24.03. – uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej rodziny Brustów i Mielczarków, Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata – MDK;
- 30.03. – zmarł prof. Paweł Śpiewak, historyk i socjolog;
- 30.03. – zmarł prof. Mirosław Perz, muzykolog;
- 31.03. – spotkanie autorskie z Małgorzatą Czyńską, dziennikarką, pisarką, historyczką sztuki, krytyczką dizajnu i kuratorką wystaw – OPK „Gaude Mater”.
- 31.03. – Światowy Dzień Świadomości Autyzmu – recital Agnieszki Łopackiej i Krzysztofa Niedźwieckiego „Kora Jackowska. Poetka” – MDK.

BARBARA STRZELBICKA

Barbara Strzelbicka

BEZ „KORZENI”



Z niepokojem przyjęliśmy wiadomość, że przestanie wychodzić Biuletyn Kongregacji Genealogicznej „Korzenie. Kamienica Polska i Okolice”. Sygnowany numerem 123 (R. XXXII, 4/2022) kwartalnik, słowami Redakcji, składającej się z Iwony Coner, odpowiedzialnej za edycję tekstów i redaktora Andrzeja Kuśnierczyka donosi, iż jest to numer ostatni. Zawarte we wstępnym artykule, zatytułowanym *Podziękowanie – pożegnanie* uzasadnienie jest raczej lakoniczne: wszystko ma swój czas. Biuletyn, oprócz artykułów i fotografii, zawiera wykaz nazwisk redaktorów, autorów i współpracowników, którzy pracowali przez ponad trzydzieści lat ukazywania się czasopisma. Są wśród nich nazwiska osób zamieszkałych w Polsce i na całym świecie.

„Korzenie” dokumentują przeszłość Kamienicy Polskiej i historię zamieszkałych tu rodzin. Współtwórcą i wieloletnim redaktorem czasopisma jest kamieniczaniek Andrzej Kuśnierczyk, który swoje życie i działalność związał z Małą Ojczyzną. Ukończył Liceum Ogólnokształcące w Kamienicy Polskiej, a następnie polonistykę na Uniwersytecie Śląskim oraz Studium Scenariuszowe Wyższej Szkoły Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi. Przez kilkanaście lat związany był z Zakładem Teorii i Historii Kultury Uniwersytetu Śląskiego, gdzie uzyskał doktorat na podstawie rozprawy „Więzi kulturowe w osadzie polietnicznej na przykładzie Kamienicy Polskiej”. Od 2008 r. pracuje jako dokumentalista w Ośrodku Dokumentacji Dziejów Częstochowy w Muzeum Częstochowskim. Pełni funkcję wiceprezesa Towarzystwa Genealogicznego Ziemi Częstochowskiej. Angażuje się w działalność Muzeum Regionalnego w Kamienicy Polskiej, o powstanie którego zabiegał. Jako lokalny patriota ma też szerokie zainteresowania. Jest autorem czterech tomów wierszy, książeczki dla dzieci, tworzy i wykonuje piosenki – solo i z zespołami, robi portrety fotograficzne i rysunkowe, jest miłośnikiem pieszych i rowerowych wędrówek. Został uhonorowany Nagrodą im. Karola Miarki, Statuetką Starosty Częstochowskiego „Za zasługi dla powiatu” oraz Nagrody Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury.

Ceniąc działalność regionalną i popierając inicjatywy służące Małej Ojczyźnie, wyrażamy uznanie za wieloletnią pracę Andrzeja Kuśnierczyka i współpracowników. Mamy też nadzieję, że mimo wszystko uda się znowić wydawanie „Korzeni” – czego serdecznie życzymy.

UZIEMIANY JUBILEUSZ

Z WIEŃCZENIEM OBCHODÓW JUBILEUSZU 75-lecia artysty światowej sławy, jakim bez wątpienia jest Jerzy Kędziora, było odsłonięcie wystawy jego rzeźb, „uziemionych” na tę okoliczność w Miejskiej Galerii Sztuki. Zaprezentowanych zostało kilkanaście prac z cyklu „Sportowcy”, których można było dotykać i wprawiać je w ruch (bez przesady...). Wystawie towarzyszy katalog. W 2022 r. Jerzy Kędziora świętował także 50-lecie uzyskania dyplomu artysty rzeźbiarza. Spotkanie było znakomitą okazją do wręczenia Jubilatowi przyznanego mu przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Towarzystwo Galeria Literacka ma szczególny powód do poczucia związku z Jerzym Kędziorem: w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, gdzie odbywają się spotkania Towarzystwa, przed laty była pracownia Artysty, zaś ogród z ulubioną przez nas w sezonie letnim altaną był miejscem prezentacji rzeźb.

Składamy serdeczne gratulacje i życzenia wszystkiego najlepszego!

REDAKCJA

Janusz Jano Mielczarek

JERZY KĘDZIORA ZAWSZE BYŁ ARTYSTĄ niespokojnym i poszukującym. W 1997 roku jego dwumetrowej wielkości rzeźba być może z przekory zatrzymała się w skoku głową w dół, nie dotykając stopami ziemi. I to ją właśnie w tym samym roku Autor wystawił w Galerii Lonty-Petry, a potem na Wystawie Okręgowej ZPAP w Biurze Wystaw Artystycznych w Częstochowie. To tego rodzaju rzeźby dały początek jego nowemu cyklowi prac.

Kilka lat potem poprosił mnie: „napisz coś dla mnie”. Minęło sporo czasu i dopiero w marcu tego roku przed ważnym dla niego jubileuszem zapytałem, czy jego prośba jest jeszcze aktualna. Potwierdził.

Napisałem.

Antymetria albo rzeczy niemierzalne
Jerzemu Jotce Kędziore

Żeby nie spłonąć w palenisku
roztopionego horyzontu Zachodu
trzeba mieć dłonie wiejskiego kowala
cerowane żelazem,
a pod powieką
krwawiący upór niewolników
– stawiaczy piramid.

Trzeba przekonać Boga,
że wolno ci zatrzymać wody rzek
i poprzez grozy skalnych kanionów
wędrować
w stronę najbliższą Nieba.

10 MARCA 2023 R.





Wiesław „Kardynał” Wyszyński

Sokrates

Urodziwy młodzieniec Chajrefont
zaprosił mnie do Aten
Miałem orzec a priori
kto jest w świecie
najmądrzejszym człowiekiem

Zwracał się wcześniej
do wyroczni delfickiej
ale Pytia akurat
nazbyt się przyćpała

Nie mogłem odmówić
Byłem biegłym przysięgłym interpretatorem
zawiłych wypowiedzi globalnej plutokracji
Potrafiłem czytać pomiędzy wierszami
poetów i odkryć co miał każdy mówca
na myśli nie mając nic do powiedzenia

Wszystkie znaki i dane wskazywały mi że
prawdziwie najmądrzejszy w świecie jest Sokrates
mimo że ten w koło rozpowiadał
że doprawdy nic nie wie że dopiero co
przechodzi z elenktyzmu do sztuki majeutycznej

Nie dałem się zwieść Ogłosiłem werdykt
któremu niestety nie uwierzył nikt
poza garstką wyrostków oraz Chajrefontem

Sokrates się uśmiechnął i mruknął od niechcenia
– *Posiadam pełną świadomość mej niewiedzy*

Zaprosił mnie do domu na skromną kolację –
wino i kogut pożyczony w sąsiedztwie
Był dobroduszny dla bliźnich więc mą duszę
wyposażył natychmiast serdecznie w daimonion
rewanżując się dałem mu płytę Animalsów –
kwilił nad *Domem wschodzącego słońca*
Podśpiewywał pod nosem Na pytanie co sądzi
o muzyce schyłku drugiego tysiąclecia
przed (nie)rzeczywistym potopem wirtualnym
odparł że opinia jest podobna do tej

którą wyraził o łzach Heraklita
– *To co zrozumiałem jest znakomite
a sądzę że jest takie również i to
czego nie pojąłem
Gdybyż nie ten barbarzyński język!*

Gościłem u niego długo by opowiadać
wiedliśmy rozmowy ulicami Aten
bacząc by głupoty nie liczył zaułek
Aż któregoś dnia stał się niebezpieczny
dla państwa religii i autorytetów
śmiertelnie Zgaduj co to przypomina

Byłem z nim w więzieniu Tam pocieszał wszystkich
strapionych na duszy i ciągle się uczył
samego siebie na pamięć na wrywki
odpowiadał przed sobą za życie
Chciał się dowiedzieć cokolwiek o mym kraju
więc opowiadałem nic nie ukrywając
o politykach którzy wiedzą wszystko
najlepiej w świecie i są nietykalni

– *Macie filozofów większych niż Ateny
cała Hellada!* – Skwitował i poprosił
o kielich z cykutą To ja go zabiłem

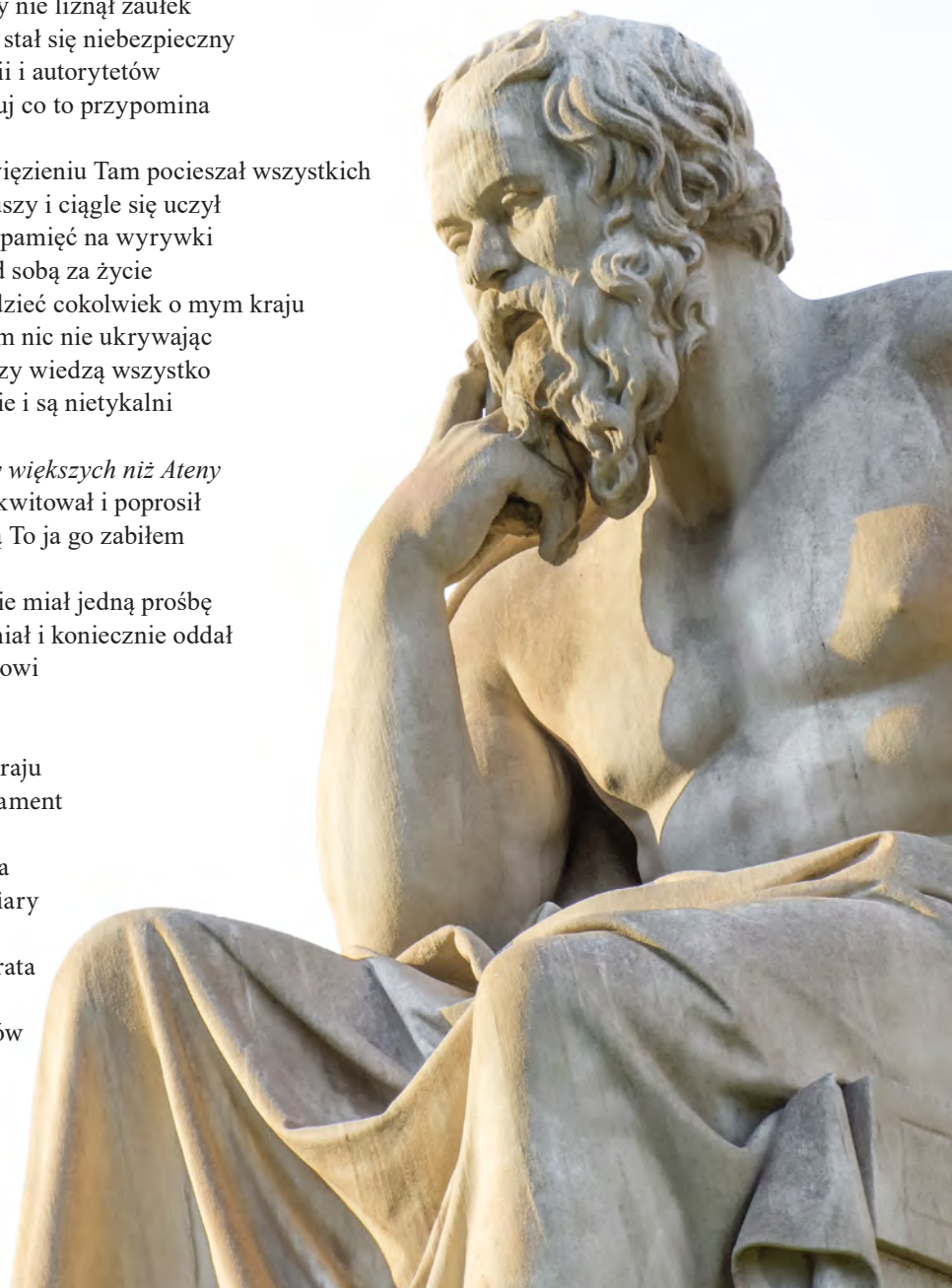
Nim skonał godnie miał jedną prośbę
abym nie zapomniał i koniecznie oddał
koguta Asklepiosowi

*

Po powrocie do kraju
mój ojczysty parlament
podjął rezolucję
w której Sokratesa
pozbawił czci i wiary
i uznał na zawsze
za persona non grata

bibliotek i umysłów

(2000)



Jacek Szczerbak

WOJNA UPOJNA UPIORÓW HISTORII (do przyjaciół Polaków)

Nie poznaję tego kraju,
w którym kiedyś się
urodziłem. Niby wszystko
jest na swoim miejscu
– ulice, kościoły, bo
drzewa już niekoniecznie,
aż dziw bierze, że
to właśnie od drzew
wszystko się zaczęło.

Niektórzy się nie zgodzą
i sięgną pamięcią dalej,
do wycinania z historii
laurek patriotycznych,
jeszcze w czasach
niedemokratycznych,
kiedy wszyscy marzyliśmy
o tym, co mamy teraz,
tylko bardziej na różowo.

Ujeżdżaliśmy tęczowego
jednorożca, krzyżąc
„wolność! pieniąż! ksiądz! seks!”
i tak zajechaliśmy w ślepą uliczkę,
jak dekabryści stoimy
na cienkim lodzie,
uzbrojeni w karabin
marki Łucznik
i w Mickiewicza,
czekamy na odsiecz
napoleońskiej kawalerii
– chyba już jadą,
bo coś się kurzy
na horyzoncie.

Historia wybiła jak szambo
– ciśnienie wciąż zabija
wszystko wokół,
a smród i brzą są
obezwładniające.

Opadają ręce,
wezwanie straży pożarnej
zamiast policji i wojska!
OSP uratuje sytuację,
wcale nie trzeba strzelać,
wystarczy oczyścić szambo.

Małgorzata Franc INSPIROWANE MUZYKĄ

Dwadzieścia siedem

Przy drodze stał
samotny kat
nie liczył burz
minionych lat
gdy w rękach
trzymał topór swój
to rozkołysał
mu się Świat.

To było w deszcz
i silny wiatr
i tylko jęk i tylko
płacz którego
nie usłyszał nikt
bo tylko kat
jak nagły brzęk
rozumiał tej melodii
dźwięk.

27 tylko lat
w których się
rozkołysał rytm
na partyturze
tamtych dni
i nagle zgasł
w lipcowy dzień
gdy kat odnalazł
jego cień.

Kiedyś jak dziecko

Kiedyś jak dziecko
lekko śnił i zawsze
tak porządny był
poukładany chłopak
jak miód ktoś by
pomyślał istny
cud.

Lata mijały włosy
urośli świat nie
wydawał się już
tak prosty kolejna
miłość zresztą też
zabił ją listopadowy
deszcz.

Konto wciąż rosło
zdrowia ubyło
głos nie uderzał
już z taką siłą
lecz wierni fani
liczne koncerty bez
przerwy.

Kiedyś jak dziecko
Świat przemierzał
wszystkiemu ufał
we wszystko wierzył
uwiódł go później
muzyki świat przybyło
lat.

Dlaczego nie...

Zamknij oczy
i zapomnij już
to wszystko jest
niezwykłym snem
gdy się obudzisz
szybko zniknie bo
dlaczego nie.

Zanim odejdziesz
spójrz na nią
jeszcze raz by
obraz twarzy
jej pozostał
w twoim śnie
dlaczego nie.

Tamtego dnia
i tak już nie
zatrzymasz bo
umarł w nas
już tamten czas.

Gdzie dawniej
wiosna była teraz
jest już zima
bo tak już jest
dlaczego nie.

Dlaczego nie...

Blisko nas

Ten odległy ląd
jest tak blisko nas
jak kraj który
boimy się poznać.

Ten daleki dom
jest tak bliski nam
jak pokój do którego
boimy się wejść.

Ten inny człowiek
jest tak blisko nas
jak obojętność
którą go dotykamy.

Ten kto chciałby
być blisko nas
w obojętności i strachu.
Chciałby żyć wiecznie?

Wtedy gdy tańczył

On był wspaniały tak
wtedy gdy tańczył w takt
zapierał w piersiach dech
odważny tak jak lew.

Prawie umieram gdy
w górę podnosi brwi
uwielbiam jego głos
przenika mnie na wskroś.

Lecz jest coś czego
nigdy wam nie powie
choć to nie tajemnica
wierzcie mi

Pod wszystkim tym
ukryty zwykły człowiek
w udęcie wciąż przeżywał
ciężkie dni.

On był wspaniały tak
zapierał w piersiach dech
wtedy gdy tańczył w takt
odważny tak jak lew.

10 MARCA 2023 R.

Janusz Strojec RÓŻANIEC POETYCKI

Część I. Radosna

Tajemnica 1.

Zwiastowanie Najświętszej Maryi Pannie

I tak właśnie zaczyna się świat
i tak właśnie
jestem w wietrze
co łodygi wygina
i w pustynnym piasku
co wędrowca do piersi przytula
i w glinianym domu
co kroplami deszczu spowity
w letniej dziewannie
i w jaśniejącej twarzy
Archanioła Gabriela
oto ja służebnica Pańska
niech tak właśnie zacznie się świat
według słowa Twego

Tajemnica 2.

Nawiedzenie świętej Elżbiety

Wśród tyłu spojrzeń
daremnie szukałam Ciebie
ze wszystkich oczu ogromnych
ze wszystkich uniesień
tak bardzo mi bliskich
przez wzgórze egzystencji
rozbita na kawałki dusza
z zadumą nad sobą
z potrzebą bliskości
przychodzę do Ciebie
Elżbieto
Już nie jestem sama

Tajemnica 3.

Narodzenie Pana Jezusa

Nad rozlewem spokojnych wód
pośród kawalkady gwiazd i komet
w wędrowce planet

i w ruchu wokół własnej osi
gdzie nagietek leśny
złąkł się polnego
w ubogiej stajence
Pan i władca świata
przychodzi do nas
ubogo
bez zbytku i przepychu
w Betlejem

Tajemnica 4.

Ofiarowanie Pana Jezusa

Myśli Twoje
utkane misternie
za ogród pełen oliwek
za trzmielę chrabąszcze i chrząszcze
za planety komety i gwiazdy
za grządki marchewek i pietruszek
modli się mały Jezusek
sprawiedliwy Symeon i Anna
patrzą z niedowierzaniem
to Dziecię
to oczekiwana wśród nas
światłość świata

Tajemnica 5.

Znalezienie Pana Jezusa w Świątyni

Chciałbym odejść od siebie
tak daleko
żebym własnego cienia
nie mógł oglądać
żebym myśli pogubił
wśród prawd półprawd i prawideł
chciałbym ujarzmić dziką naturę
w ruinach oplecionych
nicią pajęczą
muszę na nowo
nauczyć się milczeć i słuchać
trzepotu skrzydeł muszek ważek i trzmieli

gdzie jesteś Janie
z boleścią w sercu
szukali Ciebie Józef i Maryja
gdzie jesteś...
jesteś drogą
jesteś prawdą
jesteś życiem

Część II. Bolesna

Tajemnica 1.

Modlitwa Pana Jezusa w Ogrójcu

Obejmuję Cię
Krzyżu Zbawienny
O ciernista Głowo
Krwawiąca
W Twojej koronie
Miliardy ludzkich cierni
Ojcze nie moja
Ale Twoja
Niech się stanie wola

Tajemnica 2.

Biczowanie Pana Jezusa

Tłumie szydzący
tłumie gardzący
pogarda
Jezusie milczący
Jezusie bezsilny
Jezusie upodlony
do słupa przywiązany
żołnierzu rzymski
biczujący
tłumie grzeszny
tłumie skarłały
przybijasz

Tajemnica 3.

Cierniem ukoronowanie Pana Jezusa

Napoiłeś mnie
piołunem i octem
przyoblekłeś w czerwony płaszcz
z trzcina w rękę
w cierniowej koronie

nazwałeś Królem Żydowskim
i rozkrwawiłeś twarz moją
noc wtedy była
ziemia sunęła z trzaskiem
góry i morza pomieszały miejsca
płuca napełniają
krwią powietrza

Tajemnica 4.

Droga Krzyżowa Pana Jezusa

Skrusz duszę swoją
skrusz twardą
Szymonie
współcierpisz
towarzyszysz
niesiesz drzewo krzyża
cierpi jerozolimka
widząc umęczonego
ociera twarz Chrystusa
bez wahania
o córki jerozolimskie
o matki żony
nie zakrywajcie twarzy
nie lamentujcie
zadbajcie o tych
którzy
mają przyjąć
do mnie

Tajemnica 5.

Pan Jezus umiera na Krzyżu

Eli
lamma sabahtani
Boże
czemuś mnie opuścił
jak przez mrok
widzę
Matkę Umiłowaną i Jana
czuję każdy centymetr ciała
ciało mnie opuszcza
duch się uwalnia
nie rozpaczaj Matko moja
i ty Janie
Boże
czemuś mnie opuścił
czemu

Część III. Chwalebna

Tajemnica 1.

Zmartwychwstanie Pana Jezusa

Broniłem się przed Tobą
 Panie
 długo nie chciałem
 abyś zagościł
 długo przed Tobą
 uciekałem
 w blichtr świata
 nie szukam Panie
 Twych ran
 wierzę że to Ty
 choćbyś i umarł
 żyć będziesz
 Alleluja

Tajemnica 2.

Wniebowstąpienie Pana Jezusa

Jesteś gejerem
 mocą
 Twa łaska na skrzydłach
 ponad komety gwiazdy planety
 nasze myśli jak ptaki
 między ziemią a niebem
 tęskno do Ciebie
 smutno mi Panie
 że odszedłeś od nas
 nasze ścieżki
 krzyżują się w Twoim krzyżu
 patrzymy w niebo
 Ty w domu Ojca

Tajemnica 3.

Zesłanie Ducha Świętego

Jesteś jak fala
 Galilejskiego Morza
 wokół Marii Magdaleny
 Apostołów, Jana Pawła II i Franciszka
 Boże Duchu Święty
 przeprowadź mnie
 przez mroki zakręty
 w ogrody nadziei

w dzień Pięćdziesiątnicy
 ołtarz
 rozkwita słońcem
 i miłosierdziem serca
 dary niebios
 w myślokształtach przestrzeni
 niewyczerpalne

Tajemnica 4.

Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny

Łaski pełna
 Pan z Tobą
 Matko Kwietna
 nagietka ziela polnego
 motyla i chrząszcza
 skąpanego w kroplach deszczu
 Matko Jezusa Betlejemska
 obleczona w słońce
 w raju miłości
 patrzysz zatroskana
 i ronisz łzę

Tajemnica 5.

Ukoronowanie Najświętszej Maryi Panny

Błogosławiona jesteś
 i wyniesiona
 ponad wszelkie stworzenie
 potężna Królowo
 łaski pełna
 Twoja korona
 z paciorków różańca
 odziana diamentem łez
 otulasz ludzkość
 jesteś drogą
 w celi Maksymiliana
 w komorach zagazowanych
 w chuście Weroniki
 w skale Piotra
 w domu Pana

Tadeusz Luterek

ŚPIEWAĆ NAM PRZYSZŁO...

HISTORIA PEWNEGO SNU

Januszowi

Sam Hrabal mi się przyśnił,
wyznaję wam to szczerze,
choć nie jestem skłonny
trzymać się sennych wierzeń,

w barze „Groteska” siedział,
gdzie smakowite piwo,
dym z papierosów gęstniał,
a on twarz miał jak żywą,

bon moty rzucał celne,
najwyraźniej natchniony,
bowiem chciał rozweselić
nudą dotknięte salony,

lub śmieszne krotowile
w myślach z uczuciem pieścił,
by potem je wprowadzać
do swoich opowieści,

sam Hrabal mi się przyśnił,
przyjaźnie patrzył w oczy,
a zatem sny spełnione,
gra słów niech dalej się toczy,

poszedłem jego śladem,
choć był już dosyć daleko,
a słońce nam świeciło
nad pomyślności rzeką,

odtąd z mistrzowskich maksym
korzystam nieprzerwanie,
piszę na ważny konkurs
o snach opowiadanie,

tam wiedzieć będą, komu
słusznie się laur należy,
choć perła na boku często
niedoceniona leży.

ŚPIEWAĆ NAM PRZYSZŁO...

Śpiewać nam przyszło, głośno, bez pojęcia,
jakby nie było innego zajęcia.

nikt z nas nie pytał, jak pieśni układać,
gdyż dobrze wiedział, jak językiem władać.

gdzieś w samotności oraz pośród ludzi
umysł zapalać oraz światło budzić.

i gdy zawodne bywały nadzieje,
na czarnych kartach spisywane dzieje,

śpiew się unosił jakby ziemią władał
i nie osądzał, tylko zapowiadał.

PIĄTE PRZEZ DZIESIĄTE

Andrzejowi Piechockiemu

Czego nie sięgam i co mi umyka
– to świerszcza mowa i jego muzyka.

Inne zdziwienie naturą istnienia
– gdy oczu jasność zdąży w stronę cienia.

Wariacja trzecia – cisza i pustkowie
odosobnieniem, każdy wam to powie.

Kolejna słabość, zwykłe niespełnienie
– to brak własnego miejsca na antenie.

W końcu akt piąty – umysłu walory
bez słów odchodzą, na znak późnej pory.

JEŚLI KTOŚ PYTA...

Jeśli ktoś pyta: „czy do snu daleko?”,
powiedz mu: „każdy z nas jest senną rzeką”,

co oczy mruży, jakby od niechcenia,
gdy słońce wita albo szuka cienia,

kiedy ospale toczy swoje wody,
niesie wraz z nimi łódki oraz kłody,

myślisz: „pracuje tak podczas podróży”,
a ją ta praca najwyraźniej nuży,

niezmiennie jednak zmierza wprost do celu,
nawet nie zaśnie, jak uważa wielu.



Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

NIE BUDŹ MNIE, PROSZĘ!

W bezsenne noce
otulam się
(jak chustą)
twoim oddechem
wnikam w zapach ciała
daremnie czekam na sen
łotrzyk drwi ze mnie
zezuje spod łóżka
chichocze
z tykaniem zegara
w bezsenne noce
upijam się
winem sprośnych myśli

2008 R.

Malinowe sutki piersi
W biel ciała oprawione
(jak korale w srebrze)
smakiem malin dojrzałe
ociekają rosą jego spojrzeń
wzbiera w nich
szalona krew
pulsuje
płonie
parzy
dojrzewają smakiem
rozkoszy

2008 R.

Zażenowany
dotykasz mnie obawą
przed niespełnieniem
zdziwiona
czekam rozpalenia ust
do diabła
ze wścibskim czasem
zatrzaśniemy mu przed nosem
drzwi sypialni

2011 R.

Tyle w oczach co w duszy
tyle w sercu co w dłoniach
podajesz mi siebie
jak filiżankę z porcelany
moje ciało jak dzban
wypełnione
twoją obecnością

2011 R.

Niemalże przed chwilą
rozminęłam się ze zdrowym rozsądkiem
beztrosko
skaczę po kałużach deszczu
burza mnie się nie ima
gromy z błyskawicami wywijają hołubce
chlupocze woda w pantoflach
moknę
rozpływając się w śpiewie
stawowego zarośla
cudownie jest zdziecinnieć
gdy dusza brodą porośla

2011 R.

To nie tak
nie czas przeżuwa nas w zębach
to my
rozpędzeni przez jego ulice
pożeramy sami siebie wypływając
co lepsze kęsy
kumając się za pan brat
z obojętnością
a kiedy dopada nas mrożąca pustka
szukamy w przestrzeni duszy
aniołów miłości
byle tylko na moment
na drgnienie powieki
spojrzeć
w czyjeś roziskrzone oczy

2011 R.

W trawach się posiałeś
szukałam cię o wschodzie
o zachodzie patrzyłam
tylko ziemia na piersiach
tylko zieleń w żyłach
i malin różaniec szkarłatem
krwi rozmodlony w smaku
ust zawiedzionych smakiem
twojego dotyku
w trawach cię zgubiłam
nie chciałeś się odnaleźć
o zmierzchu o poranku
– cóż mi po kochanku co
jak wiatr przemyka i znika
istniejąc jedynie
w mojej wyobraźni

2012 R.

Muśnij mnie oddechem kiedy w sen
zapadam
dziecko we mnie złęknione
poduszka uwiera
twoje usta na krańcu wygrzanego łóżka
obojętne jak wczoraj które
już przebrzmiało

2015 R.

Senne ptaki świtu zaglądną do mojego okna
drżącym brzozom bladym jak śmierć
fantazja wiatru unosi gałęzie a łzy
nocy zakłète w rosie pękają
oddechem ulgi
a ty
wciąż w moim śnie płaczesz się
drażnisz uśmiechem kusisz
spojrzeniem które
pobudza rozpala
zmysły
nie budź mnie proszę
chcę śnić
tego snu nie zamienię
na chłodną rzeczywistość

2023 R.

Maciej Rudlicki
Krople szczęścia

Iść razem
To znaczy umieć się podnieść
Siłą woli, wyciągniętą ręką, perswazją słowa i oczu
Iść razem to znaczy nie dać się zepchnąć z krawędzi życia
Iść razem to znaczy nie zawieść w nadziei, nie zawieść w zaufaniu

Kiedy stanę już mocno na nogi to równie mocno obejmę Ciebie
Nie będą nam potrzebne żadne słowa,
Nie będą nam potrzebne poetyckie metafory
Będziemy oddychać wspólnym powietrzem naszej ciszy
Będziemy łowić w niej każdą najdrobniejszą kroplę szczęścia
To właśnie znaczy iść razem
Idziemy!

2 LUTEGO 2023 R.



Ida Jadwiga Łubińska

SIKORKA BOGATA KOLORAMI

przysiadła na miotanej wiatrem gałęzi
nie, nie – to nie gałąź
spłoszona ucieka
to strach, targający
podartymi rękawami kapoty
Ramię samotnego, trzęsącego się stwora
zagubionego w bezkresnym,
suchym, zimnym łanie
zawierania powietrza
lęk bezduszny, suchy, zimny
nieustępliwie goni, napiera, ściga,
ptaszyna leci do góry
gwiżdżąc woła do błękitnej chmury
ratuj, ratunku!



Małgorzata Domańska, „Strach”, olej na płótnie, 80 x 100 cm

Andrzej Ostałowski

GARBATA KARAWANA ŻYCIA

Słowa

słowa ulatują
w bezkres przestrzeni
ranią
kogo ranić nie chciałeś

osiadają mgłą
na liściach wrażliwości
dławią oddech
bezbronnej duszy

gaśnie słońce
w zaciśniętej dłoni
gasną gwiazdy
pod powiekami
serce drętwieje
w powiewie chłodu
miłość poraniona
o litość nie prosi

na liściach łopianu
spoczęła jej bezwładna głowa
zabiły ją
słowa

luty 2023 r.

Tak zrobię

Szyfowy kamień
dębowymi konarami ramion
na górę wtoczę
siłę wodospadu
marzenia rozbudzę

dojrzałymi ramionami
mowę ust osłodzę
arkan zarzucę losowi
chwycę nadzieję

uwolnię namiętność
w lawie drzemiącą
gwiazdami uplotę
dla miłości posłanie

serce lotem gołębic
zaproszenie zanieś
radosną jutrzenką
przyjdiesz w gości

powitają cię
szczęśliwej duszy trele
urządzimy życiu
huczne wesele

tak zrobię

Człowieku

siedzisz w mej duszy
człowieku
pazurami chciwości
uczepiony

konwalie na trwogę
białymi kwiatami
dzwonią

twoja natura
mgłą pożądania
otuliła konary
drzewa życia

sęp przeznaczenia
już krąży
na upadek czeka
cierpliwie
obierze jestestwo
do białych kości

dusza się wyzwoli
by czas
ślady istnienia zatarał
pozwoli

Pójdę – pobiegnę

ranę w sercu
żywicą zranionej brzozy
zaleję

zwątpienie
kocim krokiem idące
kryjące pazury
w poduszkach delikatności
rozpoznam

księżyc przyjdzie
w odwiedzinach
z prezentem nadziei
radości doznam

północnym wiatrem
chmury rozgonię
niebo w błękit
wystroję

wstanę
ruszę
pójdę
pobiegnę

chwycę szczęście
które czeka

Drobiny życia

w bezlitosnej dla oczu
przestrzeni
w oceanie mroku
błękitna drobina materii
w oazie światła
słońca krąży

tu rozsiadło się
życie
kroplami wody
ziarnkami piasku
ulepiło cząsteczkę
obdarowało myśleniem

zaskoczona
pojąć nie może
po co
dlaczego
na jej pytania brak odpowiedzi

wokół
karuzela nonsensów
kręci się
wszyscy kombinują
i ja też

Garbata karawana

garbatą karawaną życia
przez morze piasku
wzburzonego wydmami lasu
płynę

z piaskowych róż
martwymi płatkami krzemu
splatom bukiet
niespełnionych marzeń
duszonych gorącym wiatrem
ulotnych nadziei

skarabeusz przynosi
garść dojrzałych wiśni
zatapiam suche usta
w karminowym soku
duszę raduję
pocałunkiem fatamorgany
żyję

Anna Jędryka

SAMOTNOŚĆ

BARWY SAMOTNOŚCI

Samotność we dwoje jak niebo bez gwiazd,
jak słońce bez blasku, jak miasta bez nazw.

Samotność we dwoje jak noce bez snów,
jak drzewa bez liści, jak wiosna bez bzów.

Samotność we dwoje jak ptaki bez piór,
jak ogień bez żaru, jak niebo bez chmur.

Samotność we dwoje jak łąka bez traw,
jak słowa bez głosu, jak koncert bez braw.

Samotność we dwoje nie broni się już,
bo miłość przebrzmiała, zmieniła się w kurz.

Samotność we dwoje nie krzyczy, nie łka,
lecz milczy posępnie, jest cicha jak łąka.

5 grudnia 2022 r.

11 stycznia 2023 r.

SAMOTNY

Jesteś samotny wśród tłumu ludzi;
sam spać się kładziesz i sam się budzisz,
sam jesz śniadanie, sam pijesz kawę
i sam odwiedzasz miejsca ciekawe.

Sam spacerujesz, chodzisz do kina,
choć wokół ciebie cała rodzina.
Sam czytasz książki, słuchasz muzyki
i sam podziwiasz słońca promyki.

Sam podróżujesz z jedną walizką –
nieraz daleko, a nieraz blisko.
Sam się strofujesz za wszystkie gafy
i sam wyjmujesz ubrania z szafy.

Sam wdychasz zapach wiosennej ziemi,
sam zbierasz grzyby każdej jesieni,
sam szukasz gwiazdy na nieboskłonie
i sam rozgrzewasz zmarznięte dłonie.

Sam zbierasz muszle latem na plaży,
sam o szczęśliwej miłości marzysz.
A gdy już dosyć masz samotności,
wtedy odchodzisz sam do wieczności...

23 stycznia 2023 r.

Zdzisław Opałko **BĄDŹMY JAK...**

Bądźmy jak słowo
które wierszem lub prozą
uczestniczy w przygodzie zwanej życiem
karmi się dobrem
obmywa prawdą
nie wdzięczy przymilnie
nie rani
przychodzi w porę lub czeka cierpliwie
zawsze coś daje
nigdy nie odbiera
choć kończy się urywa
nie na zawsze umiera

Bądźmy jak muzyka
która z ptasich śpiewników uczy
budować i łagodzić świat
jego sprawy i losy rozpisuje na głosy
drobnych istot
która potrafi melodią strun
otwierać okna
skracać noc i
nawet przez druty mury
tak do serc przenikać
że w nich trwać dźwięczeń będzie
gdy już jej nie słyhać

Bądźmy jak horyzont
który przyjaznym będąc ustaleniem
do poznania nowych miejsc
możliwości perspektyw jakiegoś spełnienia
przyciąga wzrok i marzenia
niczym wytrwały dyskretny towarzysz
przygląda się z uwagą
jak sobie radzimy z lękiem i odwagą
wędrówkę podtrzymuje
z ograniczeń wyzwala
im bliżej daje się poznać
tym bardziej oddala

Wiesława Owczarek

PORY ROKU. WIOSNA

ŚNIEŻYCKI

Pierwszy wiosenny spacer –
przejrzyste śnieżyczki w Twojej dłoni,
przejrzyste niebo, przejrzyste śniegi,
przejrzysta czułość między nami

Kruchy ten lód, który zwieńcza zimę,
kruche śnieżyczki zadziwione światem
i krucha czułość, która zniknęła
gdzieś między wiosną a latem

OGRÓD W KWIETNIU

Więc wszystko od nowa – i żółte żonkile,
które na chwilę wpadłszy do ogrodu
już się żegnają. Pospuszczały głowy,
cicho przemijając odchodzą w niepamięć

Drzewa stoją białe. Drobne kwiaty wiśni
ścielą długi welon. Czasem dołem błysnie
kwiat mleczu zgubiony pośród świeżej trawy,
niezapominajka, kropla rześkiej rosy

Jak na holenderskich dalekich polanach
barwność tulipanów tworzy gęsty melanż
rozlanych kolorów. Skrada się tu motyl,
trzmiel, trójbarwna liszka, oszalała pszczoła

Ogród jest u siebie – i kwiaty, i zioła
dopiero wschodzące, rozedrgane ptaki,
kwitnące porzeczki, samotna konewka
rzucona niedbale obok pustej ławki

WIOSENNY DESZCZ

deszcz na wysokich swych obcasach
leciutko zbiegł po szklanych schodach
i otulony płaszczem chmury
zamykał złote drzwi zachodu

powietrze stało z mokrą twarzą
wdechając fiołki i jabłonie
ciche kałuże zasypiały
wtulając w asfalt chłodne skronie

drzewa szeptały. każdym słowem
raniły ciszę w sennym dreszczu
i wciąż gubiły grube krople
ciepłego wiosennego deszczu

FORSYCJA

Chociaż mało słońca,
choć bure chmury,
a ja – cała w smutkach,
to forsycja ma to za nic,
złoci się kwiatami
w parkach i ogródkach

Kiedy na nią patrzę,
złoci mi się serce
i smutki znikają,
przecież idzie wiosna
forsycjo wspaniała,
z tobą oraz z majem

PIERWIOSNKI

Pierwiosnki – takie kolorowe,
każdemu zawrócą w głowie.
Rozkochają nas w sobie
a potem znikają.
Jak niewierni kochankowie

Ci, co tak kolorowo mówili,
słali kolorowe listy!
Zbladły słowa i barwy
nim pierwiosnki przekwitły...

FIOŁEK

On, tak jak ty,
miał fiołkowe oczy,
On, tak jak ty
wiosną mnie zauroczył,
i tak jak ty,
obiecał,
że z przyszłą wiosną wróci.
Ty, fiołku, wróciłeś,
a On –
On tamtej wiosny mnie porzucił

KONWALIE

W Dniu Matki
od moich dzieci
dostałam piękny bukiet
konwalii
majowych dzwoneczków
o srebrnej barwie

spoglądam na nie przelotnie
gdy stoją na stole przy oknie
i pachną najpiękniej w świecie

a one dzwonią od rana
że mają do przekazania
słowa miłości
od moich dzieci

BZY

Kiedy znów zakwitną
bzy...
ten pan i ta pani
już nie będą w sobie
zakochani

pusta ławka
zatęskni za nimi
a oni
osobni i nieszczęśliwi
szukać będą od nowa
wzruszeń co przepadły
i znikły

powtarzać te same
co zawsze słowa
i w obce
spoglądać oczy
z nadzieją że ławka ciągle czeka
pod bzami co przekwitły

Zbigniew Szpruta

ROCZNICE

ANDRZEJ KORZYŃSKI IDZIE DO NIEBA

anioły śpiewają mu
Witajcie w naszej bajce

niosą go
najwygodniejsze mokasyny świata
(kupił przecież w NRD bagażnik butów
dla małych aktorów Akademii)

nie jest sam

przenika go szczęście
na widok twarzy Przyjaciela

z Andrzejem Żuławskim siedzieli razem
od piątej klasy podstawówki

unoszą go pulpit ławki

na razie podróży towarzyszy dyskretny kosmos *acid house'a*
rytmów *krautrocka* nie mąci Franek Kimono

Janek Wiśniewski – ten z Ballady – przerywa niebieski wiec
kieruje ku niemu wzrok poległych Stoczniowców

Jan Sebastian Bach nie umie ukryć niesmaku:
– Mydełko Fa!

Bóg kontempluje z zadowoleniem:
– Doskonale skomponowane Arcydzieło.

NIE ZAPOMNIJ DOPISAĆ DO CV

Pokolenie Gierka i coca-coli.
Pokolenie koguta, który co teleranek
wskakiwał na płot, żeby obwieścić niedzielę.
Pokolenie kartek na cukier
a potem już praktycznie na wszystko.
Pokolenie stanu wojennego
– ten sztywny pan w czarnych okularach,
co się podobno wypowiadał przed śmiercią
z zabójstwa ks. Popiełuszki, Suchowolca i Niedzielaka.
Pokolenie transformacji
czyli jak nie być panem u siebie.
Pokolenie JP2 – ale badacze mówią,
że się nie udało i nie ma czegoś takiego.
Pokolenie pandemii – no ci młodzi
zdecydowanie szybciej zakładają maseczkę
i zasłaniają nie tylko usta.
Pokolenie wojny na Ukrainie – pierwszej wojny na tym zagmatwanym kontynencie
w XXI wieku:
strach matek, exodus dzieci, grudki ziemi w oczodołach śmierci
i ciała w plastikowych workach
bezwładnie przygotowujące się do podróży na twitterze.

MOGŁO ZDARZYĆ SIĘ WSZĘDZIE

Marieke Lucasowi Rijnwveldowi,

rodzina protestancka z pastorem w tle

wybrzuszenie na pizamie brata a u weterynarza
– ooo!

palec który zbliża się – o Boże! – to nie palec Boga
z fresku Michała Anioła przekazujący iskrę życia

palec nabrzmiewa wdziera się do mózgu
przewierca na wylot

iskra życia eksploduje
rozsadza kopułę ciała

w piwnicy Freud tłumaczy Hitlerowi
że faszyzm wziął się z opresji seksualnej

na zepsute serca Bóg patrzy martwymi oczami

na świat o zmierzchu wypełza niepokój

Barbara Strzelbicka

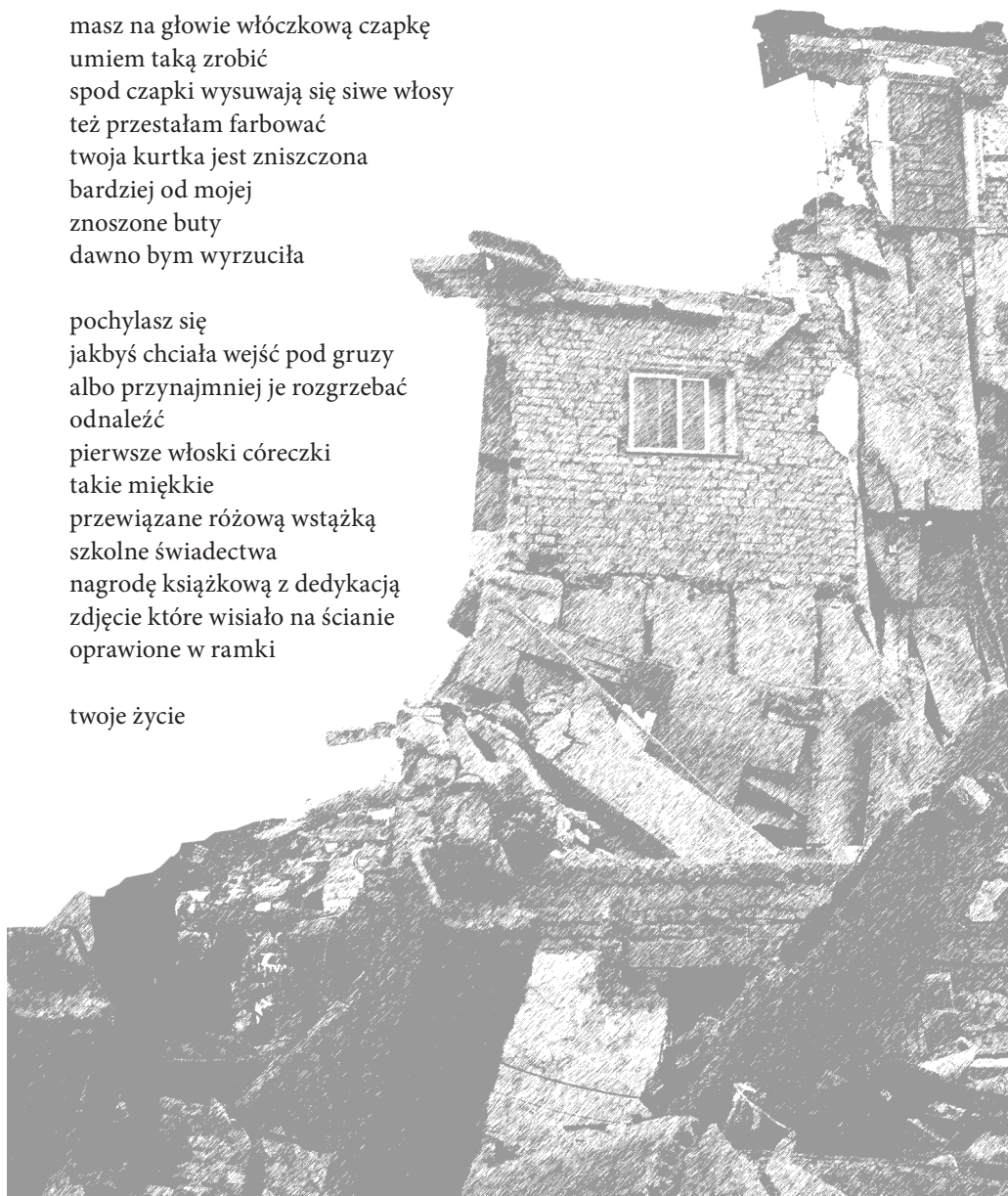
portret

patrzę na ciebie
siedzisz na kamieniu
obok kupy gruzów
to był twój dom
twoje życie

masz na głowie włóczkową czapkę
umiem taką zrobić
spod czapki wysuwają się siwe włosy
też przestałam farbować
twoja kurtka jest zniszczona
bardziej od mojej
znoszone buty
dawno bym wyrzuciła

pochylasz się
jakbyś chciała wejść pod gruzy
albo przynajmniej je rozgrzebać
odnaleźć
pierwsze włoski córeczki
takie miękkie
przewiązane różową wstążką
szkolne świadectwa
nagrodę książkową z dedykacją
zdjęcie które wisiało na ścianie
oprawione w ramki

twoje życie





Arkadiusz Frania

POETYCKIE ZA-PISKI DUSZY

(JACEK „MIKOŁAJ” OLSZEWSKI)

JACEK OLSZEWSKI (1955-1995), UŻYWAJĄCY PSEUDONIMU „Mikołaj” między metrykalnymi danymi osobowymi, był postacią nietuzinkową, oryginalną i w pewnym sensie tragiczną. Urodził się w Częstochowie, działał w organizacjach opozycji demokratycznej, za co w stanie wojennym został internowany. Po wyjściu z więzienia nie odnalazł się w rzeczywistości PRL-u i w 1985 roku wraz z żoną i dwojgiem dzieci wyemigrował do Kanady. W słodko-gorzkiem życiorysie napisał: „otarłem się o politykę, co skończyło się więzieniem, lecz czas ten wspominam radośnie. Po odsiadce rzuciło mnie za ocean, tam przeżyłem dużo”¹.

Do Polski i miasta urodzenia wrócił po sześciu latach, by odcisnąć swój artystyczny ślad w życiu literackim Częstochowy jako wydawca², plastyk, rysownik, grafik, a także pisarz³. W nieco ironicznym *Słowniku biograficznym niektórych częstochowian i atrakcji kulturalnych Częstochowy wraz z najbliższą okolicą* pod hasłem „Mikołaj” znajdziemy jednak bardzo poważną „definicję” tożsamościową: „Artysta Jacek Olszewski (1955-1995)”⁴.

Władysław Edward Piekarski przywołał postać twórcy w kontekście częstochowskich działań w „stylu bohemy artystycznej”:

Z perspektywy czasu chwile z „Mikołajem” nabierają innego wymiaru, innego koloru. Zostały wspomnienia kilku wspaniałych momentów w stylu bohemy artystycznej... i pewien niedosyt... że już Go nie ma, że nie obudzi mnie o piątę rano telefonem albo domofonem z propozycją, żeby iść na wódkę, albo z pretensjami na jakiś wydumany temat. Żal⁵.

- 1 J. „Mikołaj” Olszewski, [życiorys], [w:] *Jacek „Mikołaj” Olszewski* [katalog], Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie, Częstochowa [b.r.w., prawdopodobnie 1996], [s. 6]. Dalej cytując teksty z tej publikacji, używam skrótu „K”, po którym w nawiasie kwadratowym podaję numer stronicy (w książce brak paginacji). Marian P. Rawinis wspominał brawurową, a właściwie nonszalancką próbę ucieczki przyszedłego pisarza z „więziennej budy” 8 maja 1982 roku sprzed budynku sądu w Katowicach: „W którymś momencie, przejęty świadomością, że z milicyjnej broni mogły jednak paść strzały, a nie padły tylko dlatego, że plac był pełen przechodniów, zapytałem Mikołaja, po diabła zdobył się na taki numer, o którym nawet głupek wie, że nie mógł skończyć się powodzeniem. Popatrzył na mnie tym swoim ironicznym spojrzeniem i wyszczerzył zęby w uśmiechu: – To dla jaj – powiedział wyjaśniająco. – Wiosną powinno być wesoło” (M.P. Rawinis, *Mikołaj biegnie przez plac*, K[12]).
- 2 Nakładem Wydawnictwa Mikołaja w Częstochowie ukazały się moje dwa pierwsze tomiki wierszy zawierające juvenilia: *na przykład mnie nie ma* (1994) i *powiedz mi siebie* (1995). Ten ostatni zbiorek Mikołaj ozdobił swoimi grafikami.
- 3 Życiorys J. „Mikołaja” Olszewskiego i wskazówki bibliograficzne można znaleźć w cennej pracy W.E. Piekarskiego i Z. Stańczyka: *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, Wydawnictwo WIKSTAN, Częstochowa 2006 [seria „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 264-265.
- 4 *Mikołaj* [hasło], *Słownik biograficzny niektórych częstochowian i atrakcji kulturalnych Częstochowy wraz z najbliższą okolicą*, Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria” nr 10/11, kwiecień-czerwiec 1996, s. 28.
- 5 W.E. Piekarski, „*Mikołaj*” i „*miniGaleria*”, Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria” nr 10/11, kwiecień-czerwiec 1996, s. 4. W opinii Piotra Głowackiego, J. „Mikołaj” Olszewski inspirował klimat „specyficznej artystycznej cyganerii Częstochowy” (P. Głowacki, *Jacek Olszewski*, K[5]).

Jarosław Kapsa w 2013 roku poświęcił poecie wspomnienie:

Mikołaj był wikingiem, z wyglądu, z charakteru, z tęsknoty za odkrywaniem obcych lądów. W związku z powyższym ciasno mu było na świecie, gdzie samoloty wyparły drakkery, a garnitury zastąpiły zbroje.

Mikołaj tworzył sam siebie i było to równie interesujące, a może bardziej, niż jego twórczość plastyczna lub literacka⁶.

Za życia częstochowski twórca opublikował tylko jeden druk zwarty – zbiór krótkich tekstów pt. *Opowiadania Mikołaja*⁷, dlatego w powszechnej opinii funkcjonował właśnie jako prozaik, łączący realizm z groteską, ale – jak dowiodły materiały wydobyte z papierów pośmiertnych i częściowo upublicznione – pisał również wiersze.

Wielowymiarowy portret Jacka „Mikołaja” Olszewskiego przyniosła wystawa zorganizowana w pierwszą rocznicę jego śmierci w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie w kwietniu 1996 roku. Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny „Aleje 3” anonsował: „Wystawa «memorialna» [...] Przybliży ona osobę Jacka, jego działalność (m.in. edytorską) i twórczość literacką”⁸. O artystycznych wcieleniach wyłaniających się z tej ekspozycji pisał Jarosław Kapsa w artykule *Wystawa Mikołaja*:

Żadna prezentacja do końca nie odpowie, kim był twórca. Prezentacja w Galerii jest jakby portretem, w dodatku portretem nietypowym, nakładającym na siebie rysy Mikołaja z różnych okresów życia. Mikołaj jako plastyk odkrywający tradycję dawnej sztuki. Świetne kopie sarmackich ryngrafów, portretów trumiennych, rembrandtowski kształt portretu starego Żyda. Forma tradycyjna sąsiaduje z poszukiwaniem form nowocześniejszych. Portrety córki artysty, Moniki, od kształtu nawiązującego do stylistyki Wyspiańskiego, po naśladujące Kandinsky’ego deformacje. Podobna wielokrotność poszukiwań widoczna w grafice komputerowej... Obok zaś inny obraz Mikołaja. Dziennikarz, prozaik, obrazoburca i prowokator estetyczny (godne tu uwagi jest przygotowywane do druku pismo satyryczne „Jajo”) i równocześnie liryk, delikatną kreską opisujący naturę człowieka. Przy późniejszych formach literackich aż trudno uwierzyć, iż był on jednym z pokolenia „styropianu”, działaczem Ruchu Młodej Polski, więźniem politycznym czasu stanu wojennego, wydawcą polonijnej prasy w Kanadzie⁹.

Wystawie towarzyszył okolicznościowy, cytowany już przeze mnie katalog, który zawierał:

1) w części przedmiotowej: biogram opracowany przez Piotra Głowackiego, cztery wspomnienia (Sylwii Psuj – tekst bez tytułu, Tadeusza Gierymskiego *Wspomnienie jeszcze nie zetlałe*, Wiesława Wyszyńskiego *Mikołaja Olszewskiego przypadek*, Mariana P. Rawinisa *Mikołaj biegnie przez plac*), trzy zdjęcia przedstawiające artystę;

6 J. Kapsa, *Zaduszki literackie. Jacek Mikołaj Olszewski*, Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 28, październik-grudzień 2013, s. 12.

7 J. „Mikołaj” Olszewski, *Opowiadania Mikołaja*, Wydawnictwo Mikołaja, Częstochowa 1993.

8 *Kronika. Wystawy*, Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny „Aleje 3” nr 2, luty-marzec 1996, s. 4.

9 J. Kapsa, *Wystawa Mikołaja*, „Gazeta Częstochowska” 1996 nr 16 (18-24 kwietnia), s. 15 [dodatek informacyjno-publicystyczny „Notatnik Kulturalny” 1996 nr 4, kwiecień].

2) w części podmiotowej: życiorys pióra samego pisarza, reprodukcje dwóch olejnych obrazów na płótnie (*Indianin*¹⁰, *Bez tytułu*), trzy grafiki oraz cztery opowiadania (*Dobra książka; Lunatyk, czyli obrazek surrealistyczny w tonacji LU; Kontroler; Ozdrowiciel*), a także sześć liryków: *Dadzą ci?, Ze spuszczoną głową powoli, To niewielki szept, zulu gula, Trudna mowa, Jak?* (ten ostatni utwór funkcjonował później bez tytułu, incipit ****(Przepiłem cały dzień)*).

W 1996 roku redakcja Częstochowskiego Pisma Artystycznego „miniGaleria” w dziale „Pro Memoria” przedstawiła 7 liryków Jacka „Mikołaja” Olszewskiego¹¹, które w 2002 roku weszły w skład 15-elementowej poetyckiej prezentacji na kartach książki *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975-2001*¹². Biorąc pod uwagę pięć nieprzedrukowanych z katalogu liryków, ogółem dysponuję bazą 20 wierszy.

Warto podkreślić, że Tadeusz Gierymski we wspomnieniu pierwszego spotkania z pisarzem dostrzegł pewien jego rys liryczny:

O wiele ode mnie młodszy, chłop na schwał, potężnie zbudowany. Tylko głos miał cichy, o wysokiej tonacji, zupełnie niepasujący do potężnej postury. Poeta, filozof? – pomyślałem¹³.

Z kolei Wiesław Wyszyński skomentował, że przyjaciel „potrafił być prześmiewczy, ale i liryczny”¹⁴. Tadeusz Gierymski opowiadanie *Noc w górach* określił jako „wyjątkowo liryczną scenkę”¹⁵, przepiszmy więc z niej początek rozmowy oblubińców:

Leżeliśmy na trawie. Trawa była wilgotna. Noc także niezbyt ciepła – jak to w górach. Ale grzaliśmy się własnymi cieniami, wtuleni w siebie głęboko. W przerwach między pocałunkami obserwowaliśmy gwiazdy, czekając na to, która nagle rozbłyśnie i zgaśnie nagle jak się pojawiła. Mieliśmy swoje skryte marzenia. Ja myślałem – „Niech nasza miłość zostanie na zawsze”¹⁶.

- 10 Być może pierwowzorem tego portretu stała się postać przywołana przez częstochowskiego pisarza w tekście: „Najmilej wspominam okres, gdy poznałem Indianina Joe. Joe był malarzem. W pogodne dni siedzieliśmy sobie na skwerku w Vancouver – Joe malował, ja rysowałem” (J. „Mikołaj” Olszewski, [życiorys]).
- 11 J. „Mikołaj” Olszewski, *Łzy, Twarze, Pomalowałbym, ***(Daj mi jeszcze jedną szansę), ***(Przepiłem cały dzień), Maj ciepły, Przechodzień* [wiersze], Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria” nr 10/11, kwiecień-czerwiec 1996, s. 1, 3, 4.
- 12 Tenże, *Łzy, Do Kaśki, Twarze, ***(co powinno być?), ***(chciałbym mieć wszystko), ***(Kto chciałby żyć wiecznie?), ***(Chciałbym, żebyś wiedziała wszystko), Pomalowałbym, ***(Daj mi jeszcze jedną szansę), ***(Przepiłem cały dzień), ***(Kto to jest, do kurwy nędzy), Chcę, Przechodzień, Miłość, Maj ciepły*, [w:] *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975-2001*, część II, oprac. i red. W.E. Piekarski, Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2002 [seria „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 193-199. Cytując liryki z tej Antologii, używam skrótu „PC”, po którym podaję numer strony.
- 13 T. Gierymski, *Jacek „Mikołaj” Olszewski*, [w:] tegoż, *Miscelanea literackie*, Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie, Częstochowa 2005, s. 129.
- 14 W. Wyszyński, *Mikołaja Olszewskiego przypadek*, K[11].
- 15 Jan Yor [T. Gierymski], *Opowiadania Mikołaja* [rec. *Opowiadania Mikołaja*], „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1994 nr 24 (3 lutego), s. 9.
- 16 J. „Mikołaj” Olszewski, *Noc w górach*, [w:] tenże, *Opowiadania Mikołaja*, s. 40. „Rozstrzygnięcie” cytowanego tekstu zaprawia go humorem, gdyż wyznanie miłości z górami w tle jest udziałem pary starszych osób: „Przeciągnął się rozkosznie. Zamknął oczy i mruczał jak kot. – A mówiłam! Teraz cię muszę smarować kamforą. Ja! – w wieku 78 lat. Trzeba było wziąć wtedy chociaż koc” (s. 40).

Co ciekawe, kilka zidentyfikowanych przez Tadeusza Gieryskiego na podstawie lektury opowiadań Jacka „Mikołaja” Olszewskiego cech można odnaleźć również w jego wierszach. Wymyślmy uwagę:

[Jacek „Mikołaj” Olszewski] ma [...] skłonność do bawienia się słowem [...], przedstawiania i psucia prawideł klasycznej kompozycji, zaskakiwania czytelnika surrealistycznym oglądem rzeczy, a zwłaszcza niespodziewaną puentą¹⁷.

Wskażmy teraz niepowstrzymany pęd zabawy lingwistycznej w stylizowanym na fraszkę tekście *Do Kaśki*:

Zakaśnąłem się w Kaśce
 Kaśka kaśknij
 śnij w Kasi
 Kasi śnij
 skończyło się kasiowanie
 sny się powinny skończyć
 Kaśka powinna kaśnąć
 Kasia powinna zakasować,
 kaśknąć, kwiknąć, katapulśnąć
 i... Kocham Kasię!
 (PC193-194)

czy też w utworze *Maj ciepły*, którego *coda* ku zaskoczeniu czytelnika „zdradza”, że obiektem romantycznych zachwyty jest nie dziewczyna, ale... krowa:

Leżała z podkurczonymi nogami
 I nieubrana
 A piękna, dojrzała pierś
 Pulsowała delikatnie
 Nogi pokryte delikatnymi włosami
 Duże, marzące oczy
 przesłonięte zakręconymi rzęsami
 Patrzyły na mnie z zaufaniem
 I rozmarzeniem
 Zjadłem kawałek mięsa
 Ona była wegetarianką
 jadła te swoje rośliny zielone
 [...]
 Powiedziałem delikatnie:
 No chodź Krasulo
 Pora cię wydoić
 (PC198-199).

¹⁷ Jan Yor, dz. cyt.

W obrębie dadaistyczno-ekspansywnej strategii z nurtu „wieży Babel”¹⁸ zlokalizowałbym wiersz *zulu gula*:

nigdy
nigdy, przenigdy
never ever
nikagda
zulu gula
nie rób
to co nie powinno
zasianie być¹⁹.

Autor *Rosy i rdzy* zanotował również, że Jacek „Mikołaj” Olszewski „wśród swych najbliższych przyjaciół z reguły tryskał humorem, żartem, paradoksalnymi odzywkami”²⁰. Omiawiany twórca bawił się życiorysem: „Skończyłem 78 rok życia, lecz ludzie mówią, iż nie wyglądam”²¹. Także Piotr Głowacki nawiązał do paradoksalnej natury przyjaciela: „Zawsze młodzieńczy i «niepoważny» jak na przybywające w szalonym tempie lata. Do granicy niemożliwości obracający wszystko w żart i dowcip, był poważnym człowiekiem”²². Władysław Edward Piekarski konstatował zaś humor i „humory” współtwórcy pisma „miniGaleria”: „W tym czasie poznawałem «Mikołaja». Jego specyficzne poczucie humoru, jego «humory», kompleksy. Snuliśmy plany, co dalej. W jakim kierunku «iść»”²³.

Wiersze Jacka „Mikołaja” Olszewskiego traktowałbym nie jako dzieło zamknięte, skończone, gotowe, ale raczej w kategoriach zapisków, dokumentów lirycznych, szkiców wymagających jeszcze pewnych zmian i poprawek. Władysław Edward Piekarski – redaktor, który podał teksty Olszewskiego do druku – zmagał się z dylematami dotyczącymi kształtu niektórych liryków wydobytych z rękopisów. Porównajmy edycje z 1996 roku („miniGaleria”) i 2002 roku (antologia *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków*). Wersja utworu *Twarze* w Antologii została wzbogacona o drugą „Obrzydliwą twarz”, dzięki czemu tekst zyskał na emocjonalności, z kolei zaimek we frazie: „W końcu – przy swojej twarzy” w 2002 roku przybrał postać formy krótszej (skondensowanej?): „W końcu – przy swej twarzy”. Pozostaje jednak pytanie, czy to celowe działanie, korekta edytora, czy zwykła nieuwaga, przeoczenie, błąd składu. Podobne wątpliwości można odnieść do niezbieżności w zakresie stosowania w niektórych utworach wielkich liter na początku wersu (np. w tekście *Pomalowałbym*).

Na podstawie zachowanych wierszy, nieraz ocierających się o zapisy brulionowe, należy wyciągnąć kilka wniosków. Cechą dominującą jest, według mnie, pewne rozgorączkowanie czy nerwowość pióra, jakby na jego czubku drżała rozhisteryzowana dusza, pragnąca jak najszybciej wydobyć się na powierzchnię kartki. Tadeusz Gieryski pisał: „[Jacek „Mikołaj” Olszewski] Niechętnie mówił mi o sobie, toteż najłatwiej rozprawialiśmy o pisaniu, egzystencji ludzkiej, niemożliwości zbliżenia się do ideału. Mikołaj przeszedł przecież też już dawno swoją

18 T. Gieryski wytknął pisarzowi kreatywne podejście do zasad składni języka polskiego: „wprost w oczy mówiłem mu o zdarzających się lapsusach stylistycznych, nonszalancji, jeśli chodzi o prawidłowość budowy zdań” (T. Gieryski, *Jacek „Mikołaj” Olszewski*, s. 130).

19 J. „Mikołaj” Olszewski, *zulu gula* [wiersz], K[23].

20 T. Gieryski, dz. cyt.

21 J. „Mikołaj” Olszewski, [życiorys].

22 P. Głowacki, *Jacek Olszewski*, K[5].

23 W.E. Piekarski, „*Mikołaj*” i „*miniGaleria*”.

smugę cienia”²⁴. Wiersze były więc platformą, dzięki której wrażliwość autora komunikowała się z innymi ludźmi.

Bohater tych liryków „ulega” alienacji. W utworze *Łzy*, otwierającym prezentację dorobku poety w przywołanej Antologii, czytamy: „nie dotykaj moich łez” (PC193); za tym krzykiem kryje się potrzeba czułości, współ-czułości, pragnienie uczuć, u-czuć, w-czuć, po prostu miłości; przecież to ostatnie słowo w poczwórnym zapisie wprowadza nas w stan psychiczny konfesji:

miłość
 miłość
 miłość
 miłość
 a potem rozstanie
 P.S.
 kocham Monikę i Mikołaja
 (*Miłość*, PC198).

Multiplikacja „miłości” tylko podkreśla głód uczuć trawiący podmiot liryczny. Zauważamy swoiste spalanie, żar, emocje wulkaniczne, erupcyjność poprzedzającą pożegnanie partnerów. Pochylmy się nad *sensu stricto* erotykiem dedykowanym partnerce życiowej, Sylwii Psuj: „a szeptać to ładniejsze [słowo] / a najpiękniejsze / to / kochać”²⁵. Znamienne, iż w cytowanym wcześniej poetyckim liście znajduje się postscriptum zawierające wyznanie miłości – tak mi się wydaje – do dzieci, jakby tylko latorośle były warte ciepłych odruchów serca.

Odosobnienie współbrzmi z motywem twarzy, stającym się sygnałem braku akceptacji „ja”:

Widzę twarz skrobaną
 Twarz skrobaną żyłką
 Obrzydliwa twarz
 Obrzydliwa twarz
 Rozbijam lustro
 Ale ona odbija się w szybach
 Rozbijam wystawy
 Ale ona odbija się w kałużach
 Mączę wodę butem
 Ale deszcz ciągle pada
 (*Twarze*, PC194).

W tym utworze dominuje lęk, niepewność, brak zgody na własne jestestwo, bo jakże trudno podmiotowi pogodzić się z sobą, oswoić mentalną biografię. Gdzie indziej natkniemy się na czterowers: „Bo dalej nikt nie przytuli ciebie / Bo dalej nikt nie da ci w twarz / Bo dalej dadzą ci w ryj / Bo dalej dadzą ci w pysk”²⁶.

Z nadpobudliwością emocjonalną skojarzyć można wulgaryzmy, niełamające zasad dobrego smaku, choć wykraczające poza zwyczajową ekstrawagancję, podszyte pewną, tłumioną agresją:

24 T. Gieryski, dz. cyt., s. 129.

25 J. „Mikołaj” Olszewski, *To niewielki szept* [wiersz], K[22].

26 Tenże, *Dadzą ci?* [wiersz], K[4].

pytasz mnie [...] co się mogło zdarzyć przez
tysiąc lat?
chuj stale stoi
cipa się napręża...
czy to są czary?
(****(co powinno być?)*, PC194-195)²⁷.

To nie jest zatem kabotyństwo i brak dobrego wychowania, lecz wołanie o pomoc, gdyż podmiot liryczny sam nie może dojść z sobą do ładu, a panujący w jego sercu chaos wyrzuca poetycki diagram niczym symptom zespołu Tourette’a:

Kto to jest, do kurwy nędzy
na zawsze?
Ja nie jestem.
A kto chce być?
To jest jakiś rodzaj czarów!
Ktoś chce żyć na zawsze
Po co to komu?
Ludzie – zastanówcie się –
to nie ma sensu
idę do grobu!
(****(Kto to jest, do kurwy nędzy)*, PC197).

Wołanie „Daj mi jeszcze jedną szansę” (frazą będąca incipitem, PC196) jawi się jako modlitwa do Boga, choć bohater tyle już czasu zmarnował i znowu nie potrafi zrozumieć przyczyn sytuacji granicznej: „Przechodzę przez koniec / jaki koniec? / Koniec czego? / Nie da się przejść!” (*Przechodzień*, PC198). Pozostaje nihilizm, pustka: „co powinno być? / Co jest? / Nie ma niczego!” (*Twarze*, PC194), a także niepokój: „Zaniemowił mówiący / powiedział niemówiący // Wiem, że coś się stało / Nie wiem kiedy”²⁸.

Podmiot liryczny spisuje biografię, z której wynika, że doświadcza bólu egzystencji: „Przechodzę przez miłość / Przechodzę przez nadzieję / Przechodzę przez współczucie / w gumiakach” (*Przechodzień*, PC198), nieraz bohater zbliża nas do przeżyć alkoholowych: „Przepiłem cały dzień / ale był to dzień warty przeżycia / albo przepicia / Nikt nie miał tak wspaniałego dnia” (***(*Przepiłem cały dzień*), PC196), „ze spuszczoną głową powoli / idzie koleś z życia niewoli / pod murem, po cichu / po niewielkim kielichu”²⁹.

Trwa więc, połączona z rezygnacją, ciągła walka o siebie, a zniechęcenie miesza się z chęciem. Kilka miejsc poetyckich emituje przecież niemal krwiożercze nienasycenie: „chciałbym mieć wszystko” (frazą będąca incipitem, PC195), w liryku *Chcę* czytamy zaś:

Chcę wszystkiego
i chcę to teraz!

27 T. Gieryski opowiadaniom Jacka „Mikołaja” Olszewskiego przypisał przymioty realistyczno-naturalistyczne: „autor wypowiada swe myśli o życiu, ludziach – nie językiem dyskursywnym, lecz zawsze przez konkret, opis materii. [...] Autor bowiem [...] może zbyt nadmiernie lubuje się w przedstawianiu człowieka z całą jego fizjologią, potrzebami i czynnościami ciała jako takiego” (Jan Yor, dz. cyt.).

28 J. „Mikołaj” Olszewski, *Trudna mowa* [wiersz], K[24].

29 Tenże, *Ze spuszczoną głową powoli* [wiersz], K[20].

Chcę wszystkiego
i to teraz!
Chcę wszy...
teraz będę się drapał
(PC197).

Bodaj raz poeta nawiązuje do profesji plastycznej, gdzie wyraża niewiarę w sens sztuki, skoro malowanie „To marnowanie farb!”, a obraz sprzedałby „za tyle / albo za byle co” (*Pomalowałbym*, PC196).

Rolę podsumowania niniejszych refleksji znakomicie spełni piękny utwór Tadeusza Gierymskiego *Epitafium* dedykowany Jackowi „Mikołajowi” Olszewskiemu:

Mikołaju od wierszy, prozy i malunków,
od Sylwii, piwa, Kanady i trunków,
czemuż tak nagle uciszył się, zastygł,
i popłynął tym czołnem – co przewozi za Styks³⁰.

30 (tg) [T. Gierymski], *Epitafium* (pamięci Jacka Olszewskiego), *Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny „Aleje 3”* nr 6, październik-listopad 1996, s. 23.



Adrian Musiał

DWIE WIEŻE. DWA ŚWIATA SPOJRZENIA

JEDNE NICZYM ZAWODNICY W WYŚCIGACH FORMUŁY pędziły szybciej, niż potrafili, próbując wyrwać przestrzeni cenne metry, a czasowi ukraść choćby sekundę. Biorąc udział w tym szalonym maratonie, w którym dystans nie był symboliczny, a cel mało miał wspólnego z miłosierdziem. Sunęły potykając się o wcale nierówną powierzchnię wybrukowanej ulicy, pozbawione gracji i estymy, byle tylko przed siebie, byle tylko do mety. Inne, z właściwą sobie pewnością siebie i nabytą umiejętnością stawiania ponad innymi, przemierzały utarty już przez innych szlak, by nie narazić się na choćby przypadkowe potknięcie. Nieskazitelne, porażające swym blaskiem. Zwracały na siebie uwagę, czerpiąc nieklamana przyjemność z przypadkowych i tych zupełnie zamierzonych spojrzeń przechodniów.

Za nimi z kolei szły te, które czasy świetności mają dawno za sobą. Przeszłość odcisnęła na nich swoje piętno, a każde przeżycie zapisane było w karchach i załamaniach, niczym w zmarszczkach pojawiających się na twarzy. Zatraciły się w swym pierwotnym kształcie, zdeformowały, są jakby mniej wyraziste, bardziej szare, nieco przechylone na jedną stronę, ale jednak wciąż dają radę. Zmęczone, utrudzone, przygniecione ciężarem upływającego czasu wciąż idą, by nie zatrzymać się na zawsze. Naprzeciw nim wyszły inne, pełne radości i młodzieńczej energii. Barwne, kolorowe, bez troskie, niewielkich rozmiarów. Suną w lekkości niczym baletnica w tańcu. Próżno na nich szukać kurzu codzienności i zmarszczek. Zaczynają dopiero swoją przygodę, chłoną przestrzeń, bawią się nią, chciałyby się powiedzieć, czynią sobie ziemię poddaną. Są pełne nadziei, nie wiedząc jeszcze, że o ile dziś należy do nich, to jutro jednak niepewne.

Z bocznej uliczki wychodzą z kolei te, których pokora jest drugim imieniem. Skromne, bez zbędnych ozdobników i markowych logotypów, idealne na upalne dni. Wiatr z powodzeniem może przenikać ich przestrzeń, przynosząc ulgę w wędrowce. Praktyczne, a jednocześnie wygodne. Czego więcej trzeba, żeby przejść przez życie. Nie mogło też zabraknąć kusicierek, które jak biblijna Ewa wodzą na pokuszenie Adamów, którzy pożądamy ich wzrokiem. Idą zgrabnie, jedna za drugą, z gracją flirtując nawet z betonem, który stał się czerwonym dywanem – muskają go niczym największe gwiazdy Hollywoodu.

Buty. To właśnie na nie każdego dnia spogląda Piotr, spędzając popołudnia na miejskiej ławce. Zaprzyjaźnił się z nimi. Wiele z nich mija go codziennie, niejako trącając. Przywołują wspomnienia, te dobre i te złe. Patrząc na nie, czuje się mniej samotny. Choć nie jest sam. Z jednej strony spogląda na niego urokliwa dziewczyna, naznaczona przez życie, której serce przepełnione pragnieniem miłości było zdecydowanie zbyt krótko. Pozostawiła jednak po sobie słowo, które okazało się nieśmiertelne, choć przewidywała, że podobno ma umrzeć jak wielu przed nią ludzi. I umarła. A w zasadzie przysiadła na tej ławce. I tak jak Piotr obserwuje tych, którzy ich mijają i ich buty. Spogląda także nieśmiało na siedzącego naprzeciw mężczyznę. Wymieniają ze sobą zalotne spojrzenia, choć pewnie nigdy się nie spotkali. Elegancki, wygląda jakby czekał na randkę ze znaną lub nieznaną dziewczyną. Lekki uśmiech i ten blask w oczach, niestety już zastygły, choć kiedyś łamał serca, pociągał. Był tym, który zabiera bogatym, by obdarować biednych. A sam dzielił się tym, co miał najcenniejszego, emocjami, które na scenie wywoływały śmiech, płacz, a czasem może i wypełniały przyjemnym ciepłem wszystkie członki ciała.

Dziś siedzi i uśmiecha się do niej. Ona niewinnie patrzy na niego. A w powietrzu unosi się szum miejskiej codzienności, który nie przystaje do okoliczności, zaburza ten wyjątkowy moment. Czasem jakiś mężczyzna przysiądzie się do niej, żeby położyć dłoń na ramieniu lub objąć ją za szyję. Innym razem młoda dziewczyna położy dłoń na jego kolanie, jakby chciała zapytać, czy zechce jej towarzyszyć w wieczornym spacerze. Tylko on wciąż niewzruszony czeka, nie wiadomo na kogo i jak długo.

Piotr lubił tu przychodzić. Siadał zawsze w pobliżu jej i jego. Był tym trzecim. Czasem czuł się jak przyzwoitka. Na niego jednak nikt nie zwracał uwagi. Nikt nie kładł dłoni na ramieniu ani na kolanie. Siedział i patrzył na buty. A te, choć czasem podobne, to jednak nigdy takie same. Różnorodność formy, przekazu, myśli i nastawienia. Totalny chaos. Jego ławka była w połowie miejskiego duktu, który przypominał długą drogę, której kres wyznaczała strzelista wieża klasztoru na wzgórzu, przypominająca o tym, że wszystko ma swój czas, a każdy początek kiedyś znajdzie także swój koniec. Lubiał patrzeć w tamtą stronę. Ten widok klasztornych murów, których nie był w stanie zniszczyć czas ani nawet najsilniejszy wróg, dodawał mu sił. W pochmurne dni to stamtąd biło jakieś światło, dające choćby na chwilę wytchnienie i nadzieję, że po każdej burzy wyjdzie słońce. Wieża ta od wieków wznosi się nad miastem. Widać ją z każdej strony. Kiedy widzisz jasnogórską wieżę, wiesz, że jesteś u siebie. Czasem, kiedy w sierpniowe dni Piotr przysiadł na ławeczce, widział, z jaką euforią spoglądały na tę wieżę rzesze pątników. Na ich zmęczonych twarzach pojawiał się szeroki uśmiech, po niejednym policzku płynęły łzy. Coś, co dla Piotra było oczywistością, przecież jasnogórski klasztor jest tutaj od wieków, odkąd tylko pamięta, dla tych utrudzonych ludzi był celem, który pozwalał im na tak duże poświęcenie. Nie dziwi więc, że widząc wieżę, wiedzieli, że są coraz bliżej celu, że ich wysiłki się opłacały, że za chwilę osiągną pełnię szczęścia.

Kiedy z kolei Piotr zwracał swój wzrok w drugą stronę, widział inną wieżę, a w zasadzie wysoki fabryczny komin. Choć dawno nie był używany, wciąż przypomina o tym, że rzeczywistość nie ma odcieni tęczy, a więcej w niej szarości i rutyny. Ciekawiła go ta perspektywa. Z prawej strony sacrum, z lewej profanum. Odwieczna walka. Kto zwycięży? Nie wiedział. Pewne jest tylko to, że wieża klasztoru wciąż żyje, przepelniona modlitwami pielgrzymujących do tego miejsca zbłąkanych dusz. Komin, z którego kiedyś wydobywały się kłęby dymu, dziś jest zimny, opustoszały, samotny. Takie zderzenie dwóch światów – wiary i świata materialnego, ducha i ciała, wartości i świata uciech. A pośrodku tej walki on. I jeszcze ona i jej sąsiad z naprzeciwka.

Piotr często wracał na swoją ławkę. Spuszczał wzrok i patrzył na buty. Takie hobby, sposób na zabicie czasu i pozorną ucieczkę od samotności. Widział w nich coś więcej, niż tylko kawałek materiału i sznurówki. Każdy z nich wiele mówił o swoim właścicielu, o tym, kim on jest bądź kim był. Wyrażały pragnienia i utracone chwile. Najciekawsze były te pary butów, które szły obok siebie. Nie wszystkie jednak pasowały do pary, choć były sparowane. Jedne buty szły wprost w kierunku klasztornej wieży. Inne zdecydowanym krokiem zmierzały w kierunku wieży fabrycznej. Piotr zastanawiał się, w jakim kierunku on by poszedł. Był na takim etapie swojego życia, że ta ławka pośrodku miejskiego duktu, pomiędzy sacrum i profanum, najlepiej oddawała jego położenie. Był gdzieś pomiędzy. Jeszcze jakieś dwa lata wcześniej na pytanie o to, w którym kierunku idziesz, bez zawahania odpowiedziałaby, że kresem jego wędrówki jest wieża klasztoru. Dziś takiej pewności już nie miał.

To wewnętrzne rozdarcie nie pozwalało mu zrobić kroku naprzód. A nawet jeśli próbował go zrobić, po pewnym czasie orientował się, że znów wraca do punktu wyjścia. Jak na rondzie.

Krążył wokół własnej osi. Wiele razy, spoglądając na zniszczone wędrownką buty pielgrzymów, było mu wstyd, że one pokonały tysiące kilometrów, a jego całkiem dobrze utrzymane buty nie były w stanie przejść kilkunastu metrów, by zbliżyć się do jasnogórskiej wieży. Ale tak to już jest, że nie docenia się tego, co ma się na co dzień. Wieża wrosła w krajobraz miasta. Była, jest i będzie. Spowszechniała. Piotrowi niestety też. Kiedy był tam ostatni raz? Nie pamięta. Ale chyba przed maturą. Tak, wtedy wszyscy maturzyści chodzili tam, by się pomodlić przed maturą. Jak to mówią o rozum i jeszcze o światło Ducha Świętego. Chyba został wysłuchany, bo poszło mu całkiem nieźle. Ile to czasu już upłynęło? Będzie już 13 lat. Sumienie się odezwało. Od jakiegoś czasu z coraz większą tęsknotą podążał wzrokiem za butami kierującymi się w stronę wieży klasztoru. Patrzył i za czymś tęsknił, czegoś mu brakowało. Z drugiej strony nie miał w sobie siły, odwagi, a może i chęci, by wstać i pójść za nimi. Coś go paraliżowało. Jakby jakaś niewidzialna ręka trzymała go za ramię, nie pozwalając wstać. I tak trwał. Na ławce w parku. Obok ona i on. Mijały kolejne dni. Mijały ich kolejne tysiące butów.

Pewnego jesiennego dnia, kiedy Piotr skończył pracę w archiwum, która, z pozoru przyjemna, potrafi zmęczyć, tradycyjnie wybrał się na parkową ławkę. Ogarnęło go dziwne uczucie. Był sam. Nie mijały go żadne buty, a jako doświadczony praktyk wiedział, że to rzadkość. Sumienie po raz kolejny zaczęło wylewać swoje żale. 13 lat minęło... Nie wiedział, co robić. Iść, czy nie. Był za, a nawet przeciw. Jak wczoraj, przedwczoraj, miesiąc i rok temu. A może to dziwne światło unoszące się nad wieżą klasztoru to jakiś znak? Szybko jednak odezwały się racjonalne argumenty, że to po prostu takie zjawisko atmosferyczne. Mimo wszystko targaly nim silne uczucia. I tak nie miał planów na wieczór. Był piątek. Jeśli nie dziś, to kiedy? Spojrzał jeszcze na miłą panią i zamyślonego jegomościa, jakby oczekując, że powiedzą mu, co ma robić. Oni jednak milczeli, jak zawsze. Tacy oto towarzysze rozmowy.

Niespodziewanie wstał. A jego buty zaczęły iść. Wprost w kierunku łuny. Idąc przypomniał sobie, jak 13 lat temu szedł tym samym duktem, trzymając za rękę Renatę, koleżankę z liceum, z którą był bardzo blisko. Spędzali ze sobą niemal każdą wolną chwilę, każdą przerwę. Wszyscy myśleli, że zaraz po maturze wezmą ślub. On też tak myślał. Zaczął nawet odwiedzać jubilerów. Wtedy też tak szli. Razem. W kierunku klasztoru. Ich buty szły blisko siebie. Ich palce były splecione w miłosnym uścisku, a wzrok co jakiś czas był utkwiony w oczy partnera. Serce biło szybciej. Na twarzy był uśmiech.

Dziś szedł sam. Ręce były pogrążone w uścisku kieszeni spodni. Wzrok utkwiony w miejski bruk. A zamiast uśmiechu, grymas, który nawet ciężko określić słowami. Nim się spostrzegł, był już przy bramie. Pamiętał, jak przekraczając ją 13 lat temu, pocałował Renatę. Taki mały pocałunek. Bo dalej to już teren klasztoru, nie wypada. A tutaj jeszcze przystoi. Teraz przeszedł przez bramę bez większych emocji, choć serce też biło mu mocniej, tak jak wtedy, ale z zupełnie innych pobudek. Wszedł do środka. Kaplica była wypełniona przejmującą ciszą. Było pusto, w zasadzie kilka osób. Część w ławkach z żarliwością odmawiała różaniec, inni z ciekawością turyści bładzili wzrokiem po kolorowych freskach i bogatych złoceniach, wskazując palcem na wota dziękczynne wiszące na ścianach – świadectwa uzdrowień duszy i ciała. Jeszcze inni stali wpatrzni w wizerunek Matki Bożej, a tylko poruszające się wargi wskazywały na to, że się modlą.

W pewnym momencie wzrok Piotra zatrzymał się na jednych butach. Nie były szczególne, ale jednak coś zwracało jego uwagę. Te buty, a w zasadzie nogi właścicielki nie dawały mu spokoju. Nigdy nie zapomniał smukłych łydek Renaty, w końcu tyle razy kupowali razem buty i tyle razy miał okazję ich dotykać. Ale przecież to niemożliwe. Wyjechała zaraz po zdaniu

matury. Do Francji, wraz z rodzicami. Nawet nie przyszła się z nim pożegnać. Napisała SMS, a kiedy pobiegł pod jej dom, ten był już pusty. Nie odpisywała, nie odbierała telefonów. Skąd miałyby być tu, teraz? Przecież to niemożliwe, myślał.

Serce zaczęło bić szybciej. Na czole pojawił się pot. Postanowił podejść bliżej i stanąć obok tajemniczej właścicielki łydek Renaty. Staął i nieśmiało spojrzął w bok. Kobieta, czując na sobie wzrok nieznanego mężczyzny, odwzajemniła go nieśmiało. Oboje jednak odwrócili wzrok, kierując go w stronę Cudownego Obrazu, udając, że odmawiają pacierze. Piotr był niemal pewny, że to Renata. To nie tylko łydki, ale oczy, uśmiech, włosy, cała Renata. Kątem oka spojrzął na jej dłonie. Nie było na nich obrączki. To niemożliwe. Tyle lat sama? Przecież była najładniejszą dziewczyną w liceum, wszyscy mu zazdrościli, że wybrała właśnie jego, niczym niewyróżniającego się chłopaka. A jednak. Mógł stać dalej. Mógł odejść, ale wtedy pewnie żałowałby do końca życia. Nie było dnia, żeby o niej nie myślał. Każdego poranka i wieczora. Od 13 lat. Mógł też zapytać, czy ona to ona. Wziął głęboki wdech. Zwrócił w prawo swój wzrok, nachylił się w jej kierunku i wyszeptał resztkami tchu: „Renata?”. Nieznajoma dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało. Popatrzyła mu głęboko w oczy i swoim aksamitnym głosem wyszeptała: „Tak, Piotrze. Co za spotkanie, po tylu latach i to w takim miejscu!”.

Wyszli z kaplicy. Przysiedli na ławce na dziedzińcu. Niemal pod jasnogórską wieżą, gdzie nie było już łuny światła. Chmury się rozeszły, pomimo tego, że było późne popołudnie, zrobiło się jakby jaśniej, bardziej radośnie. Zaczęli rozmawiać. Wróciła do Polski po dwóch latach. Nie potrafiła tam żyć. Nie chciała. Rodzice zostali. Jak to się stało, że na siebie nie wpadli przez tyle lat, chodząc tymi samymi ulicami? Nie znali odpowiedzi na to pytanie. Czasem przychodziła tutaj, by w ciszy się pomodlić, dawało jej to ukojenie, spokój i nadzieję na lepsze jutro. Dlaczego nie odnalazła go po powrocie? Wiedziała, że go skrzywdziła, odjechała bez pożegnania, bez wyjaśnienia, myślała, że ją znienawidził, że nie chce jej znać, że ułożył sobie życie na nowo.

Spotkanie pod jasnogórską wieżą stało się początkiem nowej drogi, a w zasadzie powrotem na młodzieńczą ścieżkę. On sam. Ona sama. Spojrzął na ich buty. Pasowały do siebie. Tak jak kiedyś. To musiał być znak. Wstali i poszli. Mijali kolejne buty, które już Piotra przestały fascynować. Mijając znajomych z ławeczki, Piotr uśmiechnął się, jakby mówiąc, że nie wróci tu już więcej, a na pewno nie sam. Jasnogórska wieża na nowo nadała sens, na nowo połączyła to, co kiedyś zostało rozdzielone. Teraz rozumiał, na czym polega magia i tajemniczość tego miejsca. Tak jak 13 lat temu, wychodząc przez bramę, pocałował Renatę.



Krzysztof Prokop**202X****Revolucja**

TO BYŁO JAK SEN, A MOŻE TO BYŁA RZECZYWISTOŚĆ. Z jednej strony tak nieprawdopodobny, a z drugiej tak prawdziwy. Czasami zaraz po przebudzeniu rozglądam się po sypialni, szukając przez moment tego tłumu gęstego, długiego, ciągnącego się jeszcze za odległymi zakrętami. Szukam moich znajomych, z którymi tam byłem, szukam przypadkowo spotkanych demonstrantów, z którymi siedłem ramię w ramię. Przecieram oczy, nie ma ich. Przed chwilą byli tuż koło mnie, a teraz znów wrócili do mojej głowy.

Jestem młody. Nie żebym teraz był stary, ale wtedy byłem młodszy. Szczypior, świeżak o parę lat młodszy. Było to jakoś na początku dekady, gdy wszystko wywróciło się do góry nogami. A ja myślałem, że najgorsze już wtedy nadeszło. Jakże się myliłem.

Więc jestem młody. Ubrany w zimową, długą, zieloną kurtkę, niebieskie jeansy skinny, beżowe buty. Nikt nie może dojrzeć mojej twarzy, przykrywa ją maska. Taka sama jak u tysięcy innych. Widać tylko oczy, włosy. Jesteśmy znani tylko tym, którzy nas znają. Dla wszystkich innych jesteśmy kroplą wody w morzu. Wielu nosi transparenty zrobione z kartonów, głównie z pudełek po pizzy. Na nich powypisywane hasła niczym memy. Czytając wiele z nich, można posikać się ze śmiechu. Krzyczymy, przeklinamy, śmiejemy się, tańczymy, śpiewamy, wiwatujemy. Po całej szerokości ulic roznoszą się dźwięki rozmów oraz piosenek. Czuje się jedność, ja czuję jedność. Jesteśmy zjednoczeni, to jak piękny sen. Piękny sen, który przyszedł w tych ponurych czasach. Nieprawdopodobne. Obcy z obcym. Obca z obcą. Wyszliśmy na ulice, krocymy całą szerokością. Z nami, choć daleko, w innych częściach miasta, rowerzyści, kierowcy, pasażerowie. Trąbią, krzyczą, skandują, machają transparentami.

Nikt nas nie zatrzymuje, nikt nas nie legitymuje, nikt nas nie bije, nikt nas z tłumu nie wyciąga, nikt nas nie zalewa gazem (do czasu...). Pogoda dopisuje, czasem nawet pojawia się słońce, niebo jest trochę zachmurzone. Patrzę przed siebie, za siebie, rozglądam się na boki. Oczami staram się pochłonać rewolucyjną rzeczywistość. Ludziom dopisuje humor. Wyszli z domów. Są wolni, prawdziwie wolni. Chodzą po ulicach, na które niegdyś mieliby zakaz wstępu. Przechodzą tunelami, w których niegdyś zostaliby rozjechani przez samochody. Czujemy moc, siłę tłumu. Tysięcznego pochodu, takiego jak inne, które maszerują teraz przez cały kraj. Czuje się radość, czuje się szczęście. Szczęście, że jest nas aż tylu. Czuje się też złość, gniew, obrzydzenie, nienawiść, wściekłość. Krocymy ulicami jak przed nami nasi ojcowie, dziadkowie, pradziadkowie. Aż trudno mi w to uwierzyć. Czy to na pewno rzeczywistość? Do tego aż musiało dojść? Czy każde pokolenie tego narodu musi mieć swoją własną rewolucję? Czy nie można wreszcie normalnie? W kamienicach i blokach otwierają się okna. Wystają z nich flagi trzymane przez domowników. Machają nimi, machają dumnie, mocno je trzymając. Machają dłońmi do nas, a my odpłacamy się tym samym. Nasze uśmiechy skryte są pod maskami. Jestem wzruszony, aż łzy pojawiają się w moich oczach. Te sceny, to wszystko przejdzie do historii. Nie zapomnę tego nigdy. Jesteśmy wolni, nie damy się zastraszyć.

Wieczór

Chwyciłem leżący na fotelu gruby sweter, założyłem go prawą dłonią, a lewą wyciągałem papierosa z paczki. Wyszedłem na balkon, wiało strasznie. Czułem, jak zimne powietrze przeszywa mnie na wylot.

– Kuuurwa mać... – powiedziałem pod nosem, zginając się wpoł. Szlag by trafił tę pogodę. Nie chciałem spędzać tu ani chwili dłużej, ale z drugiej strony szkoda potem tracić czas na wieńczenie pokoju. Gdybym wstał rano i poczuł ten smród, chyba bym zwrócił dzisiejszą kolację. Uznałem, że to przeżyję.

Wkładałem papierosa do ust, podpalam, chowam paczkę do kieszeni. Leci pierwszy buch. Przez uchylone balkonowe drzwi dobiega z pokoju głos śpiewającego Franka Sinatry. Coś spokojnego, przyjemnego dla ucha na sam koniec dnia. Leci drugi buch. Opieram się rękoma o parapet. Powoli odpływam, powieki stają się ciężkie, jestem zmęczony. Nikogo nie dostrzegam, nic nie jeździ po ulicy. Zaledwie w niektórych oknach można dostrzec zapalone światło. Jestem tu niemal wyłącznie ja, mój papieros, który powoli się kończy, oraz śpiewający wyłącznie dla mnie Frank.

Nagle zaczynają wyc syreny na cały regulator, przerywają mój wieczorny rytuał, dranie zagłuszają mi Franka, a właśnie leciał mój ulubiony moment. Znam ten dźwięk, rozpoznałem go chwilę potem, jak rozległ się w mojej okolicy. Przez ostatnich kilka lat słychać go było w całym kraju i nigdy nie oznaczało to nic dobrego. Gdzie są? Dokąd jadą? Kogo aresztują? Komu tej nocy połamią ręce? Kogo zakatują? Syreny są coraz głośniejsze, są coraz bliżej. Widzę ich w swoich myślach. Ubrani w granatowe mundury, w hełmy, furażerki. Z karabinami w rękach. Są coraz bliżej. Gotowi do obrony interesu „narodowego”, z przygotowanym gazem i armatkami wodnymi. Są coraz bliżej. Kawalkada samochodów wyjeżdża z ulicy obok. Na przodzie radiowóz, następnie dwie suki, a na końcu drugi radiowóz. Pędzą. Cieszę się, że nie jestem na miejscu tych, po których jadą. Dociskają gaz i pędzą z włączonym kogutem. Ciągnę za nimi wzrokiem, nie trwa to długo. Bezpieka zaraz zniknie gdzieś w odmętach miasta. Wrzucam resztę papierosa do wystawionego słoika z wodą. Wracam do środka. Rozsiadam się w fotelu, oczami szukam telefonu. Gdzie on jest? Gdzie? Aaa! Tu go zostawiłem. Stukając kilkakrotnie w ekran smartfona, włączam wieczorne wydanie wiadomości w TVT. Czasami ich obejrzę, są najbardziej obiektywni ze stacji, o ile można powiedzieć, że w 202X roku jakiegokolwiek media są obiektywne. Starają się chłopaki. Wiem jedno, zdecydowanie lepiej ich oglądać, niż „Kuriera”, ci dopiero pierdolą farmazony pod dyktando władzy. Nie wiem, ile siana za to dostają, ale chyba chcą pobić rekord o najgłębsze w historii wchodzenie w dupę. Słyszę:

– Dziś mija tydzień od tajemniczego zaginięcia Radosława Baki. Rodzina jest przerażona, jak powiedzieli w wywiadzie, nikt się z nimi nie kontaktował, nikt nie żądał okupu, nie otrzymali żadnej wiadomości od Radosława albo od osoby, która mogłaby wiedzieć o obecnym miejscu przebywania zaginionego. Śledczy z komendy wojewódzkiej tłumaczą się, że robią wszystko, co w ich mocy, ale najwyraźniej przepadł bez śladu. Ostatni raz widziany był przed swoim domem 17 kwietnia. Jego żona w wywiadzie przeprowadzonym przez naszego reportera mówiła, że za zaginięciem jej męża mogą stać wysoko postawieni politycy obozu rządzącego, który otwarcie i jawnie krytykował Baka. Od lat był jednym z czołowych przywódców opozycji, która zapowiedziała bezkompromisową walkę z obecnym rządem. To już szósty taki przypadek niewyjaśnionego „zaginięcia” w przeciągu roku. Wszyscy zaginięci byli wysoko postawionymi członkami opozycji. Mówi się o porwaniach zorganizowanych przez służby specjalne na polecenie władzy. Aleksiej Wołoczyński, zastępca Radosława Baki, zapowiedział na jutro w południe wielotysięczny protest pod siedzibą parlamentu. Jak sam twierdzi, nie są to zaginięcia,

lecz porwania przeprowadzone na polecenie obozu Zjednoczonego Narodu, chcącego wytepić jakikolwiek przejaw sprzeciwu wobec partii oraz władzy. Wołoczyński podczas swojego przemówienia w izbie parlamentu dodał, że jest w posiadaniu dowodów obciążających najwyższych postawionych urzędników państwowych, które zapewnią im dożywotnie kary pozbawienia wolności. Mówił dla państwa Marek Gdanicki, TVT.

Na ekranie zamiast prezentera pojawiła się czołówka wiadomości, zamieniając się po chwili w reklamę. Najpierw szamponu, potem piwa, a na sam koniec jakiegoś dennego teleturnieju, w którym można wygrać 100 tysięcy. Nikt specjalnie nie zwracał już uwagi na telewizor, goście wrócili do popijania piwa, wódki albo zajadania się pierogami, śledziami czy gzikami. Za oknem panowała ciemność, wieczór wydawał się mroczny, a wiejący porywisty wiatr odmrażał tyłek każdemu, kto choćby wystawił czubek nosa na zewnątrz. Ten, kto szedł, szedł coraz szybciej, byle tylko się ukryć, ten co palił, palił dwa razy szybciej, byle znów usiąść w ciepelku. Na znajdujący się nieopodal przystanek zajechał autobus. Wysiadło z niego kilka osób, w tym pewien młody mężczyzna cały ubrany na czarno. Nosił czapkę bejsbolówkę mocno nasuniętą na czoło oraz szalik, którym zasłaniał twarz. Zupełnie jakby chciał ukryć swoją tożsamość. W strachu przed namierzeniem, a zarazem na polecenie swojego przyszłego towarzysza zostawił telefon w domu. Dziwnie tak jeździć na spotkanie o tej porze, normalni obywatele czym prędzej wracali do domów, zbliżała się godzina policyjna. Nasz ukrywający swoją tożsamość znajomy wszedł do baru. Porozglądał się uważnie, przetrzebając wzrokiem całe pomieszczenie od lewa do prawa, wyraźnie kogoś szukając. Lokal był wypełniony na oko w jednej trzeciej, ale chyba brakowało w nim tej specjalnej osoby, gdyż na nikim nie zatrzymał swojego spojrzenia. Spokojnym krokiem podszedł do baru, rozsiadł się na krześle, a gdy to zrobił, powoli odwinął szalik.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał mężczyzna wyraźnie po sześćdziesiątce, może dlatego taki uprzejmy – młodzi rzucają krótką, prostą wiązanekę, byle tylko pokazać, że coś robią.

– Jedno jasne piwo – odpowiedział.

– Niech będą dwa i ten pan płaci – usłyszał.

Facet w czapce odwrócił się w prawo, znał ten głos. Należał do wysokiego, silnie zbudowanego ciemnego blondyna noszącego biały sweter oraz długi brązowy płaszcz, a na dłoniach czarne skórzane rękawiczki. Pierwszy klient tylko skinął głową na znak zgody. Obydwaj oczekiwali na swoje zamówienie w milczeniu, bez żadnego, nawet najmniejszego spojrzenia w swoim kierunku. Gdy dostali, ten drugi powiedział tylko:

– Idziemy. – Wziął swoje piwo i ruszył w stronę kuchni. Przeszli przez nią, mijając dwóch pracowników. Na zapleczu zatrzymali się przy drzwiach. Drugi nacisnął zdecydowanie na klamkę. Znaleźli się w małym pokoiku, który służył za magazyn. Nie było okien, przy suficie świeciła się jedynie stara, dogorywająca lampa, za to pełno było półek, na których znajdowały się zapasy. Mężczyzna w płaszczu ustawił dla siebie krzesło, a ten w czapce stół. Na niczym innym nie dało się usiąść.

– Nie wiedziałem, że płacę ci jeszcze za piwo – oznajmił.

– To taka koleżeńska przysługa, Wiktorze, nie uczyli cię tego?

– Nie jesteśmy kolegami, Wróbel.

– Cóż, widzujemy się na tyle często, że można by tak pomyśleć – powiedział nazwany Wróblem, biorąc duży łyk piwa. – Dużo nie stracisz. A właśnie: masz?

Wiktor sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej zwinięty plik banknotów i podał swojemu rozmówcy. Ten popatrzył na niego przez chwilę, po czym schował, zabierając się ponownie za piwo.

– Mówiłeś, że to pilne, więc jestem.

– Tak, to pilne – oznajmił Wróbel.

– No to mów. Nie mamy czasu. Niedługo godzina policyjna.
 – Zapomniałem, że ona cię dotyczy – zaśmiał się pod nosem, zwilżając gardło alkoholem.
 – Zasadzają się na ciebie, najprawdopodobniej. Szykuje się coś dużego. Fala aresztowań albo jeszcze gorzej.

W jednej chwili Wiktor poczuł, jak coś zimnego przeszywa go na wylot, zląkł się, skurczył jeszcze bardziej niczym małe dziecko w ciemnym, wielkim, strasznym lesie, wyobrażające sobie, że zaraz zostanie zaatakowane i pożarte przez wytwory swojej wyobraźni.

– Więc radzę pakować walizki i spierdalać stąd – kontynuował Wróbel.

– Jesteś pewien?

– Czuję to.

– Czujesz? – zapytał, śmiejąc się.

– Wiem, co się dzieje, aż kipi u nas. Wszyscy są postawieni w stan gotowości, to może stać się lada dzień. Mamy dostać rozkazy z centrali. Jeszcze ten kolejny aresztowany... – Wróbel zamilkł, powiedział coś, czego nie powinien, rozbudzając zaciekawienie Wiktora.

– Aresztowany?

– Kurwa... – wziął kolejny łyk.

– Jaki aresztowany?

W jednej chwili Wróbelowi puściły nerwy. Wstał i ruszył zdecydowanie w stronę Wiktora, łapiąc go jedną dłonią za kurtkę:

– A co ty myślisz, że on przypadkowo zaginął? Wyszedł z domu i zaginął? O kim trąbią od tygodnia? A ci wszyscy przed nim? Cała szóstka? Zbieg okoliczności? Jesteś głupi? To moi to wszystko zrobili, znają się na rzeczy. Wiedzą, jak to zrobić, bardzo, kurwa, dobrze wiedzą, jak to zrobić. Skończyło się pobażanie, jak teraz ich nie załatwią, to stracą wszystko, co mają. Za gorąco się zrobiło w zagrodzie, trzeba obciąć hydrze głowy. Nie wiem dokładnie, co wydarzy się w najbliższych dniach, ale to nie będzie nic miłego, więc dobrze ci radzę, pakuj walizki, wypłać, co masz, uciekaj i nie wracaj – oświadczył Wróbel, a jego słowa brzmiały jak zapowiedź wielkiego nieszczęścia, niemal nowej plagi egipskiej, która miała spaść na wrogów przywódców narodu.

Poranek

Oglądacie telewizję? Może zapytam inaczej. Czy ktokolwiek z młodych, mam na myśli osoby urodzone po roku 2000, ogląda telewizję? Wydaje mi się, że albo wcale, albo niezwykle rzadko. Może jak są wybory. Może wtedy. Urodziłem się pod koniec ubiegłego stulecia i przez lata niemal w ogóle nie sięgałem po pilota. Co najwyżej raz, dwa razy do roku. Jednak im byłem starszy, a szczególnie gdy osiadłem już na swoim, lubiłem puścić coś z rana i wieczorem. Posłuchać, co się dzieje, czasami tylko dlatego, by po prostu ktoś gadał. W pewnym momencie znudziła mi się już muzyka puszczana na okrągło czy wertowanie godzinami Instagrama, Tik-Toka czy Twittera. Niegdyś śmiałem się z moich rodziców, tłumacząc im, że mogliby obejrzeć jakikolwiek film czy serial na Netflixie czy HBO MAX zamiast przerzucać kanał za kanałem tylko po to, by coś leciało. Zmiana jednej bryndzy na drugą. Teraz przyszedł czas na śmianie się z samego siebie.

Myślamy byłem już daleko, myślamy byłem przy wieczorze. Wcale nie chciało mi się tam iść. Wolałbym zrobić, co mam zrobić, potem przygotować sobie kolację i urządzić mały maraton z ostatnim sezonem serialu. Planowałem to od dawna, wieczór tylko dla mnie. Pieprzone przyjęcie. Nie mogłem nie pójść, nawet gdybym był chory nie wypadaloby się nie pokazać. Znowu będę musiał założyć uśmiechniętą maskę udającą zaciekawienie spotkanymi tam osobami.

Nie przejmuj się tym! To będzie dopiero za kilka godzin. Prawie kilkanaście. Teraz liczy się twój omlet i kakao. Tak. Teraz liczy się mój omlet i kakao, no i papierosek na balkonie po wszystkim obowiązkowo. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu, włączyłem TVT i zabrałem się za śniadanie (umierałem z głodu). Rozpoznałem prezentera, to był ten sam facet, co prowadził wieczorne wydanie. Gdanicki, jeśli mnie pamięć nie myli. Marek Gdanicki. Z telewizora rozległ się głos prezentera:

– To już niestety oficjalne. – Miał posępną minę, smutną. Widać, że nieudawaną. Zbyt długo robiłem w jego branży, by się nabrać. Mnie by nie oszukał, ale teraz nie próbował oszukać żadnego z widzów. – Aleksiej Wołoczyński został zastrzelony w godzinach porannych w samym centrum miasta, tuż przed siedzibą swojej partii. Niezidentyfikowany mężczyzna oddał w jego kierunku trzy strzały, raniąc go w klatkę piersiową, a następnie, gdy ofiara leżała już na ziemi, trzeci, ostatni, w głowę. Tak przedstawia to jeden z naocznych świadków. Jak mówi, zabójców było dwóch, jeden strzelał do Wołoczyńskiego, a drugi strzelał z broni maszynowej w powietrze, aby odstraszyć potencjalnych świadków. Wszyscy łączymy się w żalobie. To pierwszy tak otwarty atak na członków opozycji, kimkolwiek są, sprawcy nigdy nie działali tak śmiało. Jakie są powody tego czynu? Aleksiej Wołoczyński mówił otwarcie, że jest w posiadaniu dokumentów obciążających najwyższych szczeblem urzędników państwowych. Miał również dzisiaj zorganizować wielotysięczny protest przed siedzibą parlamentu. Pomimo śmierci organizatora protest się odbył. Na miejscu znajdują się tysiące demonstrantów, jak mówi nasz korespondent. Ludzie są wściekli. Doszło już do pierwszych starć ze służbami bezpieczeństwa, a zgodnie z informacjami do stolicy są ściągane kolejne grupy funkcjonariuszy...

Nie mogłem jeść dalej. Zamarłem. Próbowałem się od tego odciąć, zostawić daleko za sobą. Skupić się tylko na sobie, na karierze, na pieniądzach. Wszystko miałem, miałem wszystko, co chciałem. Nie sądziłem, że do tego dojdzie. To jak jakiś najczarniejszy koszmar. Myślałem znów cofam się do młodości lat. Są nas tysiące, tysiące w maskach, z kartonowymi transparentami po opakowaniach po pizzy. Idziemy ulicami krzycząc, śpiewając, ciesząc się. Idziemy razem, zjednoczeni wspólną ideą. Idziemy razem dzielni, mijając bojówkarzy, a w końcu tych, co stali tam, gdzie stali – sami wiecie, kto.

Sięgam szybko po papierosa. Nie mogę wyjąć szluga z paczki, ręce mi się trzęsą jakbym chlał od czterech dni.

– Kurwa!... – krzyczę na cały głos. Przed oczami mam tylko te obrazy. Armatki wodne, gaz, funkcjonariusze po cywilnemu bijący demonstrantów teleskopami. Widzę to wszystko bardzo dokładnie. Nie ma gdzie uciec, nie ma gdzie uciec. Są wszędzie. Otoczyli nas. Nie chcę o tym myśleć, kurwa, ja nie chcę o tym myśleć! Nie chcę tego wspominać! Zabierz to ode mnie, zabierz to na zawsze!

Ostatnie spojrzenie

Pod apartamentowcem już czekał na mnie samochód. Piękny, długi, czarny mercedes klasy S. Kierowca zerknął na mnie i w momencie, gdy nasze spojrzenia spotkały się, skłonił lekko głowę. Nie spieszył się, czekał tylko na mnie. Miał mnie tylko tam zawieźć i być może odwieźć, o ile plany by się nie zmieniły, a to w moim przypadku było bardzo prawdopodobne. Sięgnąłem jeszcze po jednego papierosa. Zauważyłem, że ostatnio palę coraz więcej. Zdarza się nawet, że paczkę dziennie. Kiedy ostatnio trenowałem? Szmata czasu temu, treningi zastąpiły fajki. Mógłbym rzucić na to, że wiele mam na głowie. Długo tak nie pociągnę. Pocięszam się faktem, że mam chociaż tego świadomość.

Byłem w dużo lepszej kondycji niż rano. Niemal o tym zapomniałem, starałem się zabić czas w jakikolwiek sposób, byle nie myśleć o wiadomościach. Najlepszym sposobem okazała się praca, nie pozwala myślom zebrać się, myśleć o tym, o czym nie chcesz myśleć. Zerknąłem na zegarek w telefonie. Już byłem spóźniony. Jebać to. Przynajmniej nie będę musiał się ze wszystkimi witać. Wejdę tam, zamówię drinka, odpalę szluga, może zamienię z kimś dwa słowa. Ooo... Zapomniałem. Przecież Wiktor tam będzie. Mhm. Z nim zamienię nawet trzy. A co będę robił przez resztę wieczoru? Może będzie na kim zawiesić oko? Na pewno będzie. Na takich imprezach zawsze jest ktoś, na kim można zawiesić oko. Mhm. Może to nie będzie taka zła noc. Przydeptuję resztkę papierosa. Wchodzę z tyłu, rozsiadając się na skórzanej kanapie.

– Dobry wieczór panu – mówi kierowca.

– Dobry wieczór. – Uśmiecham się. Zawsze z nim jeżdżę. Gdybym sięgnął pamięcią, to od momentu, gdy się tu sprowadziłem. Będzie już kilka lat.

Odjeżdżamy z rykiem silnika. Szybko przecinamy kolejne skrzyżowania, wyprzedzając te gruchoty obok nas. Mój szofer jeździ niczym kierowca rajdowy. Skąd on się urwał, z Formuły 1 czy był kaskaderem na planie „Szybkich i wściekłych”? W sumie nigdy go o to nie pytałem. Kiedyś więcej rozmawiałem, byłem bardziej towarzyski. Teraz został jedynie cień po dawnej osobie. Czy to te pieniądze mnie zmieniły, czy jednak faktycznie z wiekiem ludzie stają się tylko gorszą wersją siebie? Jeśli to drugie, to strach pomyśleć, co ze mną będzie, gdy stuknie mi pięćdziesiątka.

– Napije się pan czegoś? Mamy świetny nowy serwis – pyta kierowca.

– Nowy serwis? Jesteś tu tylko ty i ja.

– Centrala wprowadziła nowego robota. Niesamowity jest, mówię panu. Robi drinki jak najlepszy barman. Widziałem na własne oczy. Odjazd.

– Nowe czasy, nowa technologia.

– To jak, napije się pan?

– Tym razem ci odmówię.

Kierowca jest w szoku, chyba to jego pierwszy kurs ze mną, kiedy nie piję.

– Przepraszam, że zapytam, wszystko z panem w porządku? Zawsze pan chętnie skusił się na jednego.

Zbynam jego pytanie. Spoglądam przez okno, bez celu patrząc w niebo górujące nad morzem. Całe było rozświetlone gwiazdami. Wyglądało cudownie. Niebo i morze, równie piękne za dnia, jak i podczas nocy. Gdyby ktoś mnie zapytał, w jakiej porze doby je wolę, nie mógłbym odpowiedzieć. Kocham je tak samo. Niczym dwie kobiety. Nie potrafię wybrać jednej, zawładnęły mną. Nie mogę podzielić mojego serca na dwoje i ofiarować każdej po połowie. Tylko jedno jest i jest ono wspólne. Należy do nich.

– Masz jakieś wieści z dzisiaj? – zagaduję.

– O co konkretnie panu chodzi?

– O protesty przed parlamentem.

– Aaa, o tym pan mówi. Przez miasto przeszły rozruchy. Aresztowano blisko sto osób. Nie przysłuchiwałem się dokładnie, ale co najmniej dwa razy tyle jest w szpitalu. Kilku demonstrantów pobili na śmierć, jeden policjant zginął. Robią z niego męczennika w państwówce. Ciekawy dzień, jednym słowem.

– Tak. Bardzo ciekawy. – W głowie tworzą mi się obrazy dzisiejszych zajęć, moja wyobraźnia pracuje z wielkim zapałem, angażując się w proces twórczy. Próbuję wejść w skórę człowieka bitego na śmierć. Czuję kolano, którym dostają pod mostek. Czuję, jak upada na ziemię. Zaraz zlatują się narodowi obrońcy, których buty lecą jeden za drugim. Raz głowa, raz szyja,

raz klatka piersiowa. Raz but, raz pięść, raz pała. Tylko narzędzie się zmienia, jedynie krew ta sama. Powoli widzę coraz mniej, czerwien zalewa moje oczy. Mam złamane żebra. To, co wzrasta, to ból i obrażenia. W pewnym momencie umieram, sam nie wiedząc, kiedy. Moi oprawcy sami nie wiedzą, kiedy. Jeszcze jakiś czas pastwią się nade mną, powtarzając swój cykl: raz but, raz pięść, raz pała. Są w furii, w szale, mogą się wyżyć, mogą dać upust emocjom. Przyszli mordować, wreszcie mogą mordować. Ich przywódca, ich KRÓL, ich obywatel numer 1, któremu wszystkie zaszczyty się należą, który dzierży w swojej dłoni władzę nad całym krajem, który chce słyszeć każde słowo, każdą myśl, każde wypowiedziane i niewypowiedziane słowo, dał rozkaz do ataku. „Z rewolucją się nie rozmawia, do rewolucji się strzela” – powiedziałby.

Drink, potrzebuję szybko drinka, a potem papierosa. Wsiadam z mercedesa w nie najlepszym humorze, w takim nastroju nie powinno się wychodzić do ludzi. Powinienem zamknąć się w czterech ścianach. A może wyjechać? Spieniężyć wszystko, co mam, sprzedać dom, samochód. Uciec, póki jeszcze można, póki nie jest JESZCZE GORZEJ. Nic mnie tu nie trzyma. Jestem wolny, młody, mam trzydzieści lat, całe życie jest przede mną. Trzydzieści z kawałkiem. Gdzieś dalej jest lepiej, gdzieś dalej mógłbym się czuć znów prawdziwie wolnym. Tylko gdzie? Wschód odpada, w ostatnich latach zrobiło się tam tylko gorzej. Na zachodzie też nie jest cudownie. Może północ? Skandynawia? Dzika natura, puszcze. Tak naprawdę z tym, co mam, mógłbym osiedlić się wszędzie...

– Czego pan sobie życzy? – pyta mnie barman, przerywając moje dywagacje. Sam nie wiem, jak się tutaj znalazłem. Całą drogę od wejścia do budynku do tego miejsca zajęły mi myśli. Nie mogę specjalnie przypomnieć sobie przebytej odległości. To jak pstryknięcie palcami, jak teleportacja, jak urwany film. W jednej chwili latam na melanzu, leci następny kadr i otwieram oczy, leżąc na kanapie w domu.

– Dwa kieliszki belvedere.

Barman spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Raczej spodziewał się, że poproszę o jakiegoś wymyślnego drinka jak reszta zaproszonych. Przecież nie wypada tak ordynarnie chłać wody jak na jakimś weselu na wsi. Tu jest kultura, wyższe sfery. Sram na to! Muszę się napić czegoś normalnego.

– Mamy szeroki wybór... – próbuje mnie przekonać, ale ja nie mam czasu na jego paplaninę. Twardo zostaję przy swoim.

– Dwa razy belvedere.

– Już podaję. – Odchodzi mocno zniesmaczony. Odwracam się na krześle, opierając plecy o blat baru. Lokal pełen jest gości. Same tuzy, tylko najdroższe kreacje, niektóre zahaczające o granice kiczu bądź dobrego smaku. Byle tylko ktoś napisał o tej nietuzinkowej stylizacji. Znów się przypierdalasz o bzdety – mówię do siebie. Racja, co mnie to obchodzi. Dla mnie może założyć nawet worek na śmieci. Jeszcze nikt do mnie nie podszedł. Boże, jak dobrze! Nie spotkałem żadnego znajomego. Może jestem niewidoczny, może tylko ja ich widzę, chociaż nie przypominam sobie, bym przyodziął pelerynę-niewidkę. Słyszę zza pleców głos barmana:

– Pańskie zamówienie.

– Dzięki – biorę do ręki jedną pięćdziesiątkę. Piję na jeden raz. Zimna, cudowna. Nie trzeba nawet przepijać. Dostrzegam kogoś w tłumie, mężczyznę. Lata młodości ma dawno za sobą, chociaż nawet wtedy daleko mu było do Leonarda. Na sam widok jego parszywej mordy wymiotować mi się chce, jakbym zrobił już z połówką. Jeden z szefów „Kuriera”. Splunąłbym pod nogi, gdybym był w jakimś zacisznym miejscu. Wszyscy się bawią, uśmiechają, śmieją. Wszyscy powkładali maski. Gdybyście grali w filmach, każdemu z osobna należałby się Oscar. Pięknie nauczyliście się udawać. Moje gratulacje, możecie być z siebie dumni. Robicie dobrą

minę do złej gry. Mam tylko jedno pytanie. Jak pewnie się czujecie? Czujecie się bezpiecznie czy tylko gracie przed wszystkimi? Jak wysoko jesteście postawieni, by nie martwić się o nadchodzącą godzinę? Jak mocne posiadacie koneksje, że nie martwicie się, że ktoś do was zapuka o 6 rano? Jesteśmy tutaj, mamy piątkowy wieczór, zaczął się weekend, ale wcale nie czuję ulgi. Powinniście zrobić to samo co ja, spakować się i uciekać. Chyba nadszedł już czas. Biorę kolejną pięćdziesiątkę, spoglądając na przeszklony taras. Widzę ich, stoją we dwóch. Wiktor z Alekssem, rozmawiają. Nie przypomina to przyjacielskiej pogawędki. Coś jest nie tak. W pewnym momencie Wik odchodzi, a Aleks sięga po smartfona. Czyżby starej musiał się tłumaczyć?

Dobra. Koniec tej samotności. Czas się trochę uspołecznić. Dopadam Wiktora, gdy wchodzi do środka.

- Siemano – mówię do niego, a uśmiech na mojej twarzy rozwesela go.
- Mordo kochana, jak ja cię dawno nie widziałem.

Przytulamy się, klepiemy po plecach.

- Zapalimy? – pytam się go.
- Pewnie, ale nie tutaj. Mam ich dosyć. Chodź za mną. Znam jedną miejscówkę.

Wychodzimy z apartamentu. Trafiamy do jakiegoś magazynku na miotły, odkurzacze, środki czystości, z oknem wychodzącym na morze. Wiktor otwiera je, siadamy na parapacie. Niemal czuć morze, jest jak na studiach, wtedy też nie mieliśmy balkonu. Kiepy jarałiśmy w oknie. Podaję mu jednego i podpalam. Powraca do mnie dobry humor. Najlepszy od początku tego złego dnia.

- Dzięki – mówi Wiktor.
- Spoko. – Zaciągamy się. – Widziałem, że gadałeś z Alekssem.

Wik patrzy na morze, po jego twarzy widzę, że nie jest zainteresowany omawianiem szczegółów tej konwersacji, wydaje się być zniesmaczony:

- Gadałem.
- Już po paru zdaniach zdołał cię wkurzyć? – zapytałem, próbując rozluźnić atmosferę.

Ponownie uśmiech namalował się na jego twarzy:

- Wiesz, jak to jest z Alekssem. Taki sam jak zawsze, nic się nie zmienił od studiów.
- Zazdroszczę mu tego, sam tęsknię za tym, kim byłem.

Mój rozmówca zrobił zdziwioną minę:

- Z tego, co wiem, znacznie lepiej ci się powodzi niż wtedy. Znaczący nigdy nie miałeś źle, ale teraz? Naprawdę chciałbyś do tego wrócić?

- Ha, ha, ha! Może niedokładnie do tego. Ale pod pewnymi względami było lepiej.
- Chcesz powiedzieć, że wtedy byliśmy wolni? – zatrzymuje swój wzrok na mnie. Odwracam oczy od mrocznego morza. Patrzymy na siebie, trzymając z tyłu głowy same złe myśli:
- Wiesz... może lepiej nie mówmy o tym...

- Nie bój się. Nie mam przy sobie nic, przez co mogliby nas podsłuchiwać.

Wysłuchując się w jego słowa, czułem się jak w jakimś filmie szpiegowskim. Tylko to nie był film. Nie wiem kiedy minęły te lata. Nie wiem sam, kiedy upadła demokracja. Nie wiem, jak to wszystko mogło się wydarzyć.

- Też nie mam – odpowiadam.
- Więc się nie bój.
- Oglądałeś wiadomości?

- Taaak – odpowiada odwracając oczy w kierunku morza, jednocześnie zaciągając się papierosem. – Robi się coraz gorzej. Dam ci radę, przez wzgląd na stare czasy i przez to, że przyjaźnimy się już od tylu lat.

Nie spuszcza z niego wzroku, coś nakazuje mi wsłuchiwać się w każde wypowiedziane słowo. Jakbym musiał zapamiętać każdy wyraz, by potem powtórzyć go potomnym. Jakby to ode mnie zależała przyszłość.

– Pakuj się i wyjedź. Jak najdalej. Gdzieś, gdzie jeszcze można żyć jak człowiek, gdzieś, gdzie nie strzelają do ludzi w biały dzień.

– Wszystkim dajesz takie dobre rady? – pytam rozczarowany.

– Gdybym wszystkim dawał takie dobre rady, to już bym dawno siedziałbym na komendzie z zarzutem o działalność antyrządową. – Wiktor gasi papierosa, stając przede mną. – Muszę się zwijać. Dobrze cię było zobaczyć. Chociaż na chwilę rozbawiłeś mnie, a tego dawno już nikt nie zrobił.

– Może chociaż cię odprowadzę – proponuję.

– Dobry pomysł. Pojedziemy windą, stoję na samym dole.

Wychodzimy z kanciapy, zamykając uprzednio okno. Nie robimy dwóch kroków, gdy nagle słyszymy donośny, stanowczy głos.

– NSB, nie ruszać się, ręce do góry!!! – mówi mężczyzna w czarnym mundurze z karabinem w dłoniach wymierzonym w nas. Podchodzi do nas w towarzystwie dwóch innych mundurów. Za nami kolejna dwójka. Wyglądają jak antyterrorysty. Jesteśmy otoczeni. Mierzą do mnie, pierwszy raz ktoś do mnie celuje. To nie jest film, to nie jest gra. Na drugim końcu tej lufy jest kula, jego palec jest na spuście. Czuję, jak serce zaczyna mi mocniej bić, a raczej napierdala jak po prochach. Facet, który wydał komendę, chyba jest oficerem, a przynajmniej przełożonym pozostałych. Trzymamy ręce w górze, on swoim przenikliwym spojrzeniem bada nas bardzo dokładnie. Nigdy tak się nie bałem, nawet gdy spotkałem bojówkarzy, nawet gdy nas gazowali. Nigdy tak się nie bałem. Teraz stoję tam i marzę tylko, by to minęło jak najszybciej albo bym mógł cofnąć się o pół godziny i nigdy tu nie przychodzić. Staje przed nami przepełniony poczuciem władzy oraz siłą, która od niej pochodzi. Wie, że może zrobić z nami wszystko i nikt nic nie powie. Wie, że może nas skatować i nikt mu nie zabroni, nikt się nie sprzeciwi. Przez kilka sekund patrzy mi w oczy. Czuje mój strach, to nie pierwszy raz, gdy patrzy tak na drugiego człowieka. Zaraz zmienia kierunek na Wiktora. Tu zatrzymuje się, czyta go, bada swoją ofiarę.

– Zabrać go! – rozkazuje.

Funkcjonariusz wykręca mu nadgarstki i zakłada kajdanki. Ruszają, a ja stoję jak zaczarowany, jakby ktoś rzucił na mnie urok. Wciąż trzymam ręce w górze. Jakby jego komenda wciąż mnie obowiązywała, jakby wciąż lufy karabinów wymierzone były we mnie. Wiktor się odwraca, nasze ostatnie spojrzenia. Widzę go ostatni raz. Wszyscy, którzy go znali, widzą go ostatni raz. Nie wiem, co potem się z nim stało. Trafił do aresztu, może do obozu? Czy torturowali go podczas przesłuchania? Czy poszedł do obozu pracy? Nie wiem. Próbowałem się dowiedzieć, co się z nim stało, ale nikt nic nie wiedział. Nikt nie chciał nic wiedzieć.

Jak tu trafili? Skąd wiedzieli, że tu dziś będzie? Mówił, że nie wzięł telefonu. Dali mu ogon? A może ktoś doniósł? Wydał go ktoś, kto wiedział, że tu dziś będzie.

Do dzisiaj pamiętam jego spojrzenie, miał strach w oczach. Ten moment, gdy skrzył w boczny korytarz. Do dzisiaj czuję broń na moich plecach. Próbowałem cię odnaleźć, próbowałem ci pomóc, ale nikt nic nie wiedział. Nikt nie chciał nic wiedzieć.





Paulina Wysocka-Morawiec

KOZŁOWE WALENTYNKI

MIROŚLAWA KOZIOŁ PRZEKROCZYŁA PRÓG rodzinnego domu. Już w przedpokoju poczuła przyjemną woń duszonego mięsa. Cichutko zdjęła buty na obcasie, w których ledwie uniknęła upadku na błotnistej ścieżce. Kolejny raz obiecywała sobie, że kiedy w końcu wygra szóstkę w totka, zafunduje rodzicom chodnik z porządnej kostki brukowej.

Przeszła na paluszkach po korytarzu, starannie unikając skrzypiących miejsc w drewnianej podłodze. Zapуściła żurawia do kuchni. Mama stała przy kuchence. Coś mieszała na patelni, by zaraz podnieść do ust łyżkę. Pomruczała pod nosem, chyba z uznaniem, i zajęła się czymś w garnku obok. Na jej głowie tradycyjnie królowała trwała. Ubrana była w strój niedzielny, czyli bluzkę z kołnierzem i spódnicę w kwiaty, która sięgała jej do kostek. Na ten komplet narzuciła sprany, w kilku miejscach niedbale pocerowany fartuch. Mirka nie rozumiała, dlaczego nadal nosi to brzydkie coś, co bardziej już przypominało ścierkę do podłogi niż element garderoby. Przecież osobiście wręczyła jej na urodziny nowiuški egzemplarz, taki idealny, nasycony kolorami, do tego z falbanką na brzegach. Nie mogła uwierzyć, że stary fartuch w kratę podobał jej się bardziej.

W drugim kącie pokoju siedział ojciec. W spodniach od garnituru i niebieskiej koszuli rozpiętej na kilka guzików od góry. Zaslaniając się gazetą, ukradkiem wlewał do parującego kubka zawartość piersiówki, którą sprezentował mu jego syn, Paweł. Mirka nie pochwałała tego prezentu, ale już się nauczyła, że jej durnemu bratu niełatwo cokolwiek przetłumaczyć. Niezmiennie dawał tacie kolejne butelki wykwintnych alkoholi i uznawał to za najlepszy z możliwych pomysłów, zupełnie ignorując fakt, że dopaja osobę z problemem, do którego owa osoba przyznać się nie chce.

Mirka stała przez chwilę na korytarzu. Nasłuchiwała. Nikt jednak nie odezwał się słowem. Zmarszczyła brwi. Najpierw jej się to nie spodobało, bo taka cisza w małżeństwie jakoś nie odpowiadała jej wyobrażeniom, ale zaraz się zmiętygowała. Może już wyczerpali wszystkie tematy? Poza tym przecież milczeć wspólnie też trzeba potrafić, prawda?

Już miała wyjść ze swojej kryjówki, by przywitać się jak trzeba, kiedy usłyszała donośny głos mamy:

– Kazik, otworzyłbyś to dziadostwo, bo zassało jakby kto klejem skropił.

Następnie rozległo się sapanie, a po nim ciche przekleństwo ojca.

– Daj no jakiegoś noża czy coś. Przecież normalnie się tego nie da.

– A tam, nożem, żebyś mi nakrętkę psuł. Nożem to i ja potrafię otworzyć. Daj.

– Dobra, czekaj no. Jeszcze raz zobaczę.

Mirka ponownie usłyszała sapanie, a po nim głośne kliknięcie.

– O, i proszę – zawołał wesoło Kazik.

– Pięknie, chociaż raz żeś się do czegoś dzisiaj przydał – odezwała się mama.

– Co ty chcesz, Krycha, przecież niedziela dzisiaj.

– Niedziela, a pewnie, ale ja i tak od rana jak ten robocik po domu chodzę. Ogarnąć salon po tobie musiałam, bo żeś wczoraj kwiatki po drodze z kwietnika powypieprzał. Później do garów, śniadanie, na obiad podszykować, później koszule podprasować, żebyś jak człowiek na mszę polazł i mi wstydu nie robił. Po kościele ja dalej do obiadu, a pan sobie siedzi jak król przy stoliku i herbatkę popija!

– A co mam robić? – spytał bezradnie ojciec.

Mama sapnęła dźwiękiem przypominając rozjuszonego byka.

– Nic! Najlepiej jak teraz bąki w krzesło puszcza!

Ojciec coś wymruczał pod nosem, a Mirka cofnęła się do drzwi wejściowych. Otworzyła je i zaraz głośno zamknęła. Trzask poniósł się po domu, wywołując mamę z kuchni. Twarz miała uśmiechniętą. Ani trochę nie było widać, że jeszcze przed chwilą darła się na ojca.

– Córcia! Jesteś wreszcie! W samą porę, obiad dochodzi. Jak droga? – mówiła całując Mirkę w policzki.

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała trochę niepewnie.

– Zachodź no dalej. Z ojcem się przywitasz. Akurat w kuchni ze mną siedzi.

Mirka grzecznie podreptała za rodzicielką. Kazik Koziół wstał z zajmowanego krzesła i zagarnął córkę w ramiona. Mirka poczuła się jak mała dziewczynka. Ze względu na czuły gest, ale też przez zapach, który ojca otaczał. Tania woda po goleniu, lekki smrodek potu i najwyraźniejsza z woni – nuta bimbru własnoręcznej produkcji.

*

– Córcia, i kiedy nam jakiegoś kawalera do domu przyprowadzisz, co? – zapytał ojciec, sugestywnie poruszając brwiami. Zaraz jednak się skrzywił. Syknął nawet, posyłając złe spojrzenia małżonce, która poprawiła się na krześle. Pochylił się, by rozmasować obolałą od uderzenia łydkę. Obiecał sobie, że te Krysine kapciuchy z twardą podeszwą spali w piecu przy najbliższej okazji. – Co ja znowu powiedziałem? Ciekawy jestem i tyle.

Małżonka spojrzała w sufit, jakby tam szukała odpowiedzi. Tak naprawdę modliła się o cierpliwość dla siebie i odrobinę rozumu dla męża.

– Spokojnie, mamó – powiedziała szybko Mirka, żeby nie zaognić sytuacji. – To żaden drażliwy temat. Tato – zwróciła się do Kazika i poczęła powoli artykułować słowa, by mieć pewność, że dotrą do starsuszka. – Mam trzydzieści trzy lata, nie mam męża, dzieci ani nawet perspektyw, by zmienić tą sytuację. Kilkadziesiąt lat temu uznano by mnie za starą pannę, ale teraz to nic takiego. Mnóstwo kobiet tak żyje. Są niezależne, mają dobrą pracę, awansują, a nawet mają dzieci, jeśli chcą. Wcale do tego nie potrzebują męża.

– Co? Ale jak to nie potrzebują? To jak one... one... – zająknął się ojciec.

– Normalnie. Albo poprzez przygodny seks, ale to ryzykowne z wielu względów, albo sztuczne zapłodnienie. Teraz są takie banki ze spermą. Idzie się, przegląda katalog z dawcami, wybiera, a później zabieg i do domu.

– Jezusie, do czego to doszło! – Kazimierz pokręcił głową na boki i sięgnął do kieszeni spodni, ale w porę sobie przypomniał, że za wyciągnięcie piersiówki przy stole Krysia gotowa była zrobić coś gorszego, niż kopnąć go w nogę.

– Widzisz, teraz kobiety świadome są, a nie jak kiedyś. Wszyscy nam wmawiali, że bez męża to ani rusz, a tu wcale nie trzeba się skazywać na żadne dożywocie – odezwała się Krysia, popijając w spokoju kompot.

– Krysia, tak gadasz, jakby ci ze mną źle było.

Kobieta wzruszyła tylko ramionami i skupiła się na córce.

– Córcia, a ty też takie plany masz? Wiesz, na męża to ja cię ostatnia namawiać będę, ale z tym... no... – Zmarszczyła brwi, by po krótkiej chwili pstryknąć palcami z błyskiem w oku.

– Z zegarem biologicznym żartów nie ma.

Mirka zamrugała szybko. Tak naprawdę marzyła o wielkiej miłości niczym z romansu. Chciała stanąć na ślubnym kobiercu obok ukochanego, z którym zbuduje rodzinę, tylko dużo mniej patologiczną niż ta, w której przyszło jej się wychować. Niewzruszoną brakiem potencjalnego partnera udawała tylko, by nikt się z niej nie śmiał ani jej nie współczuł. Wystarczało, że ona sama użalała się nad sobą.

– Znaczy... Ja... Mam jeszcze trochę czasu, a samotne macierzyństwo jest wykonalne, ale to wielkie wyzwanie. Planuję jeszcze poczekać.

– Jak uważasz – uznała mama z lekkim zawodem. – Tylko daj znać, jak zmienisz zdanie.

– Oczywiście. Wy się dowiecie jako pierwsi – obiecała, skrycie marząc o małym łyczku zawartości tatowej piersiówki.

– Miruś, a może zamiast kombinować po nowoczesnemu, do Staśka zza mostu byś się odezwała? Samotny chłopak, zdrowy, a zawsze oczami za tobą strzelał.

Kobieta zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć wspomnianego przez Kazimierza osobnika. Zamajaczył jej lekko chudy chłopak bez jedyńki z przodu. Skrzywiła się.

– Chyba podziękuję, tatuś.

– Właśnie, Kazik, nie wtrącaj się w życie dziecka. Niech sobie wszystko układa po swojemu.

– Ale Krysiu, przecież sama mi kazałaś o nim wspomnieć... – bronił się ojciec, ale szybko zamilkł pod srogim spojrzeniem żony.

– Słuchajcie, a jakie macie plany na walentynki? – zagadnęła Mirka, pragnąc odsunąć rozmowę od swojej osoby.

– A w jaki dzień to wypada?

– W sobotę.

– To ja pewnie na zakupy pojedę, dom sprzątać będę, a później może pościele przepiorę, a ojciec to pewnie do piwnicy na pół dnia zejdzie, a później albo wpełźnie na górę i usnie na kanapie, albo jeszcze gdzieś polezie.

Mirka spojrzała na tatę. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Ale... ale... to walentynki! – niemal krzyknęła.

– I?

– No, święto zakochanych przecież! Nie spędzicie go chyba osobno?!

– Córcia... – zaczął niepewnie Kazik.

– Nie córciuj mi teraz! – Uderzyła otwartą dłońią w stół i spojrzała z wyczekiwaniem na mamę.

– Mireczko, ojciec rację ma. To całe święto zakochanych to dla młodych jest, a nie dla takich stażowych jak my.

Mirosława uśmiechnęła się chytrze, a Kazik poczuł, jak nieprzyjemny dreszcz przechodzi mu po plecach. Ten wyraz twarzy córka odziedziczyła po matce, a w przypadku obu kobiet zapowiadał coś złego, szczególnie dla Kazika.

– Mamo, ale sama pomyśl. Nowakowie pewnie będą świętować, i to nie byle jak, a wy?

Kazik z przerażeniem kręcił głową. Wiedział, że córka wyciągnęła argument, na który Krysia była bezwzględnie podatna, a on przeciw dwójce kobiet nie miał szans.

– Potem spotkacie się w sklepie i będzie jak z tym wyjazdem do Iwonicza – mówiła dalek Mirka. – Nowakowa zacznie opowiadać, jak to wspaniale było, ile atrakcji, a ty będziesz stała i nic jej nie będziesz mogła odpowiedzieć.

– Myślisz, że oni walentynki obchodzą? – Mama wydawała się wątpić.

– Nie, nie – szeptął nieśmiało Kazik, ale Mirka zagłuszyła go stuprocentowym przekonaniem:

– Wątpliwości nie mam! Przecież oni za rękę po wsi chodzą, to i święto zakochanych na pewno celebрую.

– Kazik! – krzyknęła Krysia, na co mąż aż podskoczył na swoim krześle. – W sobotę na kolację idziemy!

Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie na boki, jakby szukał drogi ucieczki. Nagle znieruchomiał.

– Ale gdzie, jak tu tylko gospoda jest, a ty mówisz zawsze, że to melina.

Krysia oklapła na swoim miejscu.

– Rzeczywiście.
 – Ale to żaden problem – odezwała się pewnie Mirka. – Zorganizujemy wam walentynki tutaj.
 – Tutaj? – zapytała mama z powątpiewaniem.
 – Zaufajcie mi. – Uśmiechnęła się, a błysk w jej oczach znowu nie spodobał się Kazikowi. – To będzie niezapomniany wieczór.
 – Właśnie tego się boję – szepnął Kazik pod nosem, uważając, by żadna z kobiet go nie usłyszała.

*

– Paweł, mamy robotę! – Mirka rzuciła bez powitania do zestawu głośnomówiącego w samochodzie.
 – Nie – usłyszała w odpowiedzi.
 – Ale jeszcze nie powiedziałam, o co chodzi!
 W tle usłyszała ciężkie westchnienie.
 – Dobrze, o co?
 – Trzeba rodzicom wyprawić niezapomniane walentynki. Takie, których przez lata nie zapomną. Ten wieczór na powrót obudzi w nich uśpione szarą codziennością uczucie i...
 – Nie – przerwał jej brat. – Sorry, siostra, ale odstaw w końcu te romanse, umów się na randkę z Tindera i zacznij żyć własnym życiem.
 Po tych słowach w samochodzie Mirki rozbrzmiał przeciągły sygnał zerwanego połączenia.
 – Nie wierzę, ten troll się rozłączył! – Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. – I jeszcze śmie wygadywać takie bzdury – psioczyła dalej. – Ja nie mam swojego życia? Też coś! Ja tylko próbuję ratować podupadający związek rodziców! Jeszcze pokażę temu parszywemu wypierdkowi!
 Szybko wybrała numer przysłej bratowej.
 – Halo?
 – Cześć. Gosiu, jest sprawa. Chciałabym zorganizować rodzicom walentynki, jakich jeszcze nigdy nie mieli. Czy nie miałabyś ochoty trochę mi pomóc?
 – Ale oczywiście. Cudowny pomysł! – W głosie rozmówczyni brzmiał szczerzy entuzjazm.
 Mirosława uśmiechnęła się jak kot z Cheshire. Teraz Paweł nie miał wyjścia. Co jak co, ale swojej narzeczonej nie potrafił niczego odmówić.
 – Bardzo ci dziękuję, przyszła siostrzyczko, a teraz słuchaj. Plan jest taki...

*

W sobotni rano Mirka podjechała pod dom rodziców. Samochód Pawła już stał na podwórzu. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i weszła do mieszkania.
 Gosia i brat siedzieli w kuchni. Właśnie kończyli jajecznicę.
 – Dzień dobry wszystkim! – zawołała Mirka.
 Brat odpowiedział jej z pełnymi ustami, ledwo zaszczycając spojrzeniem, za to Gosia podeszła i serdecznie się uściskały.
 – Gdzie rodzice? – zapytała, wyglądając na korytarz.
 – Pani Krysia poszła po torebkę, a pan Kazik... Właściwie to nie wiem – odezwała się Gosia.
 Mirka machnęła ręką.
 – Trudno, jego na razie nie potrzebujemy. Paweł, poszukaj go, jak już skończysz, a my ruszamy, jak tylko mama zejdzie. Mamo! – krzyknęła w stronę sufitu. – Trzeba jechać! Pamiętasz, co masz zrobić? – zwróciła się na powrót do brata.
 – Przecież, że tak. To nic skomplikowanego.
 – A jednak powtórzę. – Zaczęła wyliczać na palcach. Jej czerwone paznokcie skojarzyły się

Pawłowi ze świeżą krwią. – Ma wziąć kąpiel i ogolić się. Golenie dokładne, z trymowaniem włosów w nosie. Uczesz go jakoś, wypachnij i ubierz. I przede wszystkim pilnuj, żeby nie pił. Wszystko weźmie w łeb, jeśli w trakcie kolacji spadnie z krzesła.

– Siostra, weź nie przesadzaj! – Paweł niepewnie zerknął w stronę Gosi. Nie chciał, by myślała, że ich tata ma jakiś problem z alkoholem czy coś podobnego.

– Nie przesadzam. Jestem realistką.

– Ale jednak... – Zezował w stronę narzeczonej.

– Pawełku, Gosia niejedną raz widziała tatusia, zdążyła się zorientować.

Rodzeństwo wespół spojrzało na wywołaną. Małgorzata uśmiechnęła się niepewnie i wzruszyła ramionami. Zauważyła, a owszem, ale i tak lubiła rodzinę Pawła. Nawet bardziej niż swoją i to bez wyjątku, kompletnie każdego.

– Skoro to mamy wyjaśnione, możesz jeszcze poustawiać świece w salonie. O, a tu masz składankę, którą odpalimy do kolacji. – Mirka podała bratu płytę CD z najromantyczniejszymi piosenkami, jakie знаła. Jeśli cała reszta zawiedzie, one muszą zadziałać.

– Gotowa – odezwała się Krysia z progu pokoju

– W samą porę. Ruszamy, dziewczyny! – zakomenderowała Mirka, jednocześnie wypychając mamę w stronę korytarza.

Pół godziny później w trójkę przekroczyły próg salonu piękności „Afrodyta”. Krystyna Koziół poczuła się odrobinę nieswojo wśród tych wszystkich wypacykowanych kobiet o wargach jakby pożądlonych przez pszczoły i rzęsach niczym wachlarze. Nie miała jednak czasu, by się nad swoimi uczuciami dłużej zastanowić, bo niemal od razu została wciągnięta na wygodny fotel, gdzie coś zaczęto robić z jej twarzą. Najpierw miła młoda kobieta przemyła jej twarz wacikiem nasączonym płynem do Bóg wie czego, który jednak przyjemnie pachniał i chłodził. Później zaczęła masować mascią z drobinkami, które drapały, ale to również było całkiem miłe.

Krysia kątem oka widziała swoją córkę i narzeczoną syna, jak wesoło szczebiotały do siebie przy sąsiednich stolikach. Dłonie miały wyciągnięte przed siebie, a kosmetyczki robiły coś z ich paznokciami. Kiedy na twarzy wylądowała jakaś gęsta maź, a na powiekach plastry z jakiegoś żelowego czegoś, podglądanie się skończyło. Pozostało tylko podsłuchiwanie.

– Mój braciszek jeszcze nie zalał ci za skórę? – zapytała Mirka.

Małgosia zaśmiała się uroczo.

– Może, ale tylko pozytywnie. Wiesz, on jest zupełnie inny. Taki prawdziwy, nikogo nie udaje, niczym nie próbuje szpanować, no i nie ma kołka w czterech literach, jak większość mężczyzn, których znam. Poza tym nocą...

Krysia wyteżęła słuch, ale właśnie jedna z fryzjerek włączyła suszarkę w pomieszczeniu obok i wszystko zagłuszyła. Kobieta przeklęła w myślach.

Po jakimś czasie została poprowadzona do małej klitki i poproszona o zdjęcie spodni oraz majtek.

– Ale po co? – zapytała nie lada przestraszona.

– Jak to? – młoda dziewczyna, która ostatnim razem przesadziła z solarium, zajrzała w dokumenty.

– Mam zamówioną depilację woskiem.

– Woskiem?! – krzyknęła Krysia. Może i mieszkała na wsi, ale wiedziała, że depilacja woskiem nie jest najprzyjemniejsza. – Proszę tu przyprowadzić moją córkę! Mirka! – wydarła się, zanim dziewczyna z obsługi zdążyła się choćby obrócić w stronę drzwi.

Do pokoiku wpadła Mirosława z Gosią za plecami.

– Co się stało?

– Córcia, ona chce mnie woskiem traktować – poskarżyła się Krysia, wskazując palcem na przesadnie opaloną kosmetyczkę.

– Aaa, to – westchnęła Mirka i uśmiechnęła się delikatnie. – Mamcia, depilacja to w tych czasach konieczność. Jak tak do męża z takimi włosami na nogach wyjdiesz...

– To ja się ogolę, tylko maszynkę mi dajcie, a nie od razu woskiem. Zresztą ojciec nigdy na tę szczecinkę nie narzekał – powiedziała tonem naburmuszonego dziecka.

Mirka podeszła do mamy, po drodze szepcząc coś do kosmetyczki. Dziewczyna skinęła głową i czym prędzej wybiegła.

– Mamo, posłuchaj. Dzisiaj będziesz najpiękniejsza, a ten cały wosk jest konieczny. Zobaczysz, będziesz gładziutka przez tygodnie, a tata zachwycony.

– Ale to boli przecież.

– Tylko trochę. Sama pomyśl, dwa porody zniosłaś, to głupiego wyrywania włosów będziesz się bała?

Wróciła opalona dziewczyna z kieliszkiem i całą butelką różowego wina musującego.

– A to co? – zdziwiła się Krysia.

– A to znieczulenie, mamo – powiedziała Mirka i nalała bąbelków do kieliszka. – Do dna. Zabieg depilacji zaczął się od skowytu zranionego zwierzęcia.

– Pierwszy zawsze najgorszy – stwierdziła Mirka, krzywiąc się, bo mama ścisnęła jej dłoń z taką siłą, jakby chciała jej połamać palce.

Po drugiej stronie fotela stała Gosia, która również miała ból wypisany na twarzy, bo Krystyna trzymała je obie. Przez chwilę narzeczona Pawła pomyślała, że robi to specjalnie, żeby i one cierpiały, ale Krystyna najwyczejniej w świecie walczyła ze sobą, by nie zerwać się z fotela i nie uciec, gdzie pieprz rośnie. Gdyby wiedziała, co ją czeka w tym piekielnym miejscu, wyskoczyłaby z pędzącego samochodu córki, byleby tego uniknąć.

Gdy kosmetyczka zaczęła nakładać kolejną porcję wosku, Krysia zażądała kieliszka wina. Pełnego. Wypiła jednym haustem.

Kiedy doszli do depilacji okolic bikini, w butelce została już resztką płynu, a Krysia leżała na łóżku zabiegowym ni to szlochając, ni to czkając.

– To co? Reszta na zgonie, a potem jakoś ją ocucimy? – szepnęła Gosia konspiracyjnie.

– Chyba nie mamy wyjścia – przytaknęła Mirka obserwując, jak mama powoli, powoli zapada w alkoholowy sen. Miała nadzieję, że jej bratu idzie lepiej.

*

Paweł skończył śniadanie, odstawił brudny talerz do zlewu, jak nauczyła go mama i zawołał tatę. Odpowiedziało mu jedynie tykanie zegara. Westchnął ciężko i ruszył na poszukiwania. Przeczesał każde pomieszczenie. Zajrzał nawet do szafy i pod łóżko w sypialni, myśląc, że ojciec może ukrył się przed tą całą romantycznością, na którą miał się szykować. Przechodząc obok drzwi do piwnicy, coś go tknęło. Uchylił skrzydło, a tam schody oświetlone łuną światła z dołu. Eureka!

Zszedł na sam dół i zobaczył ojca, jak ten wpatruje się w skapujące do słoika krople bimbru.

– Tato, wołałem cię – odezwał się nie bez pretensji.

Kazik podskoczył na taborecie, widocznie przełknięty. O mało nie stracił przy tym równowagi i nie wyrznął na posadzkę. Odwrócił się do syna i teatralnym gestem złapał się za pieś.

– Synek, na zawał bym zszedł przez ciebie – powiedział, a w jego głosie usłyszeć można było moc skapującego nieopodal trunku.

– Dużo wypiliśmy? – zapytał Paweł.

Podszedł bliżej, by nachylić się nad ojcem, ale zaraz się cofnął. Jeśli o stanie mężczyzny nie stanowiły jego szkliste oczy, to na pewno robił to zapach.

– Cholera, Mirka nas ukatrupi, jak nie postawimy cię do pionu.

Kazik zamrugał, jakby ciężko mu było przyswoić słowa syna.

– Eee, za co?

Paweł nie odpowiedział. Wgapił się w ekran telefonu, coś poklikał i czytał, marszcząc brwi. W tym czasie Kazik wzruszył ramionami i sięgnął po emaliowany kubeczek z resztką płynu na dnie. Już zbliżał go do ust, już, już czuł cudowne rozgrzanie w przełyku, gdy nagle kubeczek zniknął, a on z rozpędu przytrząsnął sobie dłonią w zęby.

– Synek, co ty?

– To, że trzeźwy masz być, jak one wrócą. Zbieraj się na górę. Najpierw dostaniesz coś do jedzenia, później się wykąpiesz, a jak to nie pomoże, to będziemy się martwić.

– I co? Tak do wieczora nic a nic? – Spojrzał tęsknie na butelki bimbrow.

– Nic.

– Ale... – próbował oponować Kazik.

– Chcesz się potem tłumaczyć mamie i Mirce, czemu im zniszczyłeś plany? Raz się poświęcisz. Przecież zawsze mi powtarzasz, że ty nie pijesz, bo musisz, tylko dlatego, że lubisz.

– No... tak. Ale może chociaż jeszcze kropeczkę?

– Tato! Nie przeginaj. Ciebie pewnie trwale nie uszkodzą, ale mnie Mirka może porządna krzywdę zrobić i nawet Gosia mnie nie wybroni, ani mama, więc bierz się w garść i idziemy ratować sytuację!

Dwadzieścia minut później najedzony Kazik brał gorący prysznic. Syn stał odwrócony do niego tyłem i przypominał, gdzie i co powinien wyszorować. Mężczyzna pomyślał, że świat stanął na głowie. Przecież jeszcze nie tak dawno to on pilnował syna, czy dobrze się umył. Jak to role się odwracają...

Po prysznicu przyszła pora na golenie. Na widok trymera do włosów w nosie Kazik się wzdrygnął, ale dzielnie zniósł zabieg. Nawet bardzo nie ciągnęło. Może raz czy dwa. Następnie został dokładnie obwąchany przez syna.

– Niby dobrze, ale weź mi jeszcze chuchnij.

Paweł wzdrygnął się. Pod warstwą męskiego żelu pod prysznic i wody po goleniu, nadal czuć było wyraźną woń alkoholu.

– Zęby myj. Dokładnie. Razem z policzkami i językiem.

– Co?

– Nie dyskutuj i myj. To nie boli.

Kazik, lekko obrażony, zrobił, co mu kazano. Po kolejnej próbie chuchania Paweł nadal był niezadowolony. Podrapał się po głowie i znowu sięgnął po telefon. Kiedy skończył czytać, przeszli do kuchni, gdzie napoił ojca waniliowym zapachem do ciasta, potem dał mu do żucia ziarna kawy i goździki. Kazik krzywił się, sarkał, prawie pluł, ale syn stał nad nim z poważną miną i pilnował niczym dziecka. Po torturach obaj wydawali się zadowoleni. Paweł, bo udało się pozbyć alkoholowego oddechu, a Kazik, bo już nie musiał mieć w zębach tych paskudztw.

*

Krysia Koziół została napojona kolejną szklanką, tym razem wypełnioną wodą. Szumiało jej w głowie i było niedobrze. W dodatku po takiej ilości płynów co chwila biegała do toalety salonu piękności. Za pierwszym razem tak się przestraszyła, kiedy używała papieru, że o mały włos nie odleciałaby do przodu z pozycji „na Małysza”. W ostatnim momencie złapała równowagę, by ostrożnie obmacać swoje strategiczne rejony. Całkiem gładka skóra była dziwnym odkryciem i ciężko jej było stwierdzić, co myśli o tym fakcie. Właściwie ledwie mogła się skupić na podstawowych czynnościach, jak choćby ustanie w pionie i wciągnięcie spodni na łysą pupę.

Wtoczyła się do salonu, gdzie ktoś od razu ją porwał i usadzał to w jednym, to w drugim fotelu. Paznokcie, makijaż, a nawet zrujnowana trwała, która zmieniła się w jakieś „modne”

cięcie, które miało ją odmłodzić. Po tym wszystkim miała problem, by rozpoznać siebie w lustrze. Zmrużyła oczy, kobieta naprzeciwko również. Za nią stanęły Mirka z Gosią. Obie uśmiechnięte szeroko.

– I jak? – zapytała córka.

– Ja nie wiem. Ojciec mnie nie pozna. Albo mnie z domu jako obcą akwizytorkę wyrzuci, albo będzie lepił łapy, a ja nie wiem, co gorsze...

Mirka pomyślała, że mama bredzi z upojenia alkoholowego. Uregulowała rachunek, który zabolął, ale ostatecznie uznała, że było warto i zabrała kobiety na jakiś posiłek, żeby Krysia nabrała sił i choć odrobinę wytrzeźwiała.

Po obfitym posiłku Krystyna czuła się odrobinę lepiej, aczkolwiek nadal wyraźnie była pod wpływem alkoholu. Zmierzając do sklepu, gdzie miała na żądanie córki nabyć nową sukienkę, z miłym zaskoczeniem dostrzegła, jak jakiś mężczyzna się za nią obejrzał. Poczuli się z tym niespodziewanie dobrze. Zaczęła jakby wyraźniej kołysać biodrami, poprawiła włosy i uśmiechnęła się do świata. Czuła się seksowna pierwszy raz od lat i właśnie zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej tego uczucia.

Gosia w trymiga znalazła w sklepie sukienkę idealnie dopasowaną do figury przyszłej teściowej. Krwiście czerwona, z pokaźnym dekoltem. By biust prezentował się jeszcze lepiej, kobiety dobrały odpowiednią bieliznę. Tyle podkreślającą walory, co kryjącą niedoskonałości i równie pociągającą. Na końcu wybrały buty na niskim słupku, bo o innym obcasie Krysia nie chciała słyszeć.

Mirka niemal zemdląła przy kasie, ale sama się zobligowała do płacenia, więc pretensje mogła mieć jedynie do siebie. Skrycie miała nadzieję, że kiedyś karma do niej wróci i ją też spotkają wymarzone walentynki.

Rozchichotane kobiety wzięły kolację w styropianowych pojemnikach oraz kawę na wynos i ruszyły ku domowi Kozłów.

*

Paweł zastawił stół, rozstawił świece i włożył płytę z romantyczną muzyką do odtwarzacza. Ojca usadził przed telewizorem, żeby mieć go na oku. Tak się wczuł w atmosferę, że z własnej inicjatywy pomyślał o kwiatach dla mamy. Zapakował tatę do samochodu i obaj ruszyli na poszukiwania otwartej kwaciarni.

Kazika strasznie suszyło, ale syn pilnował go niczym szkolony Cerber. Nawet piersiówkę mu zabrał, co do Pawła było zupełnie niepodobne.

– Tato, zobaczysz, warto będzie się przemęczyć jeden dzień.

Kozłowi nie pozostawało nic, jak tylko uwierzyć w te słowa.

Do domu wrócili z wielkim bukietem piętnastu róż, zza którego Kazik ledwie widział drogę przed sobą. Cudem nie wywalił się na błocie.

Ledwie mężczyźni weszli do domu, na podwórko wjechał samochód Mirki. Paweł pośpiesznie rozejrzał się po salonie, czy wszystko jest jak być powinno. Potem wypchnął Kazika na korytarz, by kwiatami witał ukochaną żonę.

Krysia Kozioł przekroczyła próg lekko chwiejnym krokiem. Znieczulenie zastosowane przy depilacji jeszcze z niej nie wywietrzało. Kobieta była w trakcie trzeźwienia, jeszcze trochę zawiana, ale już z pierwszymi symptomami kaca. Niemniej uśmiechnęła się, żeby zrobić wrażenie.

Kazik zamrugał i obejrzał kobietę od stóp do zupełnie odmienionego czubka głowy. Wyglądała elegancko i jakby młodziej, ale był pewien, że to nadal była jego żona. Wyciągnął więc w jej stronę różę.

– Dziękuję.

– Krysia, wyglądasz pięknie! – krzyknął wzruszony Kazik. Gdyby niezmiennie od dziesięcioleci nie kochał żony, właśnie zadurzyłby się bez pamięci.

– Ty też prezentujesz się niczego sobie.

Kazik podał małżonce ramię i wprowadził do salonu. Z głośnika sączyła się delikatna muzyka, a jedynym źródłem światła w ciemności były liczne płomienie świec.

Mirka zakradła się za rodzicami. Musiała przyznać, że Paweł się postarał. Jeszcze te kwiaty. Pokiwała do niego z uznaniem, a on niemal spuchł z dumy. Przewróciła oczami i ruszyła do kuchni, by odgrzać kupioną kolację.

Gdy wszystko było już gotowe, młodzi zebrali się do wyjścia, zostawiając Kozłów wpatrzonych w siebie przy stole.

– Wiesz, siostra, muszę ci przyznać, że ten twój pomysł był nawet całkiem dobry – powiedział Paweł przy samochodzie.

Mirka zrobiła wielkie oczy na uznanie brata. Po chwili uśmiechnęła się szeroko.

– Nie tylko ten, ale cieszę się, że zauważyłeś.

– Skromna jak zawsze.

– A jakże. Właściwie... to macie jakieś plany na dziś? – Mirka spojrzała na Małgosię, która wtulała się w bok Pawła.

– Kino, kolacja i gorący czas w sypialni – powiedział zadowolony Paweł.

– Może wybierzesz się z nami? – zaproponowała Gosia, po czym odrobinę się zmieszała. – Znaczą do kina.

Pewnie, żeby być piątym kołem u wozu – pomyślała Mirka i grzecznie odmówiła.

Patrzyła, jak brat z narzeczoną odjeżdża. Poczowała ukłucie zazdrości i smutek, że oto wraca do pustego, cichego mieszkania, a wieczór spędzi sama w łóżku z lodami i jakimś romanssem. Potem pewnie popłacze przed snem nad swoją plakietką singielki.

Zanim wsiadła do samochodu, spojrzała jeszcze na rodzinny dom i uśmiechnęła się delikatnie. Przynajmniej zrobiła tego dnia coś dobrego. Nie miała pojęcia, że po przeciwnej stronie drogi chowa się w cieniu mężczyzna i bacznie ją obserwuje.

Stasiek zza rzeki wyszedł z ukrycia, kiedy światła samochodu Mirki przestały być widoczne. Westchnął tęsknie i ruszył przed siebie.

*

Trzy godziny później w domu Kozłów.

Kazimierz Kozioł odstawił pusty garnek na podłogę. Spojrzał na swoje dzieło. Zwęglona zasłona ociekała wodą, ściana wokół była cała brudna. Westchnął. Teraz już nie ominie go malowanie salonu. Chyba że małżonka wcześniej go ubije.

Z niemałym strachem zerknął w stronę żony. Ta spojrzała na niego, na szkody wywołane mini pożarem i wybuchła szczerym, niepohamowanym śmiechem. Kazimierz dołączył do niej. Najpierw z wahaniem, później już odważniej.

I pomyśleć, że znaleźli się w tej sytuacji przez szaloną modę na depilację miejsc intymnych, o której Kazik może miał jako takie pojęcie, ale nigdy się nie spodziewał, że jego Krysia jej ulegnie. Gdyby choć podejrzewał, pewnie nie wystraszyłby się tak bardzo gładkości, którą odnalazł pod ubraniem małżonki, nie odskoczył od niej i nie wpadł przy tym na jedną ze świec. Potem sprawy potoczyły się już szybko, ogień buchnął, a Kazik czym prędzej pobiegł do kuchni po jakiegokolwiek naczynie zdolne pomieścić w sobie choć odrobinę wody. Pożar ugasił, ale całe szczęście namiętność wywołana romantycznym wieczorem przetrwała. Zanim jednak rozgorzała w pełni, Krysia rozważnie wstrzymała męża przed dalszymi harcami na dywanie i przed ich kontynuacją najpierw zdmuchnęła wszystkie nastrojowe płomyki.

Później noc 14 lutego była już tylko ich.



Teodozja Zariwna

MIASTO BEZ SERCA

przełożył Bogdan Knop

DZIEŃ ZACZAŁ SIĘ NIE CAŁKIEM ZWYCZAJNIE. Zamykałam właśnie drzwi wejściowe. Za plecami głucho stuknęła winda, zmuszając mnie do odwrócenia i przywitania się, ale z windy wyszedł kot i z powagą ruszył w głąb długiego korytarza. Byłam trochę zaskoczona, bo czekałam na tego, który kota wyprowadził. Ale winda zamknęła się i pojechała w dół. Więc i ja zeszałam po schodach. Jednak dwa piętra niżej ostrożnie nacisnęłam guzik i jeszcze ostrożniej zajrzałam do wnętrza windy. Było tam pusto, więc z lekką obawą weszłam do środka, chociaż zostało tylko jedno piętro i mogłam spokojnie zejść pieszo.

Miasto stroiło sobie żarty od samego rana. Przejeżdżały wypełnione po brzegi tramwaje. Uświadomiłam sobie, że wszystko jedno, bo i tak jestem spóźniona, więc prawie z lubością ulicznego gapia patrzyłam, jak gruby wujcio upycha pasażerów na schodach tramwaju niby kukurydź na wozie, po czym z poczuciem dobrze wykonanej roboty zamyka za nimi drzwi, które jednak się zacięły, nie wpuszczając tych, którzy uparcie wisieli na schodach. Z wdzięcznością popatrzyłam na owego upychacza i podjęłam ryzyko wejścia w wir tych, którzy chcieli dotrzeć do wymarzonych drzwi. Upychacz, mocno ale ostrożnie, popchnął mnie do wnętrza tramwaju, a drzwi w końcu się zamknęły. Jechałam z dziwnym uczuciem, że zrobił trochę więcej ruchów niż powinien. Z tym lekkim niepokojem wysiadłam po trzech przystankach, a raczej wypchnięto mnie na zewnątrz. Kiedy otworzyłam torbę, nie było w niej pugilaresu. Nawiasem mówiąc, tego dobrego upychacza nigdy więcej nie zobaczyłam na naszym przystanku.

Droga do redakcji ciągle była w remoncie, choć od zrobienia pierwszego wykopu minął już rok. Byłam tak zajęta myślami o pugilaresie (po kilku skradzionych w poprzednich latach nigdy nie brałam ze sobą więcej pieniędzy niż dniówka, ale dobrej skórzanej portmonetki, подарowanej mi na urodziny, było szkoda), że na kolejnym wykopie boleśnie skręciłam znowu tę samą nogę i zaraz zaczęłam mocno kuśtykać.

Nie poprawiła mi nastroju nawet Kira Samochina, która ubzdurała sobie, że niby jest tu najlepsza, miała kolejny romans z kolejnym szefem i mówiła metalicznym głosem przez ściśnięte usta: „Co to za artykuł? Co to za tytuł «Szukam Sokratesa»? Czy jest tu choć jeden profesjonalista?”. Potem przekręcała wszystko od pierwszego do ostatniego zdania. I kto wie, czy był ktoś od niej lepszy w tym, żeby wyciąć z artykułu wszystkie żywe myśli, które w nim jeszcze pozostały. Cóż, Sokrates nie po raz pierwszy nie miał szczęścia. I ja też.

Do południa przeredagowywałam tekst i złościłam się, że nie mam dość odwagi, żeby złożyć wymówienie i udać się w otwarty kosmos, czyli donikąd. W tym mieście nigdy nie było żadnej pracy, a już na pewno takiej, która przyniosłaby mi radość i choć marny grosz.

Tuż przed obiadem wyszperałam wszystkie miedziaki z kieszeni kurtki, żakietu i torebki, wytrząsając zawartość wprost na stół, i poszłam do bufetu. Kanapkę jak zwykle miałam z domu. Pieniądzy starczyło na sok pomidorowy, który był półprzezroczysty, czyli dwukrotnie rozcieńczony, posolony od serca i z jakiegoś powodu wlany do stu pięćdziesięciogramowych plastikowych kubków, no i jeszcze na sałatkę. Garstka kapuścianych liści, kilka cienkich plasterków ogórka na płaskim jednorazowym talerzu, który, podejrzewam, był niejednym raz myty,

z jakiegoś powodu wywołał we mnie, zazwyczaj cierpliwej, nagły atak wściekłości. Przecięłam ten talerzyk na krzyż i ukryłam go pod innymi, które w brudnym stosie leżały na stole.

Zaliczka, jaką otrzymałam z przeznaczeniem na opłacenie rachunków za mieszkanie, była szalenie skromna, i chociaż wcześniej znałam kwotę, wpadłam w rozpacz. Ale opanowałam się i poszłam do toalety, żeby schować drogocenne papierki w staniku – dość miałam na dziś przygód z pieniędzmi. Trochę drobnych zostawiłam na dzień torby.

Kira w końcu zatwierdziła artykuł, a ja westchnęłam z ulgą. Miałam gdzieś to, że pod tekstem będzie widniało moje nazwisko, żyło we mnie jeszcze oczekiwanie dodatkowego, coraz mniejszego i mniejszego, aż do absurdu (o wartości dwóch bochenków chleba) honorarium. Ale to oznaczało, że dzień pracy się skończył. Za oknem ściemniało się, więc wyszłam na słabo oświetlone miasto, opierając się o długi mur, który miał ochronić mnie przed ponownym nadwyrężeniem ścięgni w uszkodzonej nodze. Ponadto tuż za murem rozpoczął się czarny rynek z mlekiem, ziemniakami, kapustą i kilkoma kurczakami lub królikami. I chociaż jakość towaru była trudna do oceny pod ledwie świecącą latarnią, to jednak podeszłam do ogórków. Były po trzydzieści drobne i po dwadzieścia duże. Popróbowалам mniejszych, całkiem sobie, potem poprosiłam o kawałek większego.

– Toż one z tej samej becзки. Po prostu posortowane!

Czasami analizuję, jakim głosem odpowiada mi przekupka, jaką ma twarz. Jeśli chytrą lub fałszywą – nie biorę. Ta mówiła całkiem szczerze, więc nie budziła podejrzeń. Wzięłam te większe, bo na sałatkę winegret łatwiej pokroić większe, a cena też ma znaczenie. Przed kioskiem naprzeciw, gdzie sprzedawano domowy ser z okolic Jaworowa, stała już mała kolejka. Poprosiłam, jak zawsze, żeby ser był suchy, bo po co mi dodatkowa woda, dolewana dla podniesienia wagi. Czasem udało się kupić pół kilo suchego. Buraki i marchew były tak drogie, że poszłam do „Furshetu”. Torbę z ogórkami i serem zostawiłam chłopakowi w przechowalni bagażu, ostrożnie zapinając kapryśny zamek błyskawiczny, co nie udało się za pierwszym razem.

Po odbiorze nie od razu obejrzałam torbę i dopiero na ulicy dostrzegłam, że zamek jest do połowy otwarty, do tego zaciął się – nie przesunął się ani w jedną, ani w drugą stronę. Zatem dziarski chłopak, który pracował w przechowalni, zajrzał sobie do torby. Wahałam się – wrócić, żeby mu nagadać albo podkablować, żeby go zwolnili z roboty, czy raczej powstrzymać się, bo zapamięta, zaczai się kiedyś i zrzuci cegłę na głowę. W końcu, skoro jest złodziejem, a dowód na to mam, to pewnie i bandytą. Tak czy owak, w rozterce powoli oddaliłam się od supermarketu.

Oczywiście już nie chciałam iść do tramwaju, chociaż ukraść mi nie było co. Wlokłam się na piechotę. Wielu ludzi poruszało się pieszo, widać nie tylko ja miałam problemy z transportem. Witryny drogich sklepów były rozświetlone, w ich pobliżu robiło się jakby cieplej. Za niedługo zima i o ile jesteś bohaterką latem, masz jakieś tam sukienki i swetry, wcale nie gorsze niż mają inne, to zimą żadne z twoich wynagrodzeń nie wystarczy na kożuszek czy zwykłe buty. Cały twój majątek od razu wychodzi na wierzch. I musisz sztukować swoje kurteczki dodatkową warstwą wataliny czy sztucznego futra, kładąc między nie kawałek ortalionu, żeby nie przewiewało. Tak przebiegasz pomiędzy śnieżycami i mrozami do wiosny. Masz nadzieję: już-już i coś się zmieni na lepsze w twoim życiu – wyjdiesz za mąż – znajdzie się ktoś, kto cię dostrzeże i doceni. Prawie wszyscy twoi znajomi pobrali się już i ułożyli sobie życie. Ci, na których jeszcze spoglądasz, to albo pijacy, albo starzy kawalerowie, albo dziwacy, których żadną siłą nie zapędzisz do ciepła rodzinnego – szkoda fatygi. Im mniej mężczyzn poznasz, tym mniej błota na ciebie spadnie. Takie jest prawo natury. Samotność to może nie najgorsza rzecz, jaka przytrafia się na świecie, ale naprawdę bardzo trudno ją znieść w święta: w sylwestra, w Boże Narodzenie, 8 marca, kiedy nawet najgorsza łajza niesie zasuszoną gałązkę mimozy. Udajesz

taką wyemancypowaną kobietę, niezależną i szlachetną, może trochę cyniczną i zjadliwą wobec oznak zainteresowania innych ludzi, zwłaszcza jeśli pochodzą one od żonatych. Tak bardzo przekonywałaś wszystkich o swej niechęci do zamążpójścia, że może i uwierzyli. Ale czujesz się za tą maską po prostu nieznośnie.

Ludzki potok płynie wraz z tobą w jakąś otchłań, w czarną dziurę czasu, każda chwila jak iskra między drutami tramwaju na zakręcie błyska, po czym znika. I wtedy nadchodzi strach. Strach, że będziesz żyć tak, jak żyłaś przez całe życie. Dlaczego tu przyjechałaś? Dlaczego twoja mama cię kochała i miała nadzieję, że tutaj, w wielkim mieście, ty, taka piękna i mądra, będziesz szczęśliwsza niż ona? Każdej soboty przywoziła ci koszyk z mlekiem i pierogami, ze słoikami mięsa w galarecie i świeżo pieczonym chlebem. Czy to wszystko też ma przepaść?

Na myśl o nadziejach mojej mamy gula rośnie mi w gardle. Czuję się bardziej winna niż ci wszyscy, którzy wyciągali moje pieniądze z torby, zapuszczali żurawia w moje zakupy, świadomie psuli moje teksty albo eksponowali w tytule jakiś wyłowiony z treści błąd – dlaczego oni wszyscy nie mogą żyć beze mnie?

Idę na pocztę, wysłać czasopismo z moim artykułem do znajomej z Kanady (może weźmie do swojej gazety i zapłaci kilka dolarów), a tu mówią mi, że to kosztuje pięćset hrywien. Gapię się tępo na wagę, która pokazuje, że czasopismo waży jeden kilogram i sto gramów. Dziwię się i mówię, że to niemożliwe.

– Jak niemożliwe? Cyfr pani nie widzi?!

Cyfry na wadze elektronicznej rzeczywiście pokazują tysiąc sto gramów, ale dwa dni temu wysyłałam to samo czasopismo do mamy (niech się ucieszy) i ważyło czterysta gramów.

Wyraz mojej twarzy czymś zaniepokoił zezowatą, pyskatą, szelmowatą dziewczynę, która nacisnęła jakiś guzik z boku i waga pokazała czterysta.

– To pani źle położyła...

Tak więc opłata spadła do stu pięćdziesięciu hrywien, co jakoś mnie zadowoliło, choć pożegnałam się z nimi z żalem. Dziewczyna rzuciła zapakowane czasopismo w kąt długiego stołu i położyła na nim znaczki.

– Dlaczego pani nie przykleja?

– Mam chyba czas, kiedy taka kolejka. Potem przykleję – prawie krzyczy dziewczyna.

– Kiedy potem? Za dwadzieścia minut poczta się zamyka. Sama wszystko zrobię.

Doczekawszy się, aż niechętnie i ze złością zwróciła mi kopertę ze znaczkami i niechętnie podała kwit, starannie przykleiłam te wszystkie kolorowe obrazki (bo kto wie, czy moje czasopismo nie trafiłoby do kosza, znaczki z powrotem do szuflady, a hrywny – do jej kieszeni) i z uczuciem, że napiłam się wody z kałuży, wysłałam na powietrze, biorąc głęboki oddech.

Wydawało mi się naraz, że zgubiłam się w czasie, miejscu i przestrzeni. Że to jakaś potworna pomyłka, która trwa zbyt długo, ale już za chwileczkę przyjedzie oczekiwany serwis naprawczy i wszystko wróci na swoje miejsce: złodzieje pójną kosić trawniki, drobni oszuści zapomną o swoich złych nawykach, wszyscy będą mieć możliwość kupienia sobie mieszkania zamiast wyszukiwać-oszukiwać łatwowierne dziewczyny w nieokreślonym wieku.

W domu wkładałam zakupy do lodówki, ser jest wodnisty, rzadki, trzeba by go zwrócić, ale to nierealne, nie mam siły na taką drogę raz jeszcze. Próbuję ogórka i pluję: przesolony i śmierdzi beczką. Nabrałam się znowu na szczery wyraz twarzy. Kiedy wreszcie przestanę ufać ludziom i przynajmniej skosztuję, jeśli jest taka możliwość? Tylko buraków i marchwi jestem pewna – kupione w sklepie i sama je wybierałam.

Nie mam już sił na sałatkę winegret. Podgrzewam przedwczorajszy barszcz i w ten sposób daję sobie godzinę na spokojne szukanie czegoś odpowiedniego w telewizji. Przeciskam się między kanapą a stołem moich czternastu metrów kwadratowych (kupiliśmy je niedawno,

bo akurat na tyle wystarczyło to, co zarobił mój ojciec na wykonaniu kutych ogrodzeń, które stały się bardzo modne przy szacownych rezydencjach – nareszcie kowale znów są potrzebni, co ucieszyło mnie i mamę) i nacisnęłam guzik. Cierpliwie przewijam program za programem, odrzucając tani, poniżej pasa humor, jedzenie i sport, a także politykę, którą za grubą forszę sprzedaje się różnego rodzaju forsiatym misiom. Prawie nic nie zostaje. Kiedy zaczynam maraton od nowa – może coś kryje się za reklamą, nagle dzwoni mój telefon. Muszę znowu wstać, bo koło telewizora nie działa za dobrze. A może winne są grube ściany naszego domu. Staję przy oknie w kuchni, z wysokości trzeciego piętra widzę cztery śmietniki pod samotnym i kalekim klonem, ławkę, na której nikt nie siedzi, bo śmieci zawadzają – jej metalowe łapy są przyspawane do wystających z asfaltu kołków – żeby nie ukradli, i mówię do telefonu. Właściwie to krzyczę, bo znów źle słyhać. To Władzio wprasza się w odwiedziny. Ale nie jestem nastawiona na Władzia. Mówię:

– Nie ma mnie w domu i nie będzie, nocuję u koleżanki.

Nie wierzy i żąda, żeby koleżanka to potwierdziła.

– Przyjdzie czas, to potwierdzi – odpowiadam, wrzucam: „Pa-pa” – i wyłączam telefon. Jeszcze łapię Władziowe zmartwienie i zgryzotę, wciśnięte w zdanie: „A gdzie ja się podzieję?”.

Rozumiem, że znów wyrzuciła go kolejna kochanka i pilnie szuka przystani. Mój przystanek, rozumie się samo przez się, do niczego – dla jednego jak psia buda, a dla dwóch – nie ma mowy. Mam ja swoje porachunki z nimi wszystkimi, tymi wygnańcami.

Kiedy patrzę wstecz i zastanawiam się, kogo mogłam wybrać sobie za męża, obraz jawi się dość szczególny. Jeden wyciągał dla mnie z głębokiej kieszeni iryski „Złote kluczyki”, po jednym albo po dwa, w końcu mi te słodkości obrzydły. Drugi chodził przez dwa lata i opowiadał o Gombrowiczu oraz o mieszanych technikach malarskich na płótnach Hrycka Chodorkowskiego, aż nasza ostonosa sekretarka Jarysia rzekła mi na ucho, że on gra w innej lidze, czyli taki trochę tęczyowy, a moim kosztem się maskuje. Niech sobie gra, tylko do czego mu ja – po co mam swój czas marnować i mącić sobie w myślach, żywiąc się nadziejami. Kto mi odda te dwa lata? – jestem obrażona i mam prawo. Trzeci (do pewnego stopnia to mój krajan, nasze mamy chodziły nawet razem do szkoły; kiedy jeszcze tutaj kwaterowałam, kręcił się koło mnie kilka lat, odprowadzał z potańcówek do domu, wysyłał listy i pocztówki z podróży służbowych i spędził ze mną niejedną godzinę pod tym klonem, nie zwracając uwagi na śmieci i ciekawskie spojrzenia sąsiadów) nagle mówi: „Jak nie idziesz za mnie, to się żenię” – tak jakby chodziło o wycieczkę nad jakieś jezioro w niedzielne popołudnie i jakby już o tym ze mną rozmawiał. Odpowiadam takim samym zwyczajnym tonem co on: „To się żeń”, nie łapiąc, czy to taki żart, czy figura retoryczna. On jednak wkrótce poślubił córkę właściciela dużej posiadłości pod Lwowem, ukrył ją za dość ciemnymi szybami w ładzie i nigdy nie pojawił się przy ludziach z nią pod rękę, przynajmniej nie w naszej wsi, a że panna młoda okazała się chuda jak patyk, ruda i skośnooka, to nie wierzę żadnym zakłębom, że mógłby ją pokochać, ale fakt faktem: że to ja niby wypiłam kielich goryczy.

Na tym skończyli się moi kawalerowie i pozostali tylko wygnańcy, czyli ci, którzy nie wytrzymali w tych swoich majątnościach albo którzy zostali wypędzeni przez wódkę, same hultajskie dusze lub paskudne charaktery. Raz czy dwa spróbowałam szczęścia i szybko się uspokoiłam. Oczywiście widziałam też udane małżeństwa, nieraz wpadały mi w oczy, ale czyjeś życie – to ciemny las i niekoniecznie bywa potwierdzeniem twojej przyszłej nagrody za długie i bolesne walenie łbem w ścianę ani nawet usprawiedliwieniem.

Ladyśka (Władzia) też wygnała żona. Była cicha, dobra i potulna, znaczy dużo mogła wytrzymać. Ale nie wiem, co musiał jej zrobić, że wystawiła za próg jego wielką sportową torbę z ciuchami. Udawał, że wynajmuje mieszkanie, ale jakie tam mieszkanie za jego zarobki.

Pomieszkiwał gdzieś tam z kimś. Byłam na jego liście ostatnia ze względu na mały metraż, bo kto chce dłużej w jednej celi we dwójkę. Nie obwinałam go. Ale cieszyć się nie było z czego. Może nadejść taki dzień, że będę musiała go przyjąć, ale jeszcze nie teraz. Na dzisiaj mam wszystkiego dość.

I nagle usłyszałam, jak przeraźliwie i trochę ochryple miauczy kot na korytarzu. W pierwszej chwili pomyślałam, że go żywcem ukrzyżowali na moich drzwiach i trochę się złąklam. Darsię tak długo i uparcie, że nie wytrzymałam i wyrzłam. Cały i żywy kot spokojnie wszedł do mojego malusieńkiego korytarzyka, jakby mieszkał tu od urodzenia, owinał się wokół moich nóg i z całą powagą wsączył się do pokoju. Po raz drugi w ciągu jednego dnia stałam w drzwiach osłupiała. Nie był zupełnie czarny – czarnego nigdy bym nie wpuściła, jeszcze mi brakowało siły nieczystej – miał na piersi białą krawatkę, był zadbany i w pełni udomowiony, wyglądał na dość upasionego z lśniąca sierścią. Był jednak lekkomyślny i wiarołomny, skoro chodził, gdzie i kiedy chciał, a właściciele zmieniał jak rękawiczki. Biorąc pod uwagę całkiem szczególnie okoliczności początku tego zwykłego dnia, pomyślałam nawet, że może objawiła się czyjaś wędrująca dusza, wcielona w tak szacowne, niemal arystokratyczne stworzenie? Jak by to wszystko nie wyglądało, była to na razie jedyna istota, jakiej nie pożałowało mi to miasto. Powoli zamknęłam drzwi i z obawą zajrzałam do pokoju. Kot usiadł na mojej kanapie i patrzył na mnie pytająco-oznajmująco.

– I to wszystko, na coś dziś z twojej strony zasłużyłam? – doprecyzowałam, zwracając się czy to do miasta, czy to do Boga, dopatrując się poczucia humoru u obu, ale bez żadnych pretensji, bo w moim pokoju dla kota chyba było dość miejsca.

Kot wcale się nie krępował, od razu zamknął oczy i zamruczał drzemiąc.

– A bezczelny!... – powiedziałam, nie wiedząc, co robić. Niech tymczasem zostanie, przecież nie wyrzucę go na ulicę na taką paskudną i przesywającą jesienną szarugę, a jutro (jak mówi Jarysia) się zobaczy.

Teodozja Zariwna – ukraińska poetka, powieściopisarka, dziennikarka, teatrolożka. Ukończyła Państwową Uniwersytet im. Iwana Franki we Lwowie i Kijowski Instytut Sztuk Teatralnych im. I.K. Karpenki-Karego. Jest redaktorką naczelną czasopisma „Kijów”.



Autorka pięciu zbiorów poezji, pięciu powieści, kilku sztuk teatralnych i filmów dokumentalnych. Prezentarka programów literackich i kulturalnych w telewizji ukraińskiej. Laureatka wielu nagród literackich. Przekłada z angielskiego (Arthur Miller, *All My Sons*; Brian Friel, *Dancing at Lughnasa*, *Translations*; Jidi Majja, *Words from the Fire*), polskiego (Wiesław Myśliwski *Requiem dla gospodyni*), opublikowała po ukraińsku wiersze ponad 30 współczesnych polskich poetów. Jej utwory są tłumaczone na język angielski, niemiecki, portugalski, polski, macedoński, rosyjski, rumuński i czeski. Była uczestniczką 39. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego i Międzynarodowej Konferencji Poetyckiej w Poznaniu, a także literackich spotkań w Biszkeku, Kiszyniowie, Wilnie, Sofii, Pradze, Ołomuńcu, Brnie, Xichang. Wiersze i opowiadania publikowała w czasopiśmie: „Odra”, „Metafora”, „Lublin”, „Znad Wilii”, „Krytyka Literacka”, „Protokół Kulturalny”, „Dziennik Polski”, w antologii *Jak podanie ręki*. Tomy jej wierszy opublikowano w Rio de Janeiro i w Poznaniu (2022).



MOC STWARZANIA METAFIZYCZNYCH ŚWIATÓW. Z aktorką Sylwią Oksiutą-Warmus rozmawia Barbara Strzelbicka

Barbara Strzelbicka: Dlaczego została Pani aktorką i czy jest Pani z tego zadowolona? Co według Pani jest istotą aktorstwa?

Sylwia Oksiuta-Warmus: Na to pytanie nawet dzisiaj trudno mi odpowiedzieć, bo sięgając wstecz, pamiętam swoje występy podczas szkolnych akademii, uczęszczanie na kółka teatralne już w czasach licealnych i przede wszystkim od początku misyjne podejście do zawodu, idealistyczne wizje kreowania światów i zmieniania na lepsze tego, do którego wraca się po wyjściu z teatru.

Czy jestem zadowolona, że zostałam aktorką? To również złożone pytanie. Mam raczej poczucie, że tak właśnie miało wypełnić się moje przeznaczenie, karma, tak wybrałam i dzisiaj ponoszę wszystkie konsekwencje swoich decyzji i innych czynników, które składają się na ten zawód.

Według mnie istotą aktorstwa jest prawda, wrażliwość, empatia, wyobraźnia, świadomość i przy dominującym w tej profesji ego – umiejętność pokornej i służebnej postawy wobec postawionych zadań aktorskich i wizji reżysera. Zgadzam się przy tym z twierdzeniem Stanisława Jerzego Leca: „Aktor powinien mieć coś do powiedzenia, nawet jeśli ma niemą rolę”.

Jak pracuje Pani nad rolą? Jak buduje Pani kreowaną postać?

Lubię zagłębić się w niej z psychologicznego punktu widzenia. Dotrzeć do korzeni, biografii, motywów działania, tzw. *backstage'u* – zaplecza charakterologicznego i sytuacyjnego. Następnie przychodzi w procesie kreacji jakaś charakterystyczność czy to w geście, sposobie poruszania, czy mowie, czy choćby tylko stylizacji. Te zewnętrzne czynniki często pomagają dopełnić całości wyrazu roli, ale należy pamiętać, że jeśli nie ma tzw. „środką”, esencji, prawdy emocji – forma zawsze będzie pusta i niewiarygodna.

Dążę zatem nade wszystko do prawdy wyrazu i poszukuję organicznych środków aktorskiej ekspresji. Przy czym moje spojrzenie musi spotkać się gdzieś po drodze z pomysłem reżysera i wtedy możemy mówić o współpracy i jakiegokolwiek twórczości. W przeciwnym wypadku mamy proces odtwórczy pomysłu na rolę danego reżysera. Takich historii wolałabym unikać, ale bywa i tak, że i z takich niewygodnych sytuacji powstają ciekawe rozwiązania sceniczne, o które siebie byśmy nie podejrzewali, a reżyser dostrzegł w nas coś, o istnieniu czego kompletnie nie wiedzieliśmy. To są np. te niespodzianki konstrukcyjne w procesie budowania roli. Dlatego czasem warto zaufać zewnętrznemu prowadzeniu, żeby dać się mile zaskoczyć procesowi kreacji. Choć szczerze przyznam, że jednak w pracy nad rolą lubię mieć wpływ na aktorski plac budowy.

Kreując rolę, można „być postacią” albo „grać postać”. Którą opcję Pani wybiera? Jakie są konsekwencje utożsamiania się z postacią? Czy zaczerpnęła Pani coś od granej postaci, czegoś ona Panią nauczyła?

Wydaje mi się, że wyższą szkołą wtajemniczenia jest zdecydowanie być postacią, niż ją grać, ale to też zależy, co rozumiemy przez granie... Przychodzi mi na myśl pewien substytut,



a mianowicie „wcielać się w rolę”. Rozumiem to tak, że ja użyczam swego ciała fizycznego (charakteryzując je do konkretnej roli), a psychiczne predyspozycje, motywy i objawy postępowania narzuca mi tekst, reżyser, moja wyobraźnia, intuicja twórcza, doświadczenie i ta nadświadomość, o której pisał Stanisławski, bo można być i rzemieślnikiem, i artystą.

Konsekwencje wchodzenia głęboko w rolę mogą być różne. Ja na przykład po trudniejszych psychologicznych czy fizycznych wyzwaniach potrzebuję chwili w garderobie, żeby wyjść z klimatu roli, zmyć *make-up*, przeżyć i wrócić do domu bez balastu granej bohaterki. Myślę, że każda postać czegoś nas uczy, a najbardziej chyba ta, która jest najdalej charakterologicznie od nas, można się nie zgodzić z motywem jej postępowania, można się zadziwić reakcją, ale wydaje mi się, że należy rolę poczuć, spróbować zaakceptować, by móc wiarygodnie oddać jej miejsce w sobie i przez siebie.

Dla przykładu ostatnią rolę, jaką od kwietnia 2023 r. przyszło mi kreować, jest Nina Ponimirska z powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza *Kariera Nikodema Dyzmy*. Wizja reżysera odbiegała znacznie od mojej czy nawet tej ekranizacyjnej. Założenia były totalnie obce mojemu postrzeganiu tej postaci i generalnie podejściu do życia. Niemniej pewien filtr materializmu, egzaltacji, który narzucił mi reżyser, wniósł do mojego warsztatu pracy nową wartość – nawet jeśli w swoim prywatnym życiu kieruję się zupełnie innym kodeksem postępowania. Ta różnorodność z całą pewnością poszerza wachlarz aktorskiego wyrazu i cenię sobie takie wyzwania. Wpadanie w stany emocjonalnych rozchwiań (sceny obłędu, depresyjne klimaty) stanowią dla mnie łatwiejsze zadanie niż np. *stricte* materialne podejście do egzystencji. Reasumując: każda postać to podróż w bardziej lub mniej znane rejony i z każdej czerpię wartość. Te pozytywne przygody chowam w kuferku doświadczeń, z kolei negatywnych staram się unikać w codziennym życiu. To daje taką busolę w wojażach przez życie. Dzięki aktorstwu mogę przeżyć tyle i takie biografie, jakich normalnie nie miałabym szansy doświadczyć.

Na moim lustrze w garderobie teatralnej wypisałam pomadką bliskie mi *credo* Stanisławskiego: „Należy kochać teatr w sobie, a nie siebie w teatrze” i tego staram się przestrzegać, trzymać nicią intuicji i konstrukcją pracy nad sobą,

☑ Kto jest dla Pani wzorem aktorki/aktora?

Mogłabym oczywiście wymienić nazwiska mniej lub bardziej znanych i utalentowanych aktorów, ale jako wzór niech posłuży bliska memu sercu (a znana z pewnością również Państwu) postawa pani Anny Dymnej, która łączy aktorstwo z misją dzielenia się swoimi talentami, zasobami umiejętności, czasu i empatii z drugimi – najbardziej potrzebującymi. Wyznacza azymut, według którego z mojej perspektywy warto podążać – żyjąc i pracując nie tylko dla siebie.

☑ Aktorstwo to zawód paradoksalny – z jednej strony wymaga dużej wrażliwości, z drugiej zaś odporności i siły. Praca aktora wiąże się z przekraczaniem granic psychicznych i fizycznych, z wystawianiem się na pokaz, na osąd. Czy wszystko jest „na sprzedaż”? Jak, spełniając oczekiwania innych, pozostać sobą?

Serdecznie dziękuję za to pytanie, bo jest dla mnie niezwykle ważne jako klucz do postrzegania zawodu aktora. Ze swojej perspektywy i doświadczenia mogę odpowiedzieć, iż zdecydowanie nie wszystko jest na sprzedaż.

Gwoli przykładu: swego czasu miałam kilka intratnych propozycji filmowych, które wymagały obnażenia się fizycznie w kontekście, który dla mnie nie był wart takich kroków i choć mogło pójść za tym spore wynagrodzenie finansowe i medialny rozwój tzw. kariery aktorskiej (jak mi przepowiadano, chcąc przekonać mnie do wzięcia udziału w tych projektach) – odmówiłam. Co ważne: nie żałuję swoich decyzji, bo były w zgodzie z moim poczuciem estetyki, moralności i misyjności w tym zawodzie.

Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że pozostałam wierna sobie, ponosząc jednocześnie wszystkie zawodowe konsekwencje swoich świadomych wyborów. Nie skusiły mnie ani większe



pieniądze, ani głośne aktorskie nazwiska, ani wizja ogólnopolskiej kariery. Jednocześnie, jeśli zadanie jest warte poświęceń – zwłaszcza natury emocjonalnej – jestem w stanie dać z siebie wiele. Po prostu muszę widzieć sens tego wyzwania i tej pracy. Natomiast odnośnie wystawiania się na pokaz i osąd – jest to nieodłączna, choć trudna część tego zawodu – dlatego utarło się powiedzenie (mające w sobie sporo prawdy), iż aktor powinien posiadać skórę słonia przy równoczesnej wrażliwości kolibra, inaczej nie przetrwa w tym zawodzie. Z autopsji mogę potwierdzić prawdziwość tych słów.

☒ W Pani zawodzie duże znaczenie ma wygląd zewnętrzny. Jakie podejście do wyglądu jest Pani zdaniem najbardziej racjonalne i najzdrowsze?

To również bardzo interesujące pytanie. Wydaje mi się, że w jakimś minimalnym zakresie aktor powinien dbać o swoje ciało – będące jego warsztatem pracy, wehikułem przeistoczeń. Mam na myśli zdrowie, higienę i aktywność psychofizyczną. Niemniej to, co dzisiaj obserwujemy w tzw. celebryckim światku, tę sztuczną transformację, podobne do siebie twarze z wypełnionymi ustami zwykle pozbawionymi treści i te niemające możliwości wyrażenia wachlarza emocji bezzmarszczkowe twarze – bez szans na określenie wieku ich posiadaczy – przyznam, smuci mnie i jednocześnie przeraża. Trudno tu mówić o racjonalnym i zdrowym podejściu do wyglądu zewnętrznego. To raczej potrzeba dążenia do ideału, brak refleksji i deficyt woli pogodzenia się z prawdą życia, nieuchronnością przemijania stwarzają nieprawdziwy obraz człowieka, masek, które zakładamy, by ukryć wewnętrzne lustro. Moim marzeniem jest starzeć się z godnością i poszanowaniem prawa do akceptacji zmian cielesnych, które w każdym wydaniu niosą ze sobą mapę doświadczeń i prawdy istnienia.

Oby zawsze przyświecała mi idea szlachetności, dojrzałości, a nie śmieszności i powierzchowności w podejściu do tematu zewnętrznej powłoki, dla mnie osobiście – opakowania duszy.





☒ Grając, aktor angażuje się cieleśnie i duchowo. To wyczerpujący zawód, narażający na wypalenie. Jak sobie Pani z tym radzi i jaki jest Pani sposób na regenerację?

Każdy aktor posiada z pewnością swój osobisty „zestaw regeneracyjny”. Dla mnie są to podróże, zmiana miejsca, sylwoterapia, czyli tulenie się do drzew – generalnie przebywanie na łonie natury. Ponadto relaks z dobrą książką, muzyką. Rodzinne „dziejstwa”, a także inne niż aktorskie wyzwania, ponieważ należę raczej do dynamicznych osobowości i potrafię odpoczywać aktywnie.

☒ Z jakim typem reżysera pracuje się Pani najlepiej?

Z takim, który ma autorski pomysł na sztukę, ale przy tym wszystkim szanuje zdanie aktora, jego wrażliwość, wizję, autonomię jako człowieka w całej złożoności postaw i przypadków. Reżysera, który przede wszystkim słucha, a nie tylko mówi, narzuca i każe powtarzać. Przy wyczuleniu na partnera scenicznego dialog współpracy przebiega najbardziej płynnie i rodzą się z tego fascynujące opowieści, które pamięta się latami w kontekście spotkań zawodowo – prywatnych.

☒ Teatr nie istnieje bez widza. Jaki jest dla Pani widz idealny? Co sądzi Pani o teatrze online?

Kiedyś Jan Englert, udzielając wywiadu, powiedział: „Teatr zależy od widza. Znajduje z nim porozumienie albo nie. Myślę o tej publiczności, której nie jest obojętne, co ogląda”. Podpisuję się pod tymi słowami. Najbliższy ideału jest dla mnie widz świadomy, który bez względu na rodzaj sztuki jest w stanie wynieść z niej wartości dodane. Odbiorca, który szanuje kulturalną świątynię, będącą syntezą sztuk wszelakich.

Natomiast teatr *online* sprawdził się w czasie pandemii i z mojego punktu widzenia ma rację bytu wśród odbiorców z ograniczonym dostępem do kultury np. z powodu miejsca



zamieszkania, niedyspozycyjności, niepełnosprawności czy innych czynników wymuszających taką formę teatru.

Melpomena to przecież jednak od zawsze sztuka bezpośredniej relacji, natychmiastowej reakcji zwrotnej, tej magicznej chwili tu i teraz, która rodzi się na naszych oczach, w uszach i przez nasze serca, umysły. Synestezja wrażeń. Ulotność chwili, która oczywiście może i powinna być zapisana w formie video (choćby dla Norwidowskiego „spomnienia wnuka”), ale najlepiej i najpełniej smakuje na żywo we wszechobecnym świecie multimedialności przekazu.

☑ Dużą wagę przywiązuje się obecnie do indywidualizmu w procesie rozwoju pre-dyspozycji i w działaniu. Jaką rolę w pracy aktorskiej odgrywa umiejętność działania zespołowego? Jakie korzyści i zagrożenia płyną ze strony zespołu?

Rola umiejętności działania zespołowego jest kluczowa w pracy aktora (zwłaszcza w teatrze). Gdyby było inaczej, skazani byłibyśmy na jednoosobowe monodramy.

Ze strony zespołu można liczyć na wsparcie, inspirację, motywację, bo jak mawiają: „w grupie siła”. Niestety, gorzej sprawa może wyglądać, jeśli trafi się do zespołu, który cię z jakichś powodów nie zaakceptuje, będzie wytykał słabości, potknięcia. Historia biografii aktorskich zna takie przypadki. Jestem wdzięczna losowi, że podczas osiemnastoletniej drogi zawodowej spotykałam raczej współpracowników przyjaznych, artystów wyrozumiałych i tak po ludzku serdecznych.

To wielkie szczęście – dające możliwości rozwoju, a nie zamknięcia czy nawet wycofania na ścieżce zawodowych poszukiwań i przygód. Wiadomo, że im więcej osób, tym więcej budujących pomysłów, ale też trudniej dojść do porozumienia i jednogłośnie. Jednak od tego jest również rola reżysera, by w sposób umiejętny, sprawny i delikatny poskromił wszystkie indywidualności i stworzył z nich pełnowartościowy obraz zbiorowy. W repertuarze częstochowskiego teatru mamy kilka tytułów, które wybitnie funkcjonują oparte na zespołowości, gdzie

„wespół w zespół” wprawiamy w ruch maszynę teatralną, stanowiąc z osobna niezbędne trybiki całości wyrazu.

☑ Dla wielu ludzi aktorstwo jest zawodem wymarzonym, a aktorki i aktorzy postrzegani są jako ludzie wyjątkowo atrakcyjni. Pani to osiągnęła, a mimo to ciągle poszukuje, działa społecznie i angażuje się w projekty, służące innym ludziom. Dlaczego?

Uśmiecham się w kierunku Pani, powodowana głębią tego pytania, ponieważ w sumie trudno ująć w słowa moją wewnętrzną potrzebę samorozwoju i dzielenia się zasobami z drugim człowiekiem. Pomocy potrzebującym. Jeśli odpowiem, że tzw. fasadowa atrakcyjność aktorska jest dla mnie trywialnym pojęciem, to może to być źle zrozumiane, ale od zawsze miałam marzenia wykraczające poza scenę czy nawet ekran. Wybrałam studia na Wydziale Sztuki Lalkarskiej, bo wydawały mi się na usłudze idei, bez eksponowania aktorskiego ego, bez nadmiernego skupiania się na sobie. Akurat moje zawodowe życie tak się potoczyło, że od początku gram w teatrach dramatycznych (Radom, Zielona Góra, Częstochowa, Kraków). Nie był to do końca mój wybór, a zdarzenia losowe i propozycje, którym wyszłam naprzeciw. Wszystkie działania społeczne, które wymyśliłam, których się podjęłam na przestrzeni tych ponad dwudziestu lat (bo działałam nawet w liceum) powodowane były potrzebą serca, w większości miały wymiar charytatywny. W dodatku starałam się wykorzystać w tych działaniach Teatr Ożywionej Formy. To mnie wewnętrznie buduje i uszczęśliwia... Reszta działalności to szlak poszukiwań i odkrywania innych predyspozycji i nabywania umiejętności, którymi będę mogła dzielić się z innymi.

☑ Posiada Pani wiele kompetencji. Którą ze swoich ról – aktorskich oraz życiowych – lubi Pani najbardziej i za co?

Najpiękniejszą i zarazem najtrudniejszą rolą mojego życia jest oczywiście rola mamy, ale ta stoi wysoko na piedestale osobistych wartości.



Z tych zawodowych to z pewnością teatroterapia, która ma oczyszczający i budujący wpływ na psychikę i życie uczestników. Czego przykładem i dowodem mogą być podopieczni hospicjum onkologicznego, mężczyźni doświadczeni kryzysem bezdomności, nauczyciele, młodzież, dzieci, również te z dysfunkcjami czy z Domu Dziecka. Przygotowane z nimi teatroterapeutyczne spektakle, świadectwa, happeningi były głosem w ich sprawie. Oparte na autentycznych historiach udzielały prawa do oddania uczestnikom pola działania, oczyszczenia czy nawet rehabilitacji społecznej... Oto kilka przykładów.

Kobiety z „RakoTWÓRCZOŚCI” malują, decoupage’ują, uczą się języków, śpiewają, piszą wiersze i wydają tomiki poezji.

Bezdomny mężczyzna z przedstawienia „Wystawieni” (na drodze usamodzielniania się) wiozł mnie w realnym życiu przez ulice stolicy taksówką na obronę pracy z dziennikarstwa, którą zatytułowałam „Pasje mimo wszystko”. Tymczasem wcześniej, podczas spektaklu, który otoczyłam opieką artystyczną, wypowiadał znamienne słowa: „Biorę kurs na życie”.

Molestowana dziewczyna po moim monodramie „SKAZAna” (który przygotowałam na podstawie autentycznej historii osoby z Domu Dziecka) przysłała podziękować, że ktoś krzyczał jej niemy dotąd głosem...

W takich momentach słowa grzęzną w gardle, ale to chyba właśnie dla takich momentów i świadectw warto grać tę rolę wykraczającą poza mnie samą i ramy sceniczne.

☑ Pięknie Pani mówi, czyta poezję i inne teksty – to niezbędna kompetencja aktorska (choć bywa różnie...). Jest Pani także logopedką, scenarzystką i dziennikarką. Czy sposób posługiwania się językiem ma wpływ na życie człowieka, na jego pozycję w świecie? Jakich zasad etycznych powinni przestrzegać ludzie, posługując się językiem?

Dziękuję za te miłe słowa i choć nie gloryfikowałabym swojego warsztatu słowa, to muszę przyznać, że jestem jego rzemieślnikiem w mowie, piśmie i wymowie. Poetką bywam w przeblaskach chwili. W prozie dni staram się szanować wagę słowa, wychodząc z założenia, że było na początku wszystkiego, że ma moc zmieniania ludzi, a jednocześnie już Shakespeare ustami Hamleta wyrzucił: „Słowa, słowa, słowa...”. Trzeba zatem znaleźć tę równowagę, by „język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa” (Słowacki) i jednocześnie „Błogosławiony ten, co nie mając nic do powiedzenia, nie obleka tego faktu w słowa” (Tuwim).

Układać kwiaty słów w bukiet malowniczego przekazu to sztuka, której niewątpliwie należy się uczyć, choć czasem wrodzone predyspozycje i wrażliwość na kulturę słowa samoistnie wpływają na kształt wypowiedzi, przekazu komunikacji. Każdy dar należy rozwijać i bezmyślnie nie zakopywać pod warstwą zaniedbania, nonszalancji, dezynwoltury.

Sposób posługiwania się językiem stanowi kod kulturowy, według którego można dosyć szybko rozpoznać poziom humanistycznego wtajemniczenia. Słowu należy się szacunek, a okażemy go drugiemu człowiekowi, posługując się poziomem języka, który będzie aspirował do wyższych idei. Wiadomo, że każde środowisko ma swoją terminologię, charakterystykę lingwistyczną, ale wszyscy posługujący się komunikacją werbalną winni oddać jej należne miejsce w hierarchii ważności sposobów kontaktów międzyludzkich.

☑ Pochodzi Pani z Podlasia, pięknej i malowniczej krainy. Czy Pani zdaniem ziemia, na której się człowiek urodził i wychował, ma na niego wpływ?

W moim mniemaniu i odczuciu zdecydowanie tak. Malowniczość przyrody i wielokulturowość Podlasia w organiczny sposób ukształtowały moje spojrzenie na otaczający świat. Jest w nim miejsce na umiłowanie natury, na tolerancję wobec inności, poszanowanie różnych wyznań i poglądów. Choć z podlaskich stron wyjechałam zaraz po pierwszych studiach

w 2005 r., to wciąż noszę je w sercu, przed oczyma duszy i jak trafnie określił Mickiewicz: „Kraj lat dziecińczy! On zawsze zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie”.

Możliwe, że trochę idealizuję tę moją baśniową krainę i choć wracam tam regularnie, kiedy tylko mogę, to wciąż tęsknię za sieliskością i idyllą ze wspomnień i czasu, który nawet dzisiaj w tych stronach płynie wolniej, a ludzie bardziej otwarci, gościnni są niż wszędzie indziej. Nawet pewne regionalizmy, szyk zdania czy melodię frazy języka podlaskiego pielęgnuję i rozpoznam w każdym zakątku świata. Wyjechałam w sensie geograficznym z Podlasia, ale pewna charakterystyczna mentalność tamtych stron zacumowała we mnie na zawsze. To korzenie, z których czerpie się życiodajne soki. Rodzinna wieś zawsze będzie tym pierwotnym gruntem, a środowisko najmłodszych lat fundamentem, na którym stawia się trwałe budowle przyszłości.

☒ Teatr to sztuka stara jak świat, choć nieustannie się zmienia. Jak postrzega Pani misję teatru we współczesnym świecie, wobec wojny w Ukrainie, trzęsien ziemi, COVID-u i innych nieszczęść? Czy Arystotelesowska zasada *katharsis* jeszcze obowiązuje? A może teatr powinien dawać widzom tylko rozrywkę?

To dosyć prowokacyjne, a jednocześnie retoryczne pytanie jeśli chodzi o rozrywkę. Teatr oczywiście powinien i taką, na odpowiednim poziomie, widzom serwować, bo w czasach inflacji, kryzysów, wojen zauważam, że tego potrzebują jak nigdy wcześniej.

Według mnie teatr powinien być przede wszystkim zwierciadłem rzeczywistości, komentatorem otaczających nas wydarzeń, nośnikiem uniwersalnych wartości. Sposób, jaki przybierze do przedstawienia tego, jest już kwestią preferencji, potrzebą chwili. Ważne jednak, by kształtować gust widza, bo jak by nie patrzeć, to ludzie teatru podają odbiorcy do intelektualnej konsumpcji albo wykwintne dania, albo pseudokulturalną papkę. A teatr może nieść przecież *katharsis* dzięki potencjałowi środków wyrazu i magii, jaką dysponuje. Zdecydowanie misyjność stawiam na pierwszym miejscu na podium roli teatru we współczesnym świecie.

☒ Co chciałaby Pani przekazać czytelnikom Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” w związku z obchodzonym 27 marca 61. Międzynarodowym Dniem Teatru?

Dziękuję za tę możliwość i zaproszenie do wywiadu.

Z racji tego, że teatr to niszowa dziedzina, jak niektórzy mawiają – elitarna, życzę czytelnikom Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”, by pielęgnowali w sobie tę unikatową artystyczną wrażliwość kulturalną, tę iskrę humanistycznych predyspozycji, haczyk zainteresowań i ocean wyobraźni, który ma moc stwarzania metafizycznych światów.

Autorką tegorocznego orędzia na Międzynarodowy Dzień Teatru jest egipska aktorka, Samiha Ayoub, natomiast na autorkę polskiego orędzia została wybrana Switłana Oleszko – ukraińska reżyserka, która od czasu wybuchu wojny w Ukrainie mieszka i pracuje w Teatrze Polskim w Warszawie. To bardzo wymowny i symboliczny gest.

Niech teatr Państwa życia będzie wolny od wojen, uprzedzeń, zaszufłdowań.

Oby był płaszczyzną swobodnej, bezpiecznej wypowiedzi z poszanowaniem różnorodności i kolorów istnienia.

Życzę, by przetrwał wszystkie burze, trzęsienia ziemi i o nieszczęściach musiał opowiadać tylko w kontekście czasu przeszłego.

Podczas pandemii 27 marca (kiedy ludzie sceny nie mogli grać) zorganizowałam z częstochowskimi aktorami happening przed Teatrem im. A. Mickiewicza, bo ten powinien przecież wychodzić do ludzi, być blisko nich i z nimi. I tej solidarnej integracji i poczucia tożsamości oraz przynależności do elity kulturalnej życzę wszystkim na literackim Parnasie. Kunsztu,

twórczej prawdy, inspiracji Muz wszelakich i może jeszcze tej dziecięcej wrażliwości, która otwiera bezgraniczne przestrzenie odbioru i kreacji:

Ta drabina to schody do nieba,
a ta miska nad schodami to księżyc.
Tamten miecz to zwyczajny pogrzebacz,
a z garnków są hełmy rycerzy.
Lecz kto w te czary nie uwierzy?
To jest teatr.
A teatr jest po to,
żeby wszystko było inne niż dotąd.
Żeby iść do domu w zamyśleniu,
w zachwycie.
I już zawsze odtąd księżyc w misce widzieć...
(Joanna Kulmowa, *Po co jest teatr*)

 **Dziękując za rozmowę, życzę Pani wiele satysfakcji z pracy i działalności społecznej oraz szczęścia w życiu osobistym!**

Fotografie: Piotr Dłubak

Redakcja Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” dziękuje Panu Piotrowi Dłubakowi za udostępnienie fotografii – sylwetkę artysty fotografa prezentowaliśmy w „Galerii” nr 38 i 60.



Sylwia Oksiuta-Warmus, aktorka, lalkarka, scenarzystka, reżyserka, instruktorka teatralna, dziennikarka, pedagog, arteterapeutka, logopedka i działaczka społeczna. Jest absolwentką Akademii Teatralnej w Warszawie (Wydział Sztuki Lalkarskiej w Białymstoku), Akademii Dziennikarstwa Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie oraz Krakowskiej Szkoły Filmu i Komunikacji Audiowizualnej, kierunek scenariopisarstwo. Ponadto ukończyła studia podyplomowe w kierunkach: terapia pedagogiczna z arteterapią w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie i logopedia ogólna i kliniczna w Wyższej Szkole Nauk o Zdrowiu w Poznaniu. Na scenie zadebiutowała, będąc studentką IV roku w Teatrze Powszechnym im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Przez dwa sezony pracowała w Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze, od 2007 r. jest zatrudniona w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, a od 2021 r. współpracuje z Teatrem Współczesnym w Krakowie. Pracuje z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi (również z niepełnosprawnymi), a także z seniorami, amazonkami i bezdomnymi, prowadząc warsztaty teatralne i wystawiając przedstawienia, uczestniczy w akcjach społecznych i charytatywnych. Otrzymała następujące nagrody: 2006 – „Leon” za debiut na deskach Lubuskiego Teatru im. L. Kruczkowskiego; 2016 – tytuł Przyjaciela Wolontariatu „Agape”, przyznany przez Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy „Agape”; 2017 – Nagroda Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury w kategorii Teatr i Film.

WIELOGŁOS O SZTUCE OPOWIADANIA

Barbara Strzelbicka, redaktorka tomu

Promocja książki *W kręgu Galerii. Antologia opowiadań*, wydanej przez Towarzystwo Galeria Literacka dzięki dofinansowaniu ze środków Miasta Częstochowy, odbyła się 11 stycznia 2023 r. w Sali Reprezentacyjnej Ratusza Miejskiego, będącego placówką Muzeum Częstochowskiego. Poniżej prezentujemy teksty wystąpień Auterek i Autorów – niektóre rozszerzone, ponieważ ze względów organizacyjnych na promocji mogły być zaledwie dwuminutowe. Każde opowiadanie to świat – bogactwo książki polega więc na bogactwie przedstawionych światów.

Janusz Jano Mielczarek, autor opowiadania *Karuzelowy*

O pisaniu

Nauka w liceum (1949-1953) to nie był absorbujący mnie czas. Przedkładałem nad nią szmerane towarzystwo, a książki omijałem szerokim łukiem. Na początku studiów zetknąłem się z pracującym w „Gazecie Częstochowskiej” Tadeuszem Gierymskim, który był nieocenionym przewodnikiem i doradcą, a także recenzentem mojego pierwszego opowiadania, słowami: „Ja bym tu nic nie zmieniał”. Miałem wtedy 20 lat.

Polityczne przemiany Października '56 to była także fala tworzenia klubów i teatrów studenckich, w co byłem zaangażowany. Pisanie dla studenckiej sceny uczyło operowania skrótami, obserwacji reakcji publiczności na tekst, a także celności pointy. Udział w stworzonej przez Jerzego Wawrzaka Grupie Literackiej „Profile” zaowocował kontaktami ze środowiskami Śląska, Wrocławia, Krakowa i Torunia, a powołanie mnie do Krajowej Rady Teatrów Studenckich, w której byli już Jerzy Markuszewski, Andrzej Cybulski, Jerzy Afanasjew, Andrzej Jarecki i Agnieszka Osiecka wprowadzało w krąg twórców studenckiej sceny.

O tym, że literatura pozostała dla mnie tym, co najważniejsze w życiu, zadecydowało spotkanie wspomnianego już T. Gierymskiego oraz ponownie Jacka Paciorkowskiego, kolegi z klasy w „Sienkiewiczzu”. Podpowiadał i przekonywał do lektur obowiązkowych ówczesnego rynku czytelniczego: Izaaka Babla, Ernesta Hemingwaya, Alberta Camusa, Jeana-Paula Sartre’a i innych.

Lata 1970-75 to praca w redakcji „Gazety Częstochowskiej” pod kierownictwem red. Rajmunda Piersiaka; ukończenie Studium Dziennikarskiego w Warszawie, a także niezła szkoła pracy w terenie. Warto dodać, że „Gazeta” miała wówczas siedem mutacji terenowych, począwszy od Krzepic, a skończywszy na Radomsku i Zawierciu oraz 80 000 codziennego nakładu, a także comiesięczny dodatek społeczno-kulturalny „Nad Wartą”.

Rok 1977 to mój pierwszy udział w konkursie literackim i znacząca nagroda ZLP w Opolu za opowiadanie *Inny*. Udział w konkursach był dla mnie także antidotum na slang, jakiego musiałem używać w pracy urzędnika administracji państwowej. Jako osoba o wielu zainteresowaniach (poza literaturą jeszcze fotografia i teatr) wyobrażałem sobie, że konkursy przybliżą mój debiut.

W roku 1982 w konkursie Wydawnictwa „Iskry” na debiut książkowy otrzymałem trzecią nagrodę za zbiór *Zanim wyrzucą cię z samolotu*. W jury zasiadali: Henryk Bereza, Waclaw Sadkowski, Wiesław Myśliwski i Stanisław Zieliński. Czy może być lepiej? Książkę wydrukowała w 1986 roku Łódzka Krajowa Agencja Wydawnicza.

O mojej prozie tak pisał Tadeusz Błazejewski w Tygodniku Społecznym „Odgłosy” (nr 13 z 28 marca 1987 r.):

W debiutanckiej prozie Janusza Mielczarka zwraca uwagę spokojna, zrównoważona narracja. Nic dziwnego – autor jest pięćdziesięcioletkiem. Opowiadania, jakie złożyły się na tom *Zanim wyrzucą cię z samolotu*, uzyskiwały nagrody na różnych konkursach, ale nie są to typowe opowiadania konkursowe. Mielczarek konsekwentnie drąży – w zróżnicowanym sztafażu historycznym i obyczajowym – problematykę egzystencjalną: pasjonuje go istota ludzkiego życia, małego, nieefektownego, zagubionego na rozdrożach, osadzonego na zapadłych wsiach czy na ubogich przedmieściach. Nie bawi się w subtelną analizę psychologiczną, nie dzieli włosa na czworo, nie szuka stylistycznych ozdobników. Pisze prosto i funkcjonalnie – właśnie prostota stylu okazuje się najlepszym wykładnikiem zjawisk elementarnych, które, niezależnie od realiów i uwarunkowań bohaterów poszczególnych opowiadań, zawsze dotyczą zagrożenia czyjegoś życia (przez okupantów, przez ludzi z marginesu społecznego, a nawet przez samobójcze skłonności)... Egzystencja, jaką opisuje Mielczarek, zazwyczaj jest trudna, jałowa, pokrętna i niewdzięczna. Młodzi – „piękni dwudziestoletni” – zanim „wpadną do gnoju po dziurki w nosie”, pragną w coś wierzyć. I wiary poszukują chaotycznie i bezradnie. Mniej odporni i wytrwali nie mają nadziei na „większą wiarę niż pół litra i zakąska”.

Roman Szenk w recenzji *Janusza Mielczarka patera dojrzałych owoców* (Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy „Aleje 3”, 2011 r.) tak opisuje odczucia z lektury mojej drugiej książki *Hrabalowisko i inne opowiadania*:

Tego nie można ani „pochłonąć”, ani przeczytać tzw. jednym tchem. Książka, której zawartość autor określa – moim zdaniem przesadnie skromnie – jako opowiadania, to w istocie zbiór esejów, czasem wręcz rozprawek psycho-filozoficznych, na pozór proszących się o literackie rozwinięcie. Jednak to złuda, przesąd, „światło ćmiące”, jakby o tym pomyśle napisał poeta – wieszcz. Każdy z tych utworów jest bowiem sam w sobie perelką Małej Literatury, właśnie przez skrót, niedopowiedzenia. Jest to może trochę perfidny, ale literacko skuteczny sposób skoncentrowania uwagi Czytelnika na wizerunkach psychicznych bohaterów i ich życiowych uwarunkowaniach spełniających się wśród oszczędnie, ale zawsze trafnie dobranych scenerii...

Jestem tak głęboko i pozytywnie poruszony tą lekturą, że szukam – i znajduję – w jej urozmaiconych zawartościach, a czasem nawiązań do mistrzów tej klasy, co Marek Hłasko czy tegoroczny laureat Nike, Marian Pilot, a z literatury obcej choćby Gabriel Garcia Marquez, Jarosław Haszke i oczywiście ojciec duchowy tomiku, Bohumil Hrabal.

Agnieszka Złota w obszernej recenzji (*Rzeczywistość fragmentu w perspektywie poetyki śladu – Janusza Mielczarka antropologia (nie)codziennosci w „Ciele twojego snu”, „Galeria” nr 29*) tak pisze:

To, co nurtowało Gombrowicza na kartach *Ślubu*, udziela się namysłowi nad rzeczywistością obecnemu w opowiadaniach Janusza Mielczarka. Ranga słów i ich moc sprawcza stanowią swoisty klucz interpretacyjny do odczytania przesłania, jakie niesie z sobą *Ciało twojego snu*. Pieczołowitość sporządzonych opisów, uszanowanie dla sposobów prezentowania treści, dbałość iście norwidowska, aby „odpowiednie dać rzecz słowo” to znaki firmowe tej najwyższej próby prozatorskiej eksplikacji

światopoglądu samego autora. Prozie tej towarzyszy, mam wrażenie, dość ważne przeświadczenie, że w rzeczywistości, w której przyszło nam żyć „wszyscy udają siebie samych (...), kłamią, aby prawdę powiedzieć”. A dzieje się tak dlatego, że „demon wrzasku ogarnął nasze życie i stan ten musi potęgować obrazami. Młodzi zapredali mu duszę, nie wiedząc jeszcze, że mówią nie swoim głosem”.

Nigdy nie interesowało mnie „opisywactwo”. Dla mnie piszący to kreujący własny świat, własne myślenie i styl. Lubię pisanie gęste, bo inne – jak mawiał „odesski król” Benia Krzyk – to „rozmarywanie kaszy po stole”.

Niektóre pomysły na opowiadania nosiłem w sobie po dziesięć i więcej lat. Lubię nieprzewidywalność pracy ze słowem. Jedno z moich ulubionych opowiadań, *Tam, gdzie NIE rosną poziomki*, planowane na pół strony, rozrosło się do siedmiu. Dużo pracowałem nad tekstami, zwłaszcza tymi od *Hrabalowiska* i późniejszymi. Najpierw pisałem je odręcznie (zielonym atramentem), potem na maszynie, a po kolejnych poprawkach dochodziło do wersji ostatecznej.

Bo twórczość to coś nadzwyczajnego, a więc wymagającego szczególnego wysiłku i specjalnego traktowania. Choć, jak powiedział Mistrz Marquez: „Pisanie jest zajęciem pięknym, lecz wyniszczającym”.

Aleksandra Keller, autorka opowiadania *Ałma-Ata*

Opowiadanie *Ałma-Ata* napisałam w 2013 roku, jeszcze przed aneksją Krymu. Pisaniu tego tekstu nie przyświecała żadna wyższa idea, tekst nie miał też charakteru manifestu. To raczej zapis relacji międzyludzkich na tle dramatycznych wydarzeń z polskiej historii Kresów, w których istotną rolę odgrywa stworzenie bliskości z kimś obcym. Czasem możemy mówić jednym językiem i nie znajdować porozumienia. Czasem obce języki nie są w stanie rozerwać więzi pomimo przestrzeni lat i rozdzielających granic.

Dziś trwa tam wojna – opowiadanie w tym kontekście nabrało nowego znaczenia. Rosjanie wywieźli z Ukrainy ponad pół miliona dzieci – to jak rabunek polskich dzieci dla nazistowskiej Rzeszy, jak masowe deportacje polskich rodzin po wkroczeniu Sowieców na tereny Kresów, w głąb Rosji, na Syberię i do Kazachstanu. Rosjanie planują nadanie porwanym dzieciom obywatelstwa rosyjskiego oraz umieszczenie ich w rodzinach adopcyjnych, by zostały wychowane na prawdziwych Rosjan. Do adopcji ma przekonać rosyjskie rodziny finansowa nagroda. Na olbrzymią skalę, po raz kolejny dokonuje się proces narodowościowego wykorzenienia, bezdusznym i nieludzkim inżynierią społeczną w myśl stalinowskiej metodyki. Nie ludźmy się – to jedna z form zniewolenia. Czy będziemy o tym pamiętać, gdy wszystko wróci do normy? Czy zdołamy je wszystkie odnaleźć? Czy nie będziemy milczeć?

Wiesława Owczarek, autorka opowiadań *Plastik*

Pomysł, podsłuchana rozmowa, aktualny temat, rozmowy ze znajomymi, obraz, dźwięki muzyki, przyroda – wszystko może być tematem opowiadania.

- Ewa prowadziła nasz osiedlowy sklep. Często robiłam w nim zakupy. Pewnego razu zapytała:
- Czy mogę zamieścić na ścianie sklepu twój wiersz?
 - A który? – spytałam. Wiersz brzmiał:

Ziemia
planeta ludzi

zwierząt
roślin
plastiku

– Czy wiesz – mówiła – że jesteś jedyną osobą, która przynosi swoje torebki foliowe do zapakowania owoców, warzyw? Przychodzą ludzie, którzy kupują za 200, 300 złotych i ten cały towar każą sobie zapakować do plastikowych toreb. Przychodzą za tydzień i znowu ta sama historia – żądają kolejnych plastikowych toreb. I tak co tydzień. Co robią ze starymi? Prawdopodobnie wyrzucają.

Któregoś dnia Ewa opowiedziała mi, że wyczytała w jednym z kolorowych pisemek opis przypadku mężczyzny, któremu na twarzy wyrósł plastikowy twór – włos o cechach plastiku. Nie można go było usunąć, wciąż odrastał. Trochę się pośmiałyśmy, ale oba te tematy ze mną pozostały i posłużyły mi jako pomysł do napisania dwóch opowiadań pod wspólnym tytułem *Plastik*. Moje opowiadania bardzo często powstają na kanwie tematów poruszanych w rozmowach z ludźmi.

Plastik – poważna sprawa. Należy analizować to, co dzieje się dzisiaj, przewidywać, co może nastąpić za jakiś czas. Jeżeli się nie weźmiemy do poprawiania naszej relacji z Ziemią, czeka nas, ludzkość, nieciekawa przyszłość. Zafoliowana Ziemia udusi się, a my razem z nią. Stanowimy przecież całość. Moje opowiadania są, przynajmniej, prześmiewcze, ale sprawa jest poważna.

Małgorzata Franc, autorka opowiadania *Sezon na czereśnie*

Ocalić od zapomnienia

Zawsze starałam się mieć odpowiedni dystans do życia i do wszystkiego, co podczas tych pięćdziesięciu paru lat towarzyszyło mi, stawało się i jest moją rzeczywistością i codziennością. Czasem było to trudne, pouczające lub po prostu zabawne, gdy w swoisty dla siebie sposób próbowałam zmagać się z różnymi przeciwnościami losu lub tylko przeżyć w spokoju, harmonii i godności kolejny dzień.

Ale zawsze i niemal w każdych okolicznościach towarzyszyły mi książki. Nie mogłam jeszcze chodzić, a *Kopciuszka* Brzechwy znałam na pamięć i wiedziałam, jaka zwrotka jest zapisana na której stronie. Później przyszedł czas na *Klechdy sezamowe* Leśmiana, a także na lektury szkolne, które czytałam z przyjemnością, a potem pisałam o nich szkolne wypracowania. Śmiało zatem mogę powiedzieć, że moim drogowskazem w pisaniu (oprócz muzyki) były książki, które w późniejszym, dziewczęcym, jak i obecnym życiu stanowią dla mnie inspirację, stając się nowym doświadczeniem, spotkaniem z ciekawą historią, którą z pewnością warto ocalić od zapomnienia.

W związku z moim zainteresowaniem książkami zdarzało mi się zapominać o tym, że już obiad na stole albo że spóźnię się na spotkanie lub że może już pora spać, bo przecież bohater *Hrabiego Monte Christo* Edmund Dantes opuszczał właśnie w dramatycznych okolicznościach więzienie na Zamku d’If (zwłaszcza że istnieje ono w Marsylii do dziś, a od końca dziewiętnastego wieku zostało udostępnione dla turystów). Tak więc lektura tej i innych, głównie należących do klasyki powieści, nowel i opowiadań bardzo mnie pochłaniała i przynosiła mi wiele radości. Wówczas jednak nie myślałam o tym, żeby napisać coś własnego.

I tu zadziałał Los, a właściwie Pan od polskiego, to znaczy Pan Janusz Szmidla, który zadał uczniom klasy VIII Szkoły Podstawowej Nr 4 w Częstochowie pracę pisemną na temat dowolny i właśnie wtedy napisałam mój pierwszy wiersz, po którym przyszły następne. Stały się one podstawą mojej obecnej twórczości poetyckiej, jak również późniejszej prozatorskiej.

Jeśli miałabym w skrócie przedstawić, jak ten proces przebiegał, to porównałabym go do szycia i pracy krawca, który z mozołem – lub w natchnieniu – układa wzór z materiału tak, aby powstał z niego określony projekt, później fason i gotowe już, muśnięte na koniec spojrzaniem sumiennego mistrza – ubranie. Podobnie było w moim przypadku, z tym tylko, że głównym celem oraz upodobaniem w mojej twórczości była poezja, która pozostawiała mi sporą dowolność i swobodę wypowiedzi. Natomiast opowiadania, jak na przykład *Sezon na czereśnie* czy następne *Towarzyszka życia*, są jak zauważone, ale nie od razu, skrawki materiału, układające się na przestrzeni czasu w niebanalny i trwały projekt.

Jak się okazało, właśnie takim prozatorskim projektem złożonym ze skrawków moich wspomnień było opowiadanie o ogrodzie, ukochanym przez jego gospodarzy, o pięknie nieistniejącego już czereśniowego sadu, o przemijaniu i o człowieku w tym przemijaniu. Postanowiłam i starałam się opisać tamte zdarzenia w sposób delikatny i subtelny, żeby nie epatować smutnymi odczuciami, a jedynie pisać z nadzieją, że te słowa być może skłonią nas wszystkich do refleksji i pozwolą pochylić się nad kruchością i ulotnością życia.

Z serdecznymi pozdrowieniami!

Ida Jadwiga Łubińska, autorka opowiadania *Józef Frasobliwy*

Dlaczego piszę opowiadania?

Na początek – rodzinna anegdotka. Ania, moja młodsza siostra, wspomina coś, co wydarzyło się naprawdę, choć jest nieprawdopodobne. Potwierdzam. Przed laty relacjonowała mi, a ja zapamiętałam, bo rzeczywiście historia jest niewiarygodna.

To było dawno, dawno temu. Zbliżał się czas egzaminów maturalnych, a Ania nie umiała się zdecydować, jaki kierunek studiów wybrać. Wiadomo było, że do Warszawy, na Uniwersek, bo ja już tam byłam i zachwalałam swój pobyt w stolicy. Czas goni, pędzi, a konkretnego pomysłu brak.

I cyk! Niespodzianka senna. Dlaczego senna? Bo przytrafiła się we śnie. Anna rozmawia z nieznanym mężczyzną, rozmownym, skorym do opowiadania. Kim pan jest? – pyta. Nazywam się Józef Lompa – słyszy odpowiedź. Budząc się ze snu, zapamiętuje tożsamość nocnej mary. Zaintrygowana, szuka w encyklopedii hasła Józef Lompa. Co znajduje? „Józef Piotr Lompa (1797-1863) – polski działacz, poeta, tłumacz, publicysta, prozaik, pionier oświaty ludowej oraz etnografii na Śląsku. Prekursor procesu polskiego odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku”. Senne przesłanie staje się odpowiedzią na wcześniejsze pytania i rozterki. Młodziutka, ledwie siedemnastoletnia Ania zostaje studentką pierwszego roku Wydziału Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Warszawskim. Ogniwa łańcucha powiązań spletają się, tworząc kolejne wątki.

Skąd moje zainteresowanie sztuką ludową? Łatwo się domyślić. Anna, pracując w Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie, zajmowała się organizowaniem wystaw twórców ludowych z Polski i Słowiańszczyzny. Jeździła często po Polsce i krajach tzw. demolodu, odwiedzając wyróżniających się i uznanych artystów, kupując prace do Muzeum, organizując wystawy. Zaraziła mnie tą pasją. Wtedy to zaczęłam kolekcjonować rzeźbę ludową. Nie było łatwo. Ale i tak powstał piękny zbiór, z którego byłam dumna.

Przed kilku laty z ważnych powodów zamierzałam sprzedać dom i przeprowadzić się do Warszawy, gdzie mieszka większość bliskich mi osób. Był kupiec, sprzedawałam część mebli, kolekcję fajansów i dużą część zbiorów rzeźby ludowej do oddziału etnograficznego Muzeum Częstochowskiego. Było mi żal, bo lubiłam moje drewniane figurki, ale pocieszałam się, że więcej ludzi będzie mogło je obejrzeć, a może... – kto to wie, co jeszcze, co później, przyszłość bywa nieprzewidywalna. Fakt. Miałam wypadek, plany przeprowadzki diabli wzięli, ale wiele

najwartościowszych prac nie stało już na półkach mojego domu. Nie było figurki Jezuska Frasobliwego...

Jak i dlaczego w mojej głowie pojawił się zamysł na opowiadanie o uznanym ludowym rzeźbiarzu Józefie Sobocie? Zazwyczaj biorę za punkt wyjścia autentyczne wydarzenie. Postać i losy prawdziwe, lecz gdy piszę fabułę, muszę wymyślać wątki, kreować szczegóły, dialogi, sytuacje...

Przyczyną, dla której dzielę się tymi historiami, jest potrzeba, wręcz imperatyw wewnętrzny. Powodów jest oczywiście więcej. Opowiadanie, które znalazło się w antologii, to rodzaj wspomnienia, a może potrzeba utrwalenia czegoś, co odeszło. Opowiadanie *Józef Frasobliwy* to symboliczne pożegnanie z moimi rzeźbami. Bohaterem mojej opowieści jest postać uznana w świecie polskiej twórczości ludowej. Sporo o nim wiedziałam, lecz mijający czas wiele faktów wymazał z pamięci. Posiłkowałam się opracowaniami profesora Mariana Pokropka, emerytowanego wykładowcy Instytutu Etnologii i Etnografii Kulturowej UW, niestrudzonego dokumentalisty, a dla mojej siostry kiedyś ulubionego wykładowcy i autorytetu w dziedzinie twórczości ludowej. Do przygotowywanej do druku antologii wybrałam to opowiadanie. Dlaczego? Nie wiem. Impuls.

Tuż przed promocją miała miejsce rozmowa z moim synem Sergiuszem, która wydała mi się fajnym zbiegiem okoliczności. Spytał mnie, czy mój bohater, Józef – jak go nazwałam – Frasobliwy ma coś wspólnego z podwarszawską miejscowością Otrębusy.

– Tak, tam jest muzeum rzeźby ludowej Polski i Słowiańszczyzny – odpowiedziałam.

– Bo wiesz – kontynuował – z inicjatywy profesora Mariana Pokropka będzie w Otrębusach realizowany film, związany z muzeum i twórczością prezentowanych tam rzeźbiarzy. Zaproponowano mi, abym skomponował do filmu muzykę oraz wykonał ścieżkę dźwiękową. Jutro zaczynamy.

Uśmiechnęłam się. Ciekawa historyjka.

Cóż, życie napisało inny scenariusz. Zdjęcia odwołano. Profesor ciężko zaniemógł. Kilka dni później dowiedziałam się o śmierci profesora.

Elżbieta Jolanta Gola, autorka opowiadania *Anywhere*

Moje inspiracje

Zespół „Czerwony Tulipan” ma w swoim dorobku piosenkę „Pani Gienia”. Refren brzmi tak:

A pani Gienia, pani Gienia
 Starą maszynę w domu ma
 I pisze wiersze w życiu pierwsze,
 Bo wcześniej czasu było brak.

Moja historia z pisaniem zaczęła się znacznie wcześniej. Pierwsze próby literackie testowałam na poznanej w środowisku sanatoryjnym Nałęczowa grupie sympatycznych osób, którym dobra literatura nie była obca. Preferuję krótkie formy literackie: małe prozy, opowiadania, a także białe wiersze. Inspiracją są z pewnością osobiste doświadczenia, malarstwo i rzeźba oraz nietuzinkowe spotkania. Opowiadanie *Z tej samej gliny* zrodziło się z kontemplowania obrazu mojej synowej Ani. Przedstawia popiersie kobiety, która w całej postawie i spojrzeniu kryje bagaż doświadczeń. Koloryt i pociągnięcia pędzla dały wrażenie rzeźby z gliny. Opowieść popłynęła już swoim nurtem. Wiele opowiadań ukazało się w tomikach klubu literackiego „Metafora”. Trzy ostatnie zbiorowe tomiki ukazały się pod moim kierownictwem. Wśród wielu opowieści swoją historię niosą miniatury z krainy baśni dedykowane moim wnuczkom: Karolinie i Emilce. To niewyczerpany temat do balansowania słowami na pograniczu okresu dziecięcego i napierającej

dorosłości. Niosą przesłanie o poszukiwaniu w życiu nawet drobnych radości oraz dostrzeganiu magii w otaczającym nas świecie. Do ich napisania dopingował mnie syn – Bartłomiej.

Prezentowany w tomie *W kręgu Galerii. Antologia opowiadań* tekst *Anywhere* zrodził się z fascynacji obrazkiem z kalendarza. Był tam mój bohater – mężczyzna w kapeluszu – i był drogowca, a wiemy, jak istotne są w życiu drogowcy. Takimi są poznane w Galerii osobowości. Ich twórcze dokonania wciąż mnie zachęcają do czytelowania tekstów, do pracy nad każdym zdaniem, a także do sięgania po teksty z najwyższej półki.

Krystyna Biskup, współzałożycielka Klubu Literackiego „Metafora”, w którym zdobywałam pierwsze szlify, czytając moje teksty zwróciła uwagę na fakt, że w moich opowiadaniach pozostawiam „uchylone drzwi”. Zapraszam czytelników do spojrzenia, co się za tymi drzwiami kryje.

Andrzej Piechocki, autor opowiadania *Ledermantel*

Wyjaśnienie obwinionego

Rzecz wydrukowana w „Galerii”, a zatytułowana *Ledermantel* nie jest reportażem – to fikcja, kreacja luźno zainspirowana biesiadnymi gawędami z Jerzym Orłowskim, który w latach pięćdziesiątych jako piłkarz reprezentował barwy Legii Warszawa i Skry Częstochowa. Jerzy, Jurek Orłowski, starszy pan z ulicy Focha, niestety od kilku lat już nieżyjący, był niewyczerpaną skarbnicą anegdot, dykteryjek mówiących o powojennych siermiężnych latach. Pomyślałem sobie wówczas, że te zasłyszane przy wódeczce opowieści mogą stać się kiedyś zacytowanym do jakiś literackich zmagania. *Ledermantel* – to nie tylko powiastka o piłkarzach, futbol momentami jest tam w tle, na drugim planie. Pisząc ten utwór, chciałem przede wszystkim dać przekaz o polskim patchworku kulturowym.

Nie jest do końca prawdą, że postaci literackie są wyłącznie tworem naszej wyobraźni. One wyłaniają się z mgły pamięci, z zakamarków głęboko skrywanego naszego „ja”. Autor musi pokochać zrodzone przez niego postaci; budując narrację, ma dziwnym trafem moc stwarzania tajemniczego świata.

Moi bohaterowie w 1945 roku wkraczają w dorosłość. Ocaleli jako kilkunastoletni młodzieńcy. Wychodzą w miarę cało z faszystowskiego Armagedonu, który na ziemiach polskich trwał prawie sześć lat – najdłużej w Europie. Ten fakt często nam umyka. Egon i jego koledzy, abstrahując od okoliczności, zostają zmuszeni do przeniesienia się z Rudy Śląskiej (dawniej noszącej nazwę Frydenshuty) do Warszawy. Ta przeprowadzka była dla nich jak wypuszczenie z leprozorium. Młodzi ludzie, powołani do wojska, starają się znaleźć swoje miejsce w tamtych warunkach i robić to, co potrafią najlepiej. Oni akurat zgrabnie, prosto i skutecznie kopią *futbolówkę*.

Polska okresu powojennego była przestrzenią strasznej biedy, państwem przejściowym w trakcie zmiany ustroju, niesuwerennym, niepewnym, bo utworzonym na płynnych fundamentach. Dwie piąte terytorium dzisiejszej Polski przed tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym rokiem było częścią III Rzeszy Niemieckiej. Pierwsze dziesięć lat od zakończenia wojny uformowało warunki życia dla mojego pokolenia i według mnie tamten czas ciąży na dzisiejszym dniu. Wątpiących odsyłam do świetnej książki Andrzeja Ledera *Prześliona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*.

Ledermantel (po niemiecku, po śląsku zresztą też – płaszcz skórzany) to symbol i szczegół. Podobno dobre opowiadanie musi zasadzać się na szczególe. Zrobiłem przewrotne zakończenie. Zauważyłem, że ludzie często, zdobywszy jakąś rzecz materialną, dostrzegają po niewczasie jej banalność. Szkoda, że tak łatwo ucieka nam banalność zła.

Dużo jest Górnego Śląska w moim opowiadaniu, bo ten obszar mnie fascynuje od kilkunastu lat. Często z przyczyn rodzinnych odwiedzam tereny dawnego Księstwa Pszczyńskiego. Stale znajduję tam ekscytujące rzeczy związane z historią tego regionu. Ciągłe zapominamy, że jako społeczeństwo jesteśmy przybyszami z różnych mikroświatów i nieidentycznych wysepek kulturowych. Ta niepamięć jest groźna, bo tracimy umiejętność rozumienia ludzi, którzy z jakichś powodów różnią się od nas, w konsekwencji gubimy imperatyw tolerancji. Za chwilę dowolny sprytny szubrawiec będzie mógł łatwo manipulować społecznymi emocjami.

Może jestem przeczulony, ale już dzisiaj zaczynam słyszeć flet szczurołapa pobrzmiwiający w jednym z ostatnich wierszy Czesława Miłosza. Poeta wysłała nam ostrzeżenie – oto ono:

Żeby nie zmienili się w stado pyszczków
węszących za żerem, do których zbliża się
szczurołap ze swoim fletem i prowadzi ich
w jaką zechce stronę.

(Cz. Miłosz, *Flet szczurołapa*)

Bogdan Knop, autor opowiadań *Powiązania*, *Podróż*

Moje opowiadania

Kiedy poważniej zacząłem pisać, nie myślałem o układaniu opowiadań w jakiś określony gatunek. Świadomość pisania kojarzyła mi się z umiejętnym operowaniem językiem w przepuszczaniu świata zewnętrznego przez sito życia wewnętrznego. Miałem pewne obawy co do tego, wspominając pewną opinię o Dostojewskim: wielki pisarz osadzony na charakterze marnym. Ale jako że nie zostałem wielkim pisarzem, to i moja osobowość może nie mieć tu nic do rzeczy.

Po latach stwierdzam jednak z niejakim zdziwieniem, że opowiadania moje układają się w dwa nie całkiem rozłączne ciągi. Jeden z nich nazwałbym grammi literackimi i tu sytuuję *Powiązania*, drugi zaś powiódł mnie ku prozie poetyckiej, co jakoś reprezentuje *Podróż*.

Z drugiej strony – recenzowanie własnej twórczości wydaje mi się mało przyszłościowe. No chyba że w warunkach towarzysko swobodnych, przy kuflu pilsnerka, w karczmie, co „Rzym” się nazywa, po skończonej podróży...

Jakub Bartecki, autor opowiadania *Zabójca biednego listonosza*

Na spotkanie Galerii

Słońce ponoć też wschodzi. Zależy dla kogo i kiedy. Noc czy dzień? Permanentny brak pomysłów i nagły ich natłok. Wyobraźnia pędzi w kierunku urwiska. Czy nie zdążę już powiedzieć wszystkiego, co mam do powiedzenia? Czy zdążę przemilczeć to, o czym nie mam pojęcia? Cisza to hałas. Zbyt głośna samotność. Pośrodku nudnego procesu pisania jestem stale pod presją, którą sam sobie narzucam. Naprawdę potrzebuję takiej podniety, by... coś wymyślić? Wciąż wszystko ucieka mi z rąk, przecieka przez palce jak litery kolejnych zdań, których nie zdążyłem zanotować. Zawód? I tak, i nie. Moje opowiadania są jedynie koślawą wersją pomysłów. Pisarstwo jest ze swej natury zajęciem beznadziejnym. Jest ciągłą pogonią za uciekającym, którego nie da się dogonić. To zupełnie tak, jakby chciał pomyśleć to, co jest nie do pomyślenia. Literatura to choroba, na którą nikt jeszcze nie umarł – to choroba, która pozwala żyć. Gdy nas już dopadnie, to koniec. Albo początek. Sam już nie wiem, kto tu kogo goni.

Jacek Szcherbak, autor opowiadania *Burzliwy rynek tłumaczeniowy*

Ku pokrzepieniu myślenia

Dlaczego piszę opowiadania? Bo nie mam cierpliwości do pisania powieści, zresztą kto by to czytał? Tak właściwie to jestem poetą, ale niektórzy, jak widzą wiersze, to myślą, że będzie nudne – same przypadkowe wyrazy, które się rymują, i same niezrozumiałe metafory – i już im się odechciewa czytać. Specjalnie dla nich zapisuję niektóre bardziej rozwlekłe wiersze prozą – i tak wychodzą mi opowiadania. Na rynku literackim, podobnie jak i tłumaczeniowym, trzeba być elastycznym i dostosowywać się do indywidualnych zachcianek klientów.

A po co piszę? Różnie, ale akurat opowiadanie o rynku tłumaczeniowym jest napisane ku pokrzepieniu myślenia, żeby się ludzie zastanowili, czy niewidzialna ręka rynku jest najlepszym rozwiązaniem wszystkich naszych problemów i czy nie powinniśmy czasem stworzyć innego systemu, takiego z ludzką twarzą i dwiema widzialnymi rękami, z których jedna zabierałaby bogatym podatki, a druga rozdawałaby wszystkim dochód podstawowy.

Bo czy systemy są na pewno tylko dwa i czy na pewno zamieniliśmy ten gorszy na ten lepszy? Czy nie jest czasem tak, że oba są do niczego, jeśli się je wdraża odgórnie, zakładając, że ludzie się nabiorą, bo są durni?

Ja nie mam oczywiście żadnych odpowiedzi, ja w opowiadaniach tylko zadaję pytania. Wiem natomiast, że racja nie na czarnym ani na białym szachowym koniu, ale na pstrym koniu mocniej siedzi w siodle rzeczywistości.

Kto przeczyta o burzliwym rynku tłumaczeniowym, nie tylko się uśmieje, ale i splunie gorzko, uprzedzam. Bo tam pytanie, zadane niestety przez samo życie, brzmi: jak pieniądź tworzy przemoc i jak kapitał z dłużnika robi niewolnika?

Krzysztof Prokop, autor opowiadania *Temat wieczoru*

Kilka słów od autora

Miałem, muszę przyznać, wielką przyjemność, że moje chyba całkiem niezłe „wypociny” ukazały się w *Antologii opowiadań* Galerii. Wciąż trochę ciężko mi w to uwierzyć – szczerze się przyznam.

Oczywiście od najmłodszych lat miałem kontakt z literaturą. Jedne książki pociągały mnie bardziej, a drugie wcale. Przyznam się bez kłamstwa, że raczej podobały mi się lektury szkolne i nie przeklinałem ich w zaciszu domowym, kiedy musiałem przygotować się na kolejną lekcję języka polskiego. Czasami nawet z własnej nieprzymuszonej woli sięgałem po lekturę, choć przez wiele lat, a tak naprawdę przez większość mojego życia nie trafiłem na książkę, która by mnie porwała albo mogła się równać z arcydziełami filmowymi stworzonymi przez Finchera czy Scorsesego. Nie byłem w stanie pojąć słów mojej ukochanej mamy, która mówiła, że jak trafiała na dobrą książkę, to czytała ją, dosłownie zapominając o bożym świecie. W tamtym czasie uważałem to za zjawisko, które mnie nigdy nie nawiedziło.

Do czasu, aż natrafiłem na powieść, od której rozpoczęła się moja miłość do literatury i od kilku lat stała się moim numer 1 wśród przeczytanych książek: to *Ślepnąc od świateł* autorstwa Jakuba Żulczyka. Fabuła, zarysowane postacie, świat przedstawiony, język... brakłoby mi słów, by opisać, jak bardzo pokochałem tę książkę. To był wrzesień 2018 roku. Od tamtej pory staram się przeczytać przynajmniej jedną powieść w roku; specjalnie napisałem powieść, bo książek akademickich czytam co niemiara.

Etapem przełomowym był dla mnie okres, który, prawdę powiedziawszy, wspominam dosyć dobrze. Okres wiosny 2020 roku, gdy pozamykali nas w domach, a ja z nudów zacząłem

pisać. Skończyłem jeden utwór. Potem w lecie zacząłem pisać powieść, której fragment dałem do przeczytania i oceny mojej cioci. Sama pisze i publikuje, więc moi rodzice doradzili mi, by spojrzeć swoim doświadczoneym okiem na moje „wypociny”. Ku mojemu zdziwieniu usłyszałem wiele pochlebnych słów. Wybuchłem z wrażenia. Nie wierzyłem, bo jak może komuś obcemu podobać się te kilka słów nabazgranych klawiszami klawiatury komputera na ekranie? Uwierzyłem w siebie.

Ciocia podsunęła mi pewien pomysł. Jeżeli chcę poćwiczyć moje, nazwijmy to „pisarskie zdolności”, choć wciąż to dla mnie dziwnie brzmi, powinienem zacząć pisać opowiadania. Opowiadania? – pomyślałem. Nigdy nie lubiłem opowiadać, wydawały mi się formą literacką, w której autor nie jest w stanie zawrzeć wszystkiego. Ale dobra, bierzemy się za to.

Po ponad chyba półtora roku, choć nie pamiętam, kiedy stworzyłem pierwsze opowiadanie, mam trzy w swoim skromnym dorobku. Dwa są opublikowane (wciąż w to nie dowierzam). O każdym z całej trójki usłyszałem wiele pochlebnych słów. Zarówno od osób, z którymi widzę się na co dzień, ale i od ludzi niemal kompletnie mi obcych.

Skąd czerpię inspirację? Jak pojawiają się moje pomysły? Przyznam się szczerze, że ze wszystkiego. Z otaczającego mnie świata, z zachowań obcych, z rozmów, które prowadzę, z gier komputerowych, filmów, książek, wiadomości, newsów medialnych, literatury naukowej. Można by tak wymieniać bez końca. Z otaczającego mnie świata, który bada i pochłaniają oczy i słuch razem z pozostałymi zmysłami. Inspiracją jest wszystko, co do nas dociera. Nieraz jest tak, że po długim czasie przypominam sobie o pewnej sytuacji i postanawiam to wykorzystać albo wracam do domu i nagle w głowie układa mi się dialog postaci. Mózg to ciekawy organ, potrafi człowieka zaskoczyć. Mnie zaskakuje, jak pomaga połączyć pozornie niezwiązane ze sobą wydarzenia w jedną całość. Tak właśnie powstało opowiadanie, które, mam nadzieję, czytających nie zanudzi. Z połączenia fikcji, historii i przeżyć osobistych.

Życzę przyjemnej lektury!

Maciej Rudlicki, autor opowiadania *Polowanie*

Dlaczego *Polowanie*?

Nie sądzę, abym był daleki od prawdy gdy stwierdzę, że opowiadanie jest najstarszą formą informacji, a potem komunikacji interpersonalnej, plemiennej, międzyludzkiej, zwłaszcza wtedy, gdy przy ogniskach wspólnie szukano odpowiedzi na zawilgości losu. Z biegiem czasu ukształtowało się jako forma literacka.

Dlaczego piszemy opowiadania? Bo ich źródło nigdy nie wyschnie, co więcej – coraz trudniej zrozumieć nam własny los na tle coraz mniej rozumiałej rzeczywistości. Chcemy przedstawić jakiś komentarz do zdarzeń nawet wtedy, jeśli są one fikcją, wymysłem naszej wyobraźni. W przypadku mojego opowiadania pt. *Polowanie* potrzeba jego napisania miała źródła w rzeczywistości obserwowanej latem na bałtyckiej plaży. Niekiedy tłumiliłem śmiech potencjalnego widza komedii Moliera. I choć ten umowny spektakl pozbawiony był głębi intelektualnej, stanowił jednak dobry początek dla imaginacji ewentualnych rozwiązań. Każdy „grajdołek” otoczony parawanem z uwagi na szczególnie rodzaj antycodzienności swoich właścicieli, może tworzyć zabawne skojarzenia odmienności zachowań, ponieważ, jak twierdzi Seneka, „każdy kogut na swych śmieciach śmielszy”. Dozwolony zakres nagości w miejscach publicznych jest czymś naturalnym, szczerym, pozbawionym jakichkolwiek póż u dzieci i ludzi bardzo młodych. Natomiast starsi, jak też ludzie w późniejszym wieku, wyrażają swoje prawo do należytym radości często w sposób zabawnie stylizowany. Słoneczny masaż wraz z poczuciem lekkiej bryzy wiejącej od morza, stan euforycznego nastroju niepostrzeżenie przenoszą nas w prawie bajkowy świat, a tam... wszystko się może zdarzyć.

Zamknięte w nas pożądania i pragnienia domagają się wolności. O tyle jest to zrozumiałe że – jak mawiał mój ojciec – wszyscy jesteśmy dziećmi słońca.

Agnieszka Oknińska, autorka opowiadania *Szyba*

Lubię wyzwania

Opowiadanie nie jest jedyną formą literacką, której używam. Piszę również powieści. Czasami do najtrafniejszego zobrazowanie tematu używam form dramatu, najczęściej monodramu. Opowiadanie piszę, kiedy potrzebuję krótszej formy wypowiedzi, luźniejszej konstrukcji i osób drugoplanowych, które tylko zarysem, kontrastem pomagają urozmaicić obraz głównego bohatera. Jestem niecierpliwa, impulsywna i bardzo emocjonalna. Może dlatego lubię pisać opowiadania – bo dają mi szansę szybkiego budowania napięcia, głębszego rysowania emocji i konfliktów. Są wyzwaniem jeśli chodzi o ubieranie w słowa uczuć, odczuć i doznań zmysłowych. A ja lubię wyzwania.

Trudno mi odpowiedzieć na pytanie – skąd czerpię inspiracje. Nie szukam ich, nie szukam też źródeł. Prawdę mówiąc, inspiracje wchodzą bez pytania do głowy na każdym kroku, budują wyobraźnię, malują obrazy, piszą scenariusze. Każdy napotkany człowiek, najbanalniejsza sytuacja, której jestem świadkiem, najprostsza informacja jest początkiem historii. Mam ich w sobie mnóstwo, brakuje tylko czasu, żeby się nimi podzielić. Pomysł zaczyna się spotkaniem kogoś. Ten ktoś opowiada historię. Nawet jak się nie odzywa, widzę ją w nim i od razu uruchamia się produkcja. Zaczyna się misterna i fascynująca budowa postaci, przed oczyma wirują przeczytane czy zasłyszane informacje o zdarzeniach i zaczyna tworzyć się fabuła. Tak pokrótce.

Nie lubię pisać o tym, jak tworzę ani co chcę przekazać. Piszę, bo mam taki impuls, bo chcę opowiedzieć, chcę by mnie wysłuchano, licząc, że komuś pomogę. Mam duży wewnętrzny imperatyw pisania o rzeczach, których inni boją się lub po prostu wolą nie dotykać.

Amerykański pisarz Robert Anthony Salvatore powiedział: „Jeśli potrafisz porzucić pisanie, porzuć je. Jeśli nie potrafisz, jesteś pisarzem”. A ja piszę.

Pozdrawiam serdecznie!

Rafał Socha, autor opowiadania *Rogal*

Krótkie wystąpienie

Szanowni Państwo, o ile rozumiem ideę spodziewanego wystąpienia, posłużę się refleksją niegdyś już przez mnie ukazaną – i to na łamach „Galerii”. Opowiadanie nosiło tytuł *Fikcja literacka oraz jak ją zdemaskowano*, w druku ukazało się mniej więcej dziesięć lat temu. Fabuła przeplatała się tam z narratorską gawędą, ta zaś, co oczywiste, koncentrowała się na tytułowej „demaskacji”. Ową demaskację warsztatową przeprowadziłem drobiazgowo w odniesieniu do konkretnych scenek utworu napisanego specjalnie na tę okazję. W założeniu scenki miały obrazować narodziny oraz rozwój pomysłu – z jednoczesną analizą procesu tworzenia prozy fabularnej. Wydaje mi się, że wzmiankowane zjawisko omówiłem wtedy dość szczegółowo. Rzecz jasna tutaj na detale nie ma miejsca, toteż z pamięci przywołam jedynie wnioski.

Otóż zdarzenia fabularne w moich utworach beletrystycznych zawsze są miksem różnych inspiracji, przy czym miewają trzy źródła pochodzenia:

1. Scenki i dialogi całkowicie wymyślone;
2. Scenki zaobserwowane, ale później przetworzone. Podobnie rzecz się ma z dialogami – podsłuchane u źródła, potem solidnie wykoślawione;
3. Scenki zasłyszane, choć niepotwierdzone. Innymi słowy, potoczyste relacje osób trzecich,

niby to naocznych świadków, aczkolwiek nierzadko obdarzonych zdolnościami płynnego przemieszczania się między realizmem a fikcją. Ja już w te granice nie wnिकam.

Na koniec przywołam jeszcze myśl, jaką wyczytałem u Tadeusza Konwickiego. Nie pamiętam już, w której powieści, dlatego nie jestem w stanie sprawdzić. Ale z grubsza szło o spostrzeżenie, jakoby ludzie najbardziej lubili czytać to, co wzięte z głowy autora, tymczasem Konwicki – autor – najbardziej ceni sobie to, co wzięte z życia. Nie z głowy.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zgodzić się z odczuciami mistrza.

Tomasz „Aztenty” Barański, autor opowiadania *Marny filozof na Marsie*

Pisarzem nie jestem, a jeśli już, to raczej bywam. Moja prawdziwa rzeczywistość to na przykład sprzedawanie książek na spotkaniach kochanych literatów. Napisałem opowiadanie o podróży na Marsa, gdyż tym tematem interesuję się od dawna i będąc już pod sześćdziesiątkę, jeszcze nie wyrosłem z młodzieńczej pasji bycia kosmonautą. Mars to temat naszej przyszłości i nie jest to problem urojony. Działają w tym kierunku niebagatelne instytucje, jak na przykład Mars Society czy NASA, a badania finansują amerykańscy podatnicy. I choć to niewiarygodne, nad tym, aby w przyszłości polecieć na Marsa góowią się najtęższe mózgi tego świata i pochłania to nieprawdopodobnie duże pieniądze. Ale jak ktoś to uczenie określił – badania naukowe są niezbędne i chociaż lot na Marsa kosztuje tyle, ile kosztowałoby wyżywienie połowy niedojadającej Afryki, to maksyma pozostaje niezmienna: badania naukowe na temat Marsa są potrzebne.

Zapraszam do świata mojego opowiadania i do mojego kramiku z książkami!

Paulina Wysocka-Morawiec, autorka opowiadania *Kozłówka*

Dlaczego piszę opowiadania

Lubię opowiadania z wielu powodów. Z perspektywy czytelnika za to, że ich przyswajanie przebiega szybko. Przydaje się to w chwilach, gdy odsapnięcie od własnej rzeczywistości wydaje się niezbędne do dalszego funkcjonowania, a czasu jest mało. Nie muszę wtedy przerywać historii, dzielić jej na części, tylko mogę bez większych przeszkód połączyć całość „na raz” bez zbędnych wyrzutów sumienia.

Oczami autora cenię krótsze opowieści, ponieważ pozwalają poćwiczyć, podszlifować warsztat, wypróbować nowe formy, gatunki czy bohaterów. To pewnego rodzaju eksperyment, który staje się sukcesem lub odrobiną straconego czasu. Ponadto bywają teksty, które by przekazać wszystko, co najważniejsze, nie potrzebują setek tysięcy znaków. Doskonale radzą sobie bez tego, a wręcz nadmiar treści mógłby wyrządzić im więcej krzywdy niż pożytku.

Opowiadania mogą nieść głębszy przekaz, mogą być metaforą myśli czy przekonań, odpowiadać lub stawiać pytania, a czasem po prostu bywają usłyszaną gdzieś historią, którą ubiera się w nowe szaty, czy zwykłym żartem opowiedzianym w zupełnie nowy sposób. Właśnie tak powstała *Kozłówka*, która znalazła swoje miejsce *W kręgu Galerii*. To opowiadanie inspirowane dowcipem, który pozwoliłam sobie przedstawić w zupełnie nowy sposób, podrasować i uzupełnić w niezbędne szczegóły oraz sceny mające wywołać uśmiech. Wykorzystałam do tego ulubionych bohaterów, którzy potrafią rozbawić, ale również poruszają wiele ważnych kwestii poprzez mniej lub bardziej subtelne obrazowanie ułomności natury ludzkiej.

Też się trzymając, zasiadam do kolejnej historii o rodzinie Kozłów. Czytelnikom zaś życzę przyjemności z lektury *W kręgu Galerii*.

Maria Milewska

CZĘSTOCHOWIANIE W KANADZIE. Nasze kochane miasto, nasze wspomnienia



PRZEGLĄDAM KRONIKI Klubu Częstochowian i Sympatyków w Kanadzie. Pamiątki z pierwszych spotkań, w tym i te z pierwszego wieczoru. A było to we wrześniu 2021 roku.

Niedługo dojdziemy do dwóch lat działania. Mamy za sobą osiemnaście środowych spotkań! Piszę środowych, ponieważ Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II w Mississaudze udziela nam gościny w swojej kawiarence w każdą drugą środę miesiąca. Miejsce i dzień są stałymi punktami w naszych planach w ciągu roku. Trochę inaczej wygląda okres wakacyjny.

Myśl, by zorganizować w Toronto i w Mississaudze oraz w wielu przylegających do nich mniejszych miastach klub lub stowarzyszenie ludzi pochodzących z Częstochowy, rozwijała się przez lata. Wiedzieliśmy o tym, że ciekawie działają w Toronto-Mississaudze inne kluby, w tym m.in. grupy warszawiaków i gdańszczan. Oba istnieją od ponad 20 lat. Często myślałam o tym, by stworzyć nasz klub. Na spotkaniach towarzyskich z przyjaciółmi rozmowy toczyły się czasami wokół pragnień zorganizowania takiego klubu. Ale to były lata wypełnione pracą, zaangażowaniem w innych sprawach, codziennością. Marzenia odkładaliśmy na półki.

Nastąpił czas pandemii, zmienił się rytm dni, część osób już była wolna od obowiązku pracy. W którymś momencie rozmowa z kolegą Waldym Szczęśniakiem, potem jego kontakt z Krzysztofem Polisem, telefony do mnie, po których doszło do pierwszego spotkania małej grupy częstochowian. Pierwszy wywiad z redaktorem „Gońca” – Andrzejem Kumorem.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Krzysztof załatwił reklamę w tygodniku „Goniec”. Zbierał informacje o miejscu naszych spotkań w Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II w Mississaudze. Rosła grupa osób zainteresowanych. Poinformowaliśmy o pierwszym spotkaniu w kawiarence CKP. Rozmawialiśmy ze znajomymi, z przyjaciółmi.

Nastąpił wrzesień 2021 roku.

Pamiętamy te chwile w kawiarence centrum. Przyszło ponad 40 osób. Nie wszyscy się znali. Ale pierwsze rozmowy wzruszały. Okazywało się, że powinniśmy się znać jeszcze w Częstochowie. Bliskie ulice. Czasami te same szkoły. Ktoś kogoś powinien kiedyś widzieć, bo przecież

„brat mieszkał blisko tego bloku” itd. Każdy powiedział coś o sobie. Powspominał. Powstawał nastrój. Dyskutowaliśmy.

Zycie w ogromnym Toronto, w przylegającej Mississaudze i w wielu najbliższych miastach nigdy nie pozwoliło bliżej się poznać. Wtopiliśmy się w zbiór wielu narodowości tworzących kanadyjską społeczność. Dlatego pierwszy wspólny wieczór osób pochodzących z naszego kochanego miasta w Polsce – odegrał dużą rolę.

Powstaliśmy. Istniejemy. Cieszymy się. Planujemy. W ostatnią marcową środę mieliśmy 18. spotkanie. Przyjechało na nie ponad 60 osób. Świątowaliśmy Dzień Częstochowianek i Przyjaciółek z innych stron Polski. Dodam, że do klubu należy już ponad 130 rodaków. Niektórych widzimy na każdym naszym spotkaniu. Innych – co pewien czas. Nie wszyscy mogą zaplanować i być w każdą naszą środę. Samo życie.

Wróć do chwil pierwszego ważnego wieczoru. Losowaniem wybraliśmy nazwę – Klub Częstochowian i Sympatyków w Toronto – The Association of Czestochowian in Canada. Kilka osób weszło do Zarządu Klubu CziS. Na prezesa wybraliśmy Krzysztofa Polisa; wiceprezeskami są Maria Milewska oraz Marysia Dziembowska. Do Zarządu należą: Barbara Polis, Wiktor Kubat, Wojtek Mieszkowski, Paweł Woszczyzna. Grupę muzyków prowadzą: Andrzej Wierus oraz Renata i Bolesław Cynarscy. Kronikę klubu, informacje o spotkaniach piszę ja, Maria Milewska. Większość z nas to rodowici częstochowianie. Omówiliśmy pierwsze szkice programu naszego istnienia. Po kilkunastu spotkaniach mogę napisać, że wybór prezesa to był strzał w dziesiątkę. Krzysiu Polis, były student Politechniki Częstochowskiej, biznesmen w Kanadzie, świetny organizator naszej grupy. Człowiek, który z sercem czuwa nad nami. Trzyma rękę na pulsie. Cały zarząd to zgrana i bardzo oddana klubowi grupa.

Wspomnę o naszych wieczorach. Jak one wyglądają, co się działo, jak powstaje pewien „portret” częstochowian w Kanadzie. Nie mogę ominąć spraw, które w działalności klubu odgrywają istotną rolę. Prezes – Krzysztof – postarał się o to, byśmy mieli własny plakat-baner. Omówiliśmy jego tekst, na nim umieściliśmy zdjęcie Jasnej Góry i godło miasta. Krzysztof czuwał nad naszymi wizytówkami. Korzystając z porad gdańszczan, opracowaliśmy Konstytucję Klubu Częstochowian i Sympatyków w Kanadzie – Constitution Of The Association Of Czestochowian In Canada. Dodam, że jest to bardzo ważny dokument. Obecnie Barbara i Krzysztof Polisiowie starają się o uzyskanie oficjalnego zarejestrowania Klubu Częstochowian w Rządzie Ontario w Kanadzie. Czekamy na ten moment. Okazuje się, że chcąc istnieć jako klub, musimy starać się o wiele dokumentów. Zdobywamy pewne doświadczenie działania w tej materii.

W ciągu prawie półtora roku istnienia robimy wiele, by spotkania cieszyły częstochowian i naszych Przyjaciół. Byśmy byli ze sobą i by nas poznano. Planujemy programy, zapraszamy gości, w każdym miesiącu pamiętamy o tym, jakie święta, rocznice znajdują się w kalendarium ważnych wydarzeń. One kształtują nasze wieczory. Bywa, że powstają trochę spontanicznie.

Czy możemy się czymś pochwalić? Oto pierwszy wieczór w kawiarni Centrum Kultury Polskiej. Powstawał nowy klub. Poznawali się częstochowianie. Spotkali się po raz pierwszy. Myślę, że wszyscy wówczas wzruszyli się, gdy po dwóch godzinach pierwszego spotkania, z tekstami w dłoniach, w ciszy, zaczęliśmy czytać fragmenty sztuki Gabrieli Zapolskiej – *Moralność pani Dulskiej*. W ten sposób wzięliśmy udział w Narodowym Czytaniu organizowanym w Polsce! Po roku, też we wrześniu, czytaliśmy *Ballady i romanse* Adama Mickiewicza. Nie opuściliśmy Narodowego Czytania i w 2022 roku! Każdy z nas starał się zrobić to jak najlepiej. Przeżywaliśmy te chwile.

Ukształtowały się pewne nasze tradycje. Początek wieczoru. Wszyscy wstają. Śpiewamy hymny – polski i kanadyjski. Każdy z nas śpiewa piękną pieśń „Czarna Madonna”. Niedawno do stałego repertuaru doszła piosenka Andrzeja Wierusa (tekst i melodia) „Wiwat Polonia!”. Po śpiewie – wspólna modlitwa: suplikacja o pokój. Wieczór dzielimy na części.

Staramy się pamiętać o złożeniu życzeń solenizantom danego miesiąca. Wszyscy śpiewamy urodzinowe i imieninowe „Sto lat”. Myślę, że takie chwile łączą nas. Pamiętamy o wszystkich. Śpiew i życzenia. Wspólna radość.

Każda osoba, która przychodzi do nas po raz pierwszy, podchodzi do mikrofonu i opowiada o sobie, o rodzinie, o przeżyciach. I w ten sposób wiemy o sobie coś więcej. Zastanawiamy się nad tym, czy może nasi rodzice się znali. Bo przecież mówimy o tych samych latach, o ich pracy, o miejscach, o dzielnicach Częstochowy...

Powinniśmy i chcemy zawsze opowiedzieć coś o naszej kochanej Częstochowie, o najpiękniejszej Jasnej Górze. Małe wykłady o historii, o tradycjach, o wydarzeniach, o postaciach, o kościołach, o obiektach, o uczelniach itd. Tematów jest ogrom.

Może bez chronologii wspomnę kilka naszych tematów. Omawialiśmy historię miasta i Jasnej Góry. Na przykład, dlaczego kościół św. Zygmunta i ulice dookoła kościoła należą do najstarszych części Częstochowy. Gdzie był najstarszy cmentarz miasta. Jak powstawały Aleje Najświętszej Maryi Panny. Historia Ratusza i Placu Biegańskiego, Muzeum, Teatru im. Adama Mickiewicza, uczelni...

Wspominaliśmy i czytaliśmy wiersze Haliny Poświatowskiej. Trochę o Politechnice Częstochowskiej. Okazuje się, że w gronie częstochowian jest sporo absolwentów tej uczelni.

O Jasnej Górze można opowiadać też bez końca. Jak powstawał klasztor. Skąd i kiedy przywieziono obraz Madonny Częstochowskiej. Jak Ojciec Kordecki bronił Jasnej Góry przed Szwedami. „Wędrujemy” po klasztorze. Przedstawiamy jej fragmenty, omawiamy. Ostatnio obejrzelśmy film-zdjęcia, na których spojrzeliśmy na miasto i klasztor jeszcze w grudniowym śniegu ostatniej zimy.

Już jako Klub Częstochowian i Sympatyków braliśmy udział w wydarzeniach polonijnych. Między innymi w ubiegłym roku uczestniczyliśmy w paradzie Polaków w Toronto z okazji ustalonego niedawno święta „Maj Miesiącem Dziedzictwa Narodowego w Ontario”. Świętujemy Dni Konstytucji 3 Maja, Dzień Polaków za granicą, Dni Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski. Trudno wymienić wszystkie wydarzenia. Aż nie do wiary, że mamy ich w naszej kronice wiele.

Mamy grono przyjaciół, którzy są z nami. Prowadząca Gdańszczan – Zuzanna Stupak; znana w Kanadzie poetka Wanda Bogusz; Teresa Klimuszko – też znana piosenkarka i aktorka. Śpiewają i grają dla nas Renata i Bolesław Cynarscy. Cieszy nas to, że nie zawodzą nas muzycy i występujące z nimi osoby. Śpiewają częstochowianie – Andrzej Wierus i Jerzy Karwala. Występuje zespół „Polskie Klimaty”. Grają – Jolanta Bieniek na skrzypcach, Teresa Mazurek na akordeonie i Mariola Frąckowiak – skrzypce. Występują: Danuta Omeljonikus, Eugeniusz Klicha, Joasia Pilarska, Roma Rzepka, Ola Wiesierska. Kilka razy wystąpił u nas Jerzy Drotleń, grając na kilkunastu przeciekawych i nieznanym nam instrumentach! Pisząc o nich dodam, że wystąpili w pięknych muzycznych spektaklach, m.in.: „Polskie kolędy”, „W hołdzie Ojczyźnie”, „Polski karnawał” i innych.

Często zapraszamy wiele osób, w tym m.in. w Dniu Narodowego Czytania była z nami Konsul Pani Magdalena Pszczółkowska i nasz opiekun duchowy o. Jan Kobza z kościoła św. Maksymiliana Kolbe. Wspomniałam o Zuzannie Stupak z Klubu Gdańszczan. Bywa pan Marian Kowalski z Klubu Warszawiaków. Słuchaliśmy wykładu dziennikarza i historyka Wojciecha Wojnarowicza.

Wystąpiły u nas dzieci, uczniowie szkoły polskiej w Mississaudze. Recytowały wiersze Adama Mickiewicza. To była piękna recytacja!

Nie mogę zapomnieć o tym, że gościmy się przyniesionymi smacznymi wypiekami klubowiczów. Poczęstunek, kawa, nie tak rzadko okazjonalne torty. Herbata i czasami wino. Tworzy się atmosfera wspólnego śpiewu, wspomnień, zabawy, nie obywa się bez tańców, na przykład w karnawale.

Kończy się wieczór, a po nim myślimy już o następnym. Telefony, ustalanie, rozmowy o tym, kto będzie, a kto wyjeżdża do Polski. Kogo zaprosimy. Co poopowiadamy o naszym mieście...

Informujemy wszystkich o ostatnim spotkaniu. Piszemy też drugi tekst, w którym zapraszamy na kolejny wieczór i przedstawiamy wstępny program.

I tak „rośnie” przyszłość Klubu Częstochowian i Sympatyków w Kanadzie, do którego w drugie środy miesiąca przyjeżdżają osoby z Toronto, z Mississauga, z wielu bliskich miast. A czytają o nas na e-mailu przyjazne nam osoby. Jest to niewielka, ale pamiętająca o nas grupa osób z samej Częstochowy, z Bostonu w Stanach Zjednoczonych. Mamy przyjaciółkę, która mieszka w Australii.

Opowiem jeszcze o okresie letnim. Uczestniczą w naszych spotkaniach dzieci z polskich szkół. Organizowane są dla nich półkolonie pod nazwą „Wakacje po polsku”. Częstochowianom zapewniamy zajęcia na świeżym powietrzu, w małym, zadrzewionym, uroczym Ogrodzie Maryjnym, który jest na tzw. wyciągnięcie ręki od centrum. Letnie spotkania były naprawdę ciekawe. Ognisko i kiełbaski, występy poetycko-muzyczne. Śpiewaliśmy pieśni harcerskie. Z ukłonem dla Powstańców Warszawy – utwory o bohaterach. A słyhać nas było w sporych odległościach od ogrodu!

Serdecznie zapraszamy do nas i czasami zastanawiamy się nad tym, co jeszcze przed nami, czy Klub Częstochowian i Sympatyków wytrwa w czasie, czy uda się nam przyciągnąć młodsze pokolenie... My urodziliśmy się w Częstochowie, w niej dorostaliśmy, ją zawsze mamy w naszych sercach. Czy przyjdą do nas młodzi, którzy zaczęli swoje życie już w innym kraju, którzy mają rodziców, dziadków z miasta nad Wartą? Zobaczymy. Postaramy się o to, by przyciągnąć ich do klubu kochanego miasta i najpiękniejszej Jasnej Góry. Wspominamy o konkursie pisemnym na temat wspomnień z dzieciństwa, z okresu dorastania, z czasu pracy itd. Wszystko pod przewodnim hasłem „Moja Częstochowa!”

To już myśli i tematy do ewentualnego następnego materiału o Klubie Częstochowian i Sympatyków w Kanadzie w Częstochowskim Magazynie Literackim „Galeria”. Redakcji dziękujemy za przyjęcie tekstu i za możliwość pokazania klubu Częstochowian w Kanadzie – częstochowianom w najpiękniejszej zawsze dla nas, kochanej Częstochowie!!!



Maria Milewska (z d. Woszczyzna) – częstochowianka, absolwentka Wydziału Historyczno-Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W latach siedemdziesiątych XX wieku pracowała w redakcji „Życia Częstochowy”, a następnie kilkanaście lat w dziale literackim Teatru im. Adama Mickiewicza. W Kanadzie przez ponad 25 lat uczyła w sobotniej Szkole Polskiej im. Marii Konopnickiej w Toronto. Skończyła dwuletnie wieczorowe studia w George Brown College w Toronto, kier. PSW (pracownik wsparcia osobistego) oraz wieczorowe studia w Centennial College w Toronto-Scarborough – kierunek Activation in the Gerontology (aktywacja w gerontologii). Kolejne kilkanaście lat to praca w „Adult Day Program” (program dla seniorów) w Domu „Copernicus Lodge” w Toronto. Jest redaktorką kanadyjskiego Biuletynu Związku Nauczycielstwa Polskiego „Myśl”, została odznaczona

przez rząd w Ontario medalem „Ontario Volunteer Service Award”. W 2022 roku na XVI Zjeździe Nauczycieli Polonijnych ZNP w Toronto odznaczona została Medalem Komisji Edukacji Narodowej w Polsce dla Nauczycieli Polonijnych.

Tomasz „Aztenty” Barański

Z PRZEWODNIKA TURYSTYCZNEGO

(znów Warszawa)

LUBIĘ TE CHWILE, kiedy wychodzę poza rozsuwane drzwi Dworca Centralnego i słyszę ten wyjątkowy szum, szum wielkiego organizmu miejskiego, który funkcjonuje tak jak żywy organizm. Poddaję się więc chwili fascynacji i czuję się częścią czegoś większego, a następnie, gdy znajdę się już na którejś z głównych ulic, czuję jak rosną mi skrzydła, by unieść mnie ponad pulsujący tłum. Ach! – Ty mój Paryżu, mój New Yorku – Ty moja Jakubowa drabino do duchowej „kariery” – o! – Warszawo ma!

W stolicy znalazłem się służbowo (a jakże!). Wspomnę tylko o tym, że należę do elitarnego (sic!) stowarzyszenia „Mars Society Polska” – elitarnego, gdyż w tym czterdziestomilionowym bez mała kraju jest nas raptem pięćdziesięciu pięciu. Zostałem oddelegowany właśnie w celu uczestnictwa w walnym zebraniu tej organizacji. Samo zebranie jest zgoła imprezą dosyć nudną (niekończące się sprawozdania lub wybór nowych władz itp.). Czasu miałem niewiele (od jedenastej do czternastej), dlatego moja wędrówka po różnych placówkach kulturalnych odbywała się pod znakiem zatykającego pośpiechu.

Najpierw trafiłem do Muzeum Narodowego – nie w celu zwiedzania, a w celu zakupienia katalogu do wystawy sztuki starożytnej i powiem od razu: nie było go! Wyszedł, a na pocieszenie usłyszałem coś o dodruku... Może i dobrze, kupiłem więc książkę o teatrze nowoczesnym (cena ta sama). Później, biegiem oczywiście, przez ulicę Nowy Świat, mijam Bliklego, jest parę dni po tłustym czwartku, więc pomyślałem o pączkach, ale jak zobaczyłem cenę – to popędziłem jeszcze szybciej do przodu. Następnie mamy Zachętę, przechodząc boczkiem placu Piłsudskiego, napotkałem ogrodzony teren, na którym trwają aktualnie prace przy odbudowie Pałacu Saskiego (każdy wie – są to okolice Grobu Nieznanego Żołnierza). Zwykle do Warszawy wybieram się w dzień powszedni, ale tym razem była to sobota i była spora kolejka chętnych do zwiedzania (chodziło zapewne o wystawę prac Stasysa Eidrigevičiusa). I znowuż tylko do muzealnej księgarenki. Od mojej ostatniej wycieczki minął rok, ale udało mi się zakupić rzecz, o którą mi chodziło (poprzednio zabrakło mi oczywiście gotówki) – była tam jeszcze mimo upływu dłuższego czasu. Wypadam znów na labiryntowe hole i korytarze, ogłaszając wszem i wobec, że chcę tylko wyjść. Już jestem na Królewskiej, skręć w lewo i znajduję się pod Kordegardą (ale to już Krakowskie Przedmieście 15/17). Tym razem jednak byłem już gotów zwiedzać, choćby w pędzie, ale wystawa, na której mi zależało (nt. powstania styczniowego) zakończyła się już, niestety. Nie dało rady zakupić też jakichś antydatowanych folderów odnośnie jej właśnie, gdyż cieszyła się dużą popularnością, więc wyszły. Proszę więc o cokolwiek na temat powstania – miła pani oferuje mi tomik poezji wnuczki zesłanego na Syberię powstańca. Po chwili rozterki rezygnuję (może następnym razem – oby...). Wypadam z Kordegardy ku Zamkowi Królewskiemu. Nie wiem, na czym to polega, ale bardzo podoba mi się ta budowla i odczuwam osobistą dumę na jej widok – w końcu była to siedziba królów, którzy w pewnym okresie władali państwem o wielkości terytorium miliona kilometrów kwadratowych. Podziwiam przepych jego wnętrza oraz jego imponującą sylwetę.

Z Zamkiem wiąże się też jego tragiczna historia z okresu II wojny światowej – akurat dwa lata temu obchodzono pięćdziesiątą rocznicę jego odbudowy. W dalszym ciągu z wywieszonym językiem dopadam do głównej bramy... – zamknięta, po zasięgnięciu języka wchodzę wejściem bocznym i ląduję w sklepiku – księgarence (zwiedzanie wszystkiego tego, czego tu jeszcze nie

widziałem, zostawiam na... lato? – pewnie tak). I teraz – mam! Dorwałem to, czego pragnąłem, ostała się ku mej radości publikacja na wspomniany wyżej temat. Fajne panie w obsłudze. Okazało się też, że można było jednak wyjść wejściem głównym – tym razem kuta brama puściła. Kieruję swe kroki (susy) na Świętojańską, tu i ówdzie robiąc zdjęcia telefonem (wcześniej pstryknąłem jeszcze Kopernika, Mickiewicza i Zamek z Kolumną). Jeszcze parę energicznych kroków i osiągam Rynek Starego Miasta, w którego przeciwległym rogu napotykam Muzeum Literatury. I tutaj naprawdę muszę zwolnić, gdyż jak ustaliłem przed wyjazdem, ma tu mieć miejsce wystawa odnośnie wspaniałej postaci Brunona Schulza. Żeby nie wiem co się miało wydarzyć, musiałem tutaj „pozowiedzać”. Wszystko, co mi wiadomo o tej wystawie, przeczytałem w folderze i fragment cytuję:

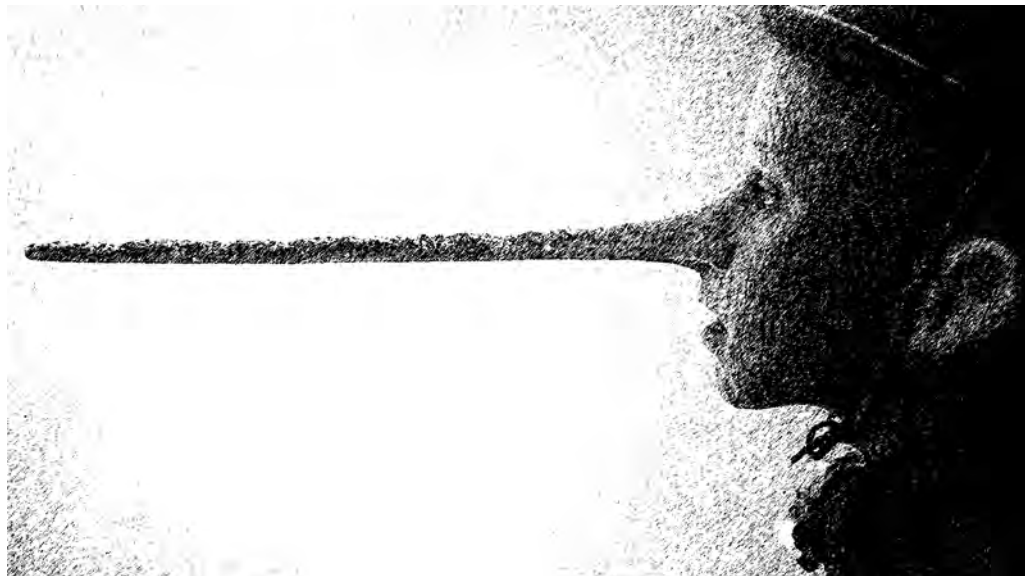
Z dzisiejszej perspektywy duszna, czasami perwersyjna poetyka prac Schulza jest daleka od kontrowersji. Kluczowe dla niego tematy związane z erotyką, masochizmem oraz relacjami płci są również obecne w twórczości polskich artystek i artystów młodego oraz średniego pokolenia, których prace prezentujemy na wystawie. Zagadnienia te, ujęte podobnie niejednoznacznie jak u Schulza, lokują się w szerokim spektrum różnych postaw, typów przedstawień oraz stylizacji. Potencjał współczesnego oddziaływania staje się w rezultacie przeciwwagą dla dotychczasowych prób wpisywania twórczości wizualnej Brunona Schulza w tradycję historii sztuki.

Trochę wytchnienia znalazłem na spotkaniu „marsjańskim”, które bynajmniej nie zakończyło wszystkich możliwych do przeżycia atrakcji, gdyż tak się szczęśliwie złożyło, że na tej samej ulicy (Nowogrodzkiej), na której odbył się zjazd Mars Society, ma swą siedzibę Instytut Cervantesa, a w nim wystawa „Piórem i ołowiem” (Plomo y pluma) meksykańskiego artysty o nazwisku Emiliano Gironella Parra. Wystawa ta zrobiła na mnie ogromne wrażenie, szczególnie dlatego, że w całkiem nowoczesny sposób (technika, kolorystyka, łączenie przeróżnych metod malowania) opowiada o historii Meksyku. Chodzi o czasy konkwisty, a konkretnie (w jednej z części ekspozycji) o postać Montezumy, ostatniego władcy Azteków, postaci kontrowersyjnej (jak czytam w folderze) i dialektycznej. Jego życie, rozdarte między emocjonalnymi i kosmologicznymi sprzecznościami, zakończyła wielka meksykańska tragedia *par excellence*, początkowo o znaczeniu lokalnym, a później globalnym. Emiliano Gironella Parra odnosi się w swej twórczości do spotkania Corteza i Montezumy, które to w rzeczywistości wyznacza moment narodzin nowego państwa, kilka lat później nazwanego Nową Hiszpanią. Hernan Cortez po cichu przejął władzę i sprawował rządy wraz z Montezumą, poznawał zwyczaje Meksykanów, ich sposób myślenia, odczuwania, mówienia, śmiechu, obserwował, analizował i krok po kroku zaczynał rozumieć to, co wydawało się niemożliwe do zrozumienia; w końcu brany był za Meksykanina i osiągnął krótkotrwałe szczęście. Obrazy w bardzo specyficzny sposób, przy użyciu bardzo jaskrawych, typowo meksykańskich kolorów, w technice jakby linorytu (?) przedstawiają motywy azteckich piramid, ogromne pióropusze prekolumbijskich królów, częste są również motywy czaszek. Odnośnie samego artysty: wykształcenie akademickie w zakresie sztuk wizualnych otrzymał w Arts Academy w Michigan (1990-92). Meksykańską tematykę prac z pewnością zawdzięcza rodzicom, również uznanym meksykańskim artystom i narodowemu środowisku artystycznemu, w którym został wychowany. Przede wszystkim interesują go tematy ludowe i popularne, ale także te słynne i literackie, jak byki i walki kogutów. Wydana w 2019 r. książka *Piórem i ołowiem* prezentuje 52 dzieła, które ilustrują spotkanie Corteza z Montezumą wraz z tekstami wybitnych meksykańskich historyków.

Mam nadzieję, że pośpiech i pęd, w jakim odbyła się moja warszawska wycieczka, nie znalazły odbicia w zamieszczonym tekście.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

KŁAMSTWO



Być wolnym – to móc nie kłamać.
(Albert Camus)

STARUSZEK DŻEPPETTO, MAMAŁYGĄ – z racji peruki w kolorze kukurydzy zwany – wystrugał ongi z kawałka drewna zabawnego pajacyka. Przygody niesforne Pinokia, któremu gdy kłamał, rósł długi nos, zna chyba każdy. Pinokio, by mógł stać się grzecznym chłopczykiem, musiał przekonać się, że wstyd być kłamczuchem. Zapamięta, dzięki Wróżce o Błękitnych Włosach, że kłamstwo zawsze łatwo poznać, bo przecież: „Są dwa rodzaje kłamstw – jedne mają krótkie nogi, a inne długie nosy”.

Szkoda, że ta dziecięca mądrość szybko z wiekiem przemija i żyć bez kłamstw przychodzi ludziom z trudnością. „Prawdziwie nie masz (...) szczerości na świecie” – twierdził choćby Adam Naruszewicz. Rozmaite kłamstwa akceptuje się, usprawiedliwia, bowiem: „błędy (...) z człowiekiem zrośnięte są ściśle” – mówił Filint, jeden z bohaterów komedii Moliera *Mizantrop*. Wyrozumiały dla ludzkich słabości Filint wiedział, że wielu nie chce słyszeć prawdy (zwłaszcza na swój temat), tedy zbytnią szczerością lepiej nie przysparzać sobie wrogów. Przekonał się o tym choćby jego przyjaciel Alcest, uparty weredyk, wróg kłamstw grzecznościowych. Sonet Oronta *Nadzieja* bez wahania nazwał kiepskim, cikliwym, zranił tym ambicję drażliwego – jak wielu na własnym punkcie – poety, a jego zapewnienia, że inni chwają, skwitował krótko: „Widocznie są ode mnie bieglejsi w obłudzie”.

W świecie ludzi dominują egoistyczne motywacje, kariera, zyski, przyjemności, stąd po kłamstwa sięgają często, sumienie uciszając stwierdzeniem, że inni czynią podobnie, zatem – jak napisał Ignacy Krasicki w jednej z satyr – „i my tak działajmy, nie lepsi od innych”.

Przyczyny kłamstw bywają różne. Waclaw, bohater komedii Aleksandra Fredry *Zemsta* – gdy wyszło na jaw, że uwodząc ongi Podstolinę, udawał księcia Radosława – stwierdził, że powodowały nim: „Myśli płochę / Szał młodości... chęć pustoty”.

Innym próżność każe dodawać splendoru, przypisując sobie cudze zasługi czy rodowody, podobnie jak bohaterowi jednego z wierszy Waclawa Potockiego:

„Ledwie nie od Noego linią wymienia,
Dowodząc mu wspólnego z sobą pokolenia”.

Papkinowi, innemu z bohaterów *Zemsty*, kłamanie weszło w krew. Wszyscy, podobnie jak Cześnik, uodpornili się na jego łągarstwa – „Waszeć kłamiesz, mocium panie”, ale ów chwali-pięta: „Strzelec boski! rębacz diabli!” – rośnie przynajmniej we własnych oczach, przypisując sobie czyny, których nigdy nie było.

Mijanie się z prawdą wynika też często z potrzeby ukrycia czegoś.

Jan Jakub Rousseau na kartach *Wyznań* przyznał się do kłamstwa, którego dopuścił się w czasie, gdy jako jeszcze zupełny młokos był na służbie w domu pani de Vercellis. Po śmierci chlebobawczynie, korzystając z panującego zamieszania, uległ pokusie i skradł ładną różową wstążkę ze srebrem. Kradzież rychło odkryto, przepytywany Jan Jakub skłamał, własną winą obciążył młodzianką kucharkę Maryjkę. Bał się – jak twierdził – nie tyle kary, ale wstydu, upokorzenia. Wspomnienie krzywdy, jaką wyrządził niewinnej dziewczynie, ciążyło mu przez resztę życia. Po kilkudziesięciu latach napisał w *Wyznaniach*: „zdaje mi się, że mój wstręt do kłamstwa płynie w znacznej części z wyrzutu, iż mogłem się go dopuścić w tak nędznej postaci”.

Mierzył się też Rousseau z kłamstwami innych na swój temat. Ludzie chętnie mówią źle o innych, czasem z zawiści, często z chęci zemsty, a czasem po to, by ukryć własną małość. „Oskarżano mnie – wspominał Jan Jakub – że jestem wyniszczony rozpustą i zgniły od przymiotnej choroby i inne podobne słodycze”. *Wyznania* zatem wyrosły z pragnienia, by nie pozostało o nim w pamięci „godnych ludzi tak niesprawiedliwe mniemanie”.

W rozmaite kłamstewka uwikłał się Tadeusz Soplica. Pełen młodzieńczej fantazji pojawił się w domu stryja po paru latach nieobecności, z góry planując: „że sobie pozwoli / Używać na wsi długo wzbronionej swobody”. Nawiązał rychło romans z Telimeną – w życiu nader łatwo ulega się podobnym pokusom – a gdy fascynacja minęła, zachowywał się podobnie jak wielu innych niewiernych kochanków – wykręty, chęć salwowania się ucieczką. Przyszło jednak wysłuchać gorzkich wymówek Telimeny, pojawił się wstyd i złość... acz nie na siebie:

„Czuł, że wyrządził wielką krzywdę Telimenie,
Że go słusznie skarżyła, mówiło sumienie;
Lecz czuł, że po tych słowach tym mocniej ją zbrzydził”.

Molierowskiego Don Juana Tenorio poznajemy w momencie, gdy cichaczem porzucił świeżo poślubioną Elwirę, którą wcześniej uprowadził z klasztoru. Pragnął już nowej zdobyczy, wszak – jak przekonywał swego sługę Sganarela – „cała rozkosz miłości jest w ciągłej odmianie”. Młodzieniec gotów był zrobić wszystko, by dogodzić swym zachciankom, a w razie kłopotów: „trzeba (...) uciec się do podstępu i przebiegłością ratować się z nieszczęścia”. Ze sposobu tego korzystał nader często, czy to by pozbyć się natrętnych wierzycieli, czy to by w szatach wieśniaka próbować zmylić pogoń braci Elwiry. Zniewagi, krzywdy, które wyrządził innym, zbywał przy pomocy pokrętnych tłumaczeń. Nawet ojciec, Don Ludwik, był o nim jak najgorszego

zdania: „O, jakież ty nikczemny”. Don Juan zaczął tedy, z czystego wyrachowania, udawać przed ojcem, który z różnych względów był mu potrzebny, że chce się poprawić. Były to oczywiście tylko pozory, czego Tenorio nie krył przed Sganarelem: „Nie, nie zmieniłem się wcale”.

Chciał udawać świętobliwego – podobnie obłudne „nawrócenia” znamy i z obecnych czasów – nie bez racji przypuszczając, że może mu to przynieść korzyści. Obłudników wielu, w razie potrzeby swój swego zawsze bronić będzie. „Czemu by nie? – przekonywał swego sługę – Iluż ludzi, tak jak ja chwyta się tego rzemiosła i posługuje się tą samą maską, żeby świat tumanić?”. Brnął tedy nadal w kłamstwach, lekceważył ostrzeżenia przekonany, że jeszcze wiele lat wieść będzie mógł życie, które lubił... Gorzko się pomylił – „Zatwardziałość w grzechach sprowadza śmierć straszliwą” – i taka stała się rychło jego udziałem.

Panie także bywają biegłe w sztuce kłamania, o czym przekonał się bohater innej komedii Moliera, Grzegorz Dyndała, ów nieszczęsny na dudka – nie bez własnej winy – wystrychnięty mąż. Dyndała, bogaty parweniusz z wielkimi ambicjami, został zięciem państwa de Sotenville, tonącej w długach rodziny szlacheckiej. Rychło przekonał się, że: „Osoba za nic się liczy w ich oczach; biorą w stadło tylko nasz worek”.

Aniela poddała się wprawdzie woli rodziców, ale mężem gardziła i nie miała zamiaru przy jego boku marnować młodości. Znalazła zalotnika, młodego szlachcica Klitandra, a nocne schadzki ułatwiała im wierna pokojówka Klaudyna. Grzegorz szykował różne pułapki, by udowodnić rodzicom Anieli, że jest zdradzany, ale to ona była sprytniejsza, zawsze potrafiła się wykpić, tak kłamała, że winy spadały na Grzegorza. Mało dystygowany parweniusz był z góry przegrany, państwo de Sotenville bez wahania wierzyli też kłamstwu Klitandra, bo to przecież szlachcic. Aniela nie chciała tego małżeństwa – „wziąłeś mnie nie troszcząc się o me uczucia” – toteż nie czuje się winna. Dyndała dał za wygraną, mógł tylko sobie westchnąć: „Skoro się jak ja wzięło niegodziwą żonę, najlepsze, co można uczynić, to rzucić się na łeb do wody”.

Wytrawny kłamca zwodzi nie tylko słowami, ale i zachowaniem: „Tak układa postawę, że podściwym zda się” – napisał Ignacy Krasicki. Wizerunek takiego człowieka – jakich wielu wskazać można bez trudu – odnajdziemy w jednym z detektywistycznych opowiadań Edgara Allana Poe’go. Charles Goodfellow z zimną krwią zabił jednego z najzamożniejszych i najbardziej szanowanych mieszkańców Rattleborough, człowieka, z którego życzliwości i gościnności bez skrupułów korzystał. Zabił z chciwości, podejrzania – przy pomocy kłamstw, manipulacji, podrzucania coraz nowych dowodów – kierował w stronę siostrzeńca swojej ofiary. Nie było zbyt trudno przekonać opinię publiczną do takiej wersji, panicz Pennifeather – o czym powszechnie było wiadomo – wiódł w domu wuja próżniaczy żywot. Charles grał rolę szczerze przejętego losiem panicza, którego w rzeczywistości nienawidził, ten bowiem kiedyś go upokorzył. Niecne zabiegi Goodfellowa, wpływanie fałszywymi zeznaniami na przebieg procesu, zdawały się przynosić skutek. Młodzieniec został uznany winnym mordu z premedytacją i skazany na karę śmierci. Charles, pewny już bezkarności, stracił czujność, tymczasem był jednak ktoś, kto powiązał fakty, odkrył oszustwa. Mieszkaniec miasteczka, taki trochę detektyw amator i brzuchomówca, znalazł sposób – nieco makabryczny – by ukarać zbrodniarza i uratować życie niewinnie skazanego. Skrzynia, w której Goodfellow spodziewał się zobaczyć butelki najwyborniejszego chateau margaux, mieściła ciało ofiary. Charles, nim padł trupem – tak mocne sytuacje Poe często pomieszcza w swoich opowiadaniach – usłyszał: „Tys to uczynił”.

Wielu ludzi, podobnie jak Voltaire uważa, że „Kłamstwo jest grzechem, jeśli wyrządza zło, jest wielką cnotą, jeśli czyni dobro”.

Zachodzą czasem okoliczności, kiedy sięgnięcie po kłamstwo zdaje się być jedynym ratunkiem przed śmiertelnymi zagrożeniami. Przykładem mogłyby tu posłużyć powikłane losy

Lwa Nussimbaum – znanego także jako Essad Bej i Kurban Said – które przedstawił w swej książce *Orientalista* Tom Reiss. Kłamstwo – nawet jeśli ma służyć szlachetnej sprawie, zwłaszcza ratowaniu ludzkiego życia – jest jednak zawsze wątpliwe moralnie. Przed takim wyborem stanął choćby Konrad Wallenrod. Bronił sprawy własnego narodu, uciekając się do jedyne go, jak się wydawało sposobu, by pokonać potężnego wroga. Sposób ów wskazał wajdelota: „Tyś niewolnik, jedyna broń niewolników – podstęp”.

Konrad wiedział, jakie brzemię przyjdzie mu dźwigać, wiedział, że nie będzie mógł pozostać wiernym żadnej z cnót, jakich prawy rycerz przysięgał strzec, stąd słowa: „przeklęta godzina, w której od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu”. Skazał się na udrękę, przyszło żyć wśród Krzyżaków, w „krajnie kłamstwa i rozboju”. Wynajdywał powody zwłoki – sumienie wszak trudno uciszyć – bo ratując własny naród, musiał świadomie poprowadzić na pewną zgubę wielu ludzi.

Niektórzy ludzie chętnie mienią się być obrońcami prawdy, najczęściej jednak jedynie własnej, w życiu – jak mawiał Papkin: „Każdy siebie ma na względzie”. Chęć zdobycia i utrzymania władzy często popychała do wykorzystywania – pod pozorami walki o prawdę – nawet najbardziej nikczemnych sposobów. Słabi chętnie dają posłuch kłamstwom silnych. Wystarczy jednych zastraszyć lub otumanić fałszywymi argumentami, innych usunąć, kolejnych przekupić. Inkwizycja, powołana przez IV Sobór Laterański do tępienia herezji, okazała się być najdłużej funkcjonującym oficjalnym organem do walki o prawdę. *Młot na czarownice* – napisany przez Jakuba Sprengera i Henryka Institorisa, a wydany w Kolonii w 1468 roku – dał dodatkową broń sądom kościelnym, potem także świeckim. Długie wieki tedy wymuszano „prawdę” przy użyciu okrutnych metod:

„Palił ławnik z burmistrzem w rynku czarownice – pisał Ignacy Krasicki –
Chcąc jednak pierwiej dociec zupełnej pewności,
Pławił ją na powrozie w stawie podstarości”.

W Polsce dopiero w 1776 roku sejm przyjął ustawę znoszącą karę śmierci i zakazującą dochodzenia torturami zeznań w sprawach o czary.

W polityce zawsze – a ostatnio coraz częściej – akceptowano kłamstwa w walce o sukces. Przekonanie niektórych o własnej wielkości kazało umiejętnie manipulować słabościami innych, brutalnie traktować nawet najbardziej lojalnych współpracowników, przybierać rozmaite maski. To w polityce spotykało się zawsze takich ludzi jak ów bohater jednej z satyr Krasickiego :

„Wojciech, jadem zaprawny, co go wewnątrz mieści,
Zradnie wita, pozdrawia, całuje i pieści,
W oczy ściska, w bok patrzy, a gdy ludzi wdzięcznie,
Ciesz się wewnątrz zdrajca, że oszukał zręcznie.
(...)
Uśmiech jego nieprawy zmyka się po twarzy,
W oczach skra zajadłości błyszczy się i żarzy”.

W rezultacie nietrudno mylić się w ocenach, pozory wziąć za prawdę: „Zły częstokroć – i tu znów odwołam się do Krasickiego – plauz zyska, a z dobrego szydzą”.

Chęć posiadania władzy bywa przemożna, niektórzy gotowi są do każdej podłości, by zdobyć jakiekolwiek stanowisko, wiele razy bywało w dziejach, że:

„(...) jakiś szczywany nędznik, jakiś chytry,
Przymilający się łotr, jakiś lizus
Bez czci i wiary, wymyśli (...) potwarz,
By się dochrapać jakiegoś urzędu”.

Słowa te odnoszą się wprawdzie do Jagona, niechlubnego bohatera dramatu Szekspira, ale podobnych mu łatwo można by wskazać.

Postępowaniem Jagona kierowały wygórowane ambicje, zraniona próżność i chęć zemsty. Pominięty przy mianowaniu na namiestnika – Otello już wcześniej uczynił nim Kassia – myślał jedynie o odwecie, uważał wszak: „Stopień ten słusznie mi się przynależał, / Znam moją wartość”.

Cyniczny wobec kobiet, także wobec własnej żony Emilii, postanowił nieznacznym podszeptem wzbudzić w sercu Otella podejrzenie, że Desdemona nie jest mu wierna:

„(...) opętam mu duszę
Taką zazdrością, że jej nie uleczy
Żadna rozwaga”.

Jago znał słabości ludzkie i umiejętnie wykorzystywał dla swojej sprawy ufne go Kassia, którego znienawidził, i własną żonę, nieświadomą jego niecznych planów. Powoli sączył jad zwątpienia, udając życzliwego tak zręcznie, że Otello wszelkie pozory zdrady zaczął brać za fakt. Jago triumfował, wszak zniszczył cudze szczęście niecną potwarzą: „tak to / Łowi się w matnię łatwowiernych głupców!”. Prawda o postępkach Jagona została wprawdzie wykryta, zbyt późno jednak, śmierć poniosły niewinne osoby.

Bardzo często, niestety, ludzie bezrefleksyjnie przyjmują rozmaite słowa, podszepty, obietnice, zakończę tedy moje wywody myślą Krasickiego:

„O kunszcie krasomówski w skutkach niepojęty,
Kunszcie, co możesz bielić to, co było czarnym”.



Jarosław Kapsa

ZAPOMNIANE...

CO ROBIĆ W SYTUACJI, GDY ZDARZY SIĘ COŚ, co już zdarzyć się nie powinno? „Rządy biurokracji nazywa się rządami ludu; w imię klasy robotniczej zostaje zaatakowana klasa robotnicza; izolację od informacji nazywa się ich udostępnianiem; władczą manipulację publiczną kontrolą, a władczą samowolę dotrzymywaniem prawa; naciski na kulturę jej rozwojem; poszerzanie wpływu imperializmu jest nazywane wsparciem dla ciemieźonych; brak wolności słowa za najwyższą formę demokracji; zakaz niezawisłego myślenia za najbardziej naukową światową opinię; okupację za pomoc braterską”¹ – opisywał w 1978 r. Wacław Havel rzeczywistość krajów nazywanych pieszczotliwie „demoludami”. Zbyt znajomo dla nas – obywateli XXI wieku – ten obraz wygląda, byśmy mogli zaniedbać lektury *Siły bezsilnych*. Wszędzie i wciąż są politycy, przedsiębiorcy żerujący na ludzkiej głupocie, upowszechniający i odwołujący się do irracjonalnych lęków, rozszerzający w nieskończoność swoją władzę nad ludźmi, zmieniający znaczenie podstawowych pojęć.

I

Było tak 28 czerwca 1976 r. Na placu Biegańskiego musiał i zebrał się tłum 100 tys. mieszkańców Częstochowy. Musiał i słuchał gniewnych słów I sekretarza KW PZPR Józefa Grygła, robotnika z Huty im B. Bieruta, prądki z zakładów włókienniczych i rolnika z Kamyka. Słowami ostrymi jak kamień obrzucano radomskich „warchołów”, którzy ośmielili się protestować przeciw decyzjom władzy. Tłum musiał i słuchał, tłum musiał i klaskał. Tłum musiał i aprobował wiernopoddańczy adres przesyłany pod tron I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Tłum wiedział swoje. Bolało, gdy cukier podrożał o 100%, a masło o 70%; bolało, gdy wprowadzono szokujące podwyżki cen podstawowych produktów, „łagodzone” przyznanym dodatkiem 100 zł. Na mleko nie starczy, szeptały młode matki, a w ludziach buzowało jak u tych w Radomiu. Strach nie pozwalał wypowiedzieć tego głośno; pozostało, upokorzonym, słuchać i milczeć.

Milczeć nie zamierzał, a może nie potrafił młody artysta plastyk Aleksander Markowski, zatrudniony od września 1976 r. jako dekorator w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Przygotował i podpisał wspólnie z żoną Alicją petycję do Sejmu. Formalnie miał takie prawo, obywatel PRL „demokratycznie” wybierał „swoich przedstawicieli” do Sejmu, oni go reprezentowali, zatem miał prawo i obowiązek powiadamiania ich o swojej opinii, przysyłając petycje, wnioski itd. W teorii wysyłanie listów do władz nie podlegało cenzurze ani odpowiedzialności karnej z art 131 KK z 1969 r. („kto wprowadza w błąd organ państwowy przez udzielenie fałszywych wiadomości...” itd.). Formalnie rzecz biorąc, obywatel Markowski zrobił to, co mógł zrobić. W petycji obywatel Markowski wnosił o powołanie specjalnej komisji sejmowej, by ta zweryfikowała prawdziwość wieści o brutalnych pobiciach robotników w Radomiu i w Ursusie. Wnosił także o niestosowanie represji wobec udzielających robotnikom pomocy aktywistom KOR. Petycja Markowskiego różniła się jednak zasadniczo od „zaaprobowanego” przez 100 tys. częstochowian adresu do pana Gierka, więc przekazano ją organom Służby Bezpieczeństwa celem dokładnego rozpoznania. Podpisana pod petycją

1 Wacław Havel, *Siła bezsilnych*, Warszawa 1990, s. 63.

żona Alicja, pracowała w Urzędzie Wojewódzkim, w wydziale zajmującym się planowaniem; profilaktycznie, by innych urzędników nie zarażała antysocjalistycznymi wirusami, zwolniono ją z pracy. To samo czekało Aleksandra, choć wobec artystów system był o wiele bardziej liberalny, niż wobec urzędników.

Nazwisko Markowski nie było obce funkcjonariuszom SB, była to rodzina od dawna zakwalifikowana jako „wrogowie ludu”. Z tej rodziny pochodził Florian, poległy w walce z niemieckim okupantem, legendarny „egzekutor” AK. Ojciec Aleksandra, Kazimierz i matka, Alfreda, pracowali jako plastycy w spółdzielni „Ars Christiana”, tam także zatrudniona była siostra Elżbieta; brat Stanisław był studentem UJ w Krakowie. Rodzice zaliczali się do „fanatycznych katolików”, co niedziela widywano ich na mszy św. Siostra Elżbieta, po mężu Hupka, należała także do grona „fanatyków”, działała w duszpasterstwie akademickim, wpisywała się w krąg bliskich znajomych ks. Skubisia. Dopływające z krakowskiej SB informacje o bracie, Stanisławie, też brzmiały niepokojąco: zadawał się z opozycyjnym towarzystwem. Potwierdziło się to w maju 1977 r., gdy po zamordowaniu Pyjasa Stanisław Markowski nie tylko uczestniczył w protestach, ale i zrobił ich fotograficzną dokumentację. W odróżnieniu od siostry i brata, Aleksander nie wydawał się powiązany z opozycyjnymi kręgami. Urodzony w 1942 r., wykształcenie wyższe (ASP Kraków), scenograf, malarz, w latach 1961-1963 uczył plastyki w szkole w Janowie i w SP nr 2 w Częstochowie. Z pracy nauczycielskiej zrezygnował na rzecz teatru; w latach 1969-1971 pracował w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, następnie w Teatrze Dolnośląskim w Jeleniej Górze. SB z Torunia informowała w 1976 r. częstochowską, że zatrudniony jako scenograf do przygotowywanej sztuki, Aleksander Markowski publicznie wypowiada się źle o ustroju. Był charakteryzowany jako odludek i choleryk. We wrześniu 1976 r. nowy dyrektor Tadeusz Bartosik ściągnął i zatrudnił Markowskiego w Teatrze im. A. Mickiewicza.

Ukarać za pisanie petycji nie było można w świetle kodeksu karnego; nie wypadało także w czasach, gdy Gierek chciał uchodzić za liberała. SB dokonawszy rozpoznania uznała, że powinna przeprowadzić rozmowę profilaktyczną, wybić podczas niej z głowy argumentami słownymi opozycyjne pomysły, a przy okazji zorientować się, czy aby Markowski w czynie społecznym jako tajny współpracownik nie zechce umacniać socjalizmu. Rozmowę zdecydowano się przeprowadzić w kawiarni; zdaniem funkcjonariuszy, odnotowanym w aktach, była ona trudna. Aleksander prezentował się jako typ samotnika, izolujący się od wszelkiego towarzystwa; upierał się, że z rodzeństwem też nie utrzymuje bliższych kontaktów. Chętniej niż o opozycji rozmawiał o lokalnym środowisku kulturalnym. Zwracał uwagę na dobre strony pracy częstochowskiego Teatru, chwalił aktorów: Zdzisława Berbeckiego i Martę Zdybicką. Podobnie dobre zdanie wygłaszał o plastykach, zwłaszcza o Jerzym Pogorzelskim, chwalił także Sabinę Lonty. Podkreślał, jak ważny był awans Częstochowy do rangi ośrodka wojewódzkiego, dzięki temu środowiska artystyczne uzyskały samodzielność. Rozmowa z Markowskim prowadzona była w kawiarni, teatralny scenograf swoje wywody przekazywał donośnym głosem, zwracając na siebie uwagę całej sali. Funkcjonariusze SB kilkakrotnie mitygowali go, że w kawiarni, na spotkaniu tak nie wypada. Doszli ostatecznie do wniosku, że w ten sposób Markowski robi sobie z nich żarty i zrezygnowali z dalszych rozmów².

Siostra Aleksandra, Elżbieta Hupka-Markowska, jak wspomnieliśmy była aktywną uczestniczką duszpasterstwa akademickiego. Funkcjonariusze odnotowali, że to z jej inicjatywy ks. Ireneusz Skubiś zaprosił na występy w Częstochowie związaną z KOR aktorkę Halinę Mikołajską. Potwierdzało to intuicję funkcjonariuszy SB, opartą na domniemaniu „od rzemyczka do koniczka”: osoba pochodząca z „wrogiego” środowiska rodzinnego, „fanatycznie” katolicka,

2 IPN 027/180, SOR Nowy.

prędzej czy później przejdzie na pozycje wrogie ustrojowi i – jak zgniłe jabłko – popsuje zdrowy ogół częstochowian. Takowe osoby należy odizolować od otoczenia, uważnie obserwować, a w razie czego „bić po łapkach”.

II

Świat „pięknych dwudziestoletnich” zawsze był i będzie inny niż świat „starych zgorzkniałych”. Piszę o środowisku, od którego się dystansowałem, odgradzony murem uprzedzenia. Piszę o ludziach, od których dziś dzieli mnie jeszcze więcej. „Bunt młodych” kieruje się zawsze przeciw religii panującej, „bunt młodych” podważa „jedyną słusność” oficjalnie wygłaszanych prawd. W latach 70. religią panującą był marksizm, monopol na „jedynie słuszną” rację miała PZPR. Szukając swojego miejsca, „młodzi buntownicy” znajdowali je w Kościele.

Dostojnika partyjnego można było wysłuchiwać i oklaskiwać; ks. Ireneusz Skubiś, o 50 lat młodszy i o 40 kg lżejszy, z każdym uczestnikiem mszy św. witał się i żegnał, z każdym próbował znaleźć wspólny temat. Na zebraniach ZMS, SZSP trzeba było uważać, kto i co mówi. Na spotkaniach duszpasterskich nie było ograniczeń, zasadą była otwarta dyskusja. Gdy ślęcząc nad pożółkłymi papierami w katowickim IPN, czytam meldunki SB, muszę odrzucać dzisiejsze „przed-sądy”, odbudowywać coś zabranego nachalną propagandą obecnej „partii kierowniczej”. Czytam o niegdyś fascynacji i sympatii ks. Skubisia do KOR, o zorganizowaniu spotkań z Haliną Mikołajską, z o. Jackiem Salijem, z ludźmi z warszawskiego KIK. O tworzącej się solidarności młodych z duszpasterstwa akademickiego Krakowa, Warszawy, Lublina, Wrocławia, Gdańska. Młodzi z Częstochowy pielgrzymowali w grupie akademickiej z Warszawy. Kilkoro z nich uczestniczyło w rekolekcjach prowadzonych przez o. Ludwika Wiśniewskiego w klasztorze w Św. Annie pod Przyrowem. Po spotkaniu z o. Salijem nawiązały się kontakty ze środowiskiem łódzkim (Andrzej Czuma), warszawskim (Marian Piłka), a zwłaszcza gdańskim (Maciej Grzywaczewski), tworzącymi „prawicowy” nurt opozycji: Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Ruch Młodej Polski. Najmocniej w to zaangażowało się studenckie małżeństwo Zofia i Adam Dziewiątkowscy oraz Andrzej Lewandowski.

Grzywaczewski był pomysłodawcą śmiałej akcji, w której uczestniczył student Politechniki Częstochowskiej Andrzej Lewandowski. We wrześniu 1976 r. zakupiono we Francji powielacz, który został przewieziony do Czechosłowacji. Odebraniem sprzętu w Czechosłowacji oraz przeniesieniem pod granicę w Tatrach zajmował się Lewandowski wspólnie z Marianem Piłką. Pogoda była kiepska, powielacz został ukryty. Następnego dnia sam Piłka przeszedł kordon, przynosząc sprzęt. W transporcie z Zakopanego do Warszawy pomogli Zofia i Adam Dziewiątkowscy. Dobra organizacja, a także „uszczelnienie” informacyjne spowodowały, że „wszechobecna” SB o całej sprawie dowiedziała się od informatorów kilka miesięcy po fackie.

III

Andrzej Lewandowski był na tle środowiska młodzieżowego indywidualnością nietypową.

Zamknięty w sobie, małomówny, ostrożny wobec nowych kontaktów i znajomości. W pamięci Zofii Dziewiątkowskiej zachował się jego obraz jako idealisty, tak sobie wyobrażała podchorążych z AK, gotowych do największych poświęceń w imię wyznawanych wartości. Duży wpływ na Andrzeja miało rodzinne wychowanie. Rodzice jego byli w separacji, choć z ojcem utrzymywał kontakty, to ciężar wychowania spadł na matkę Jadwigę. Była ona postacią wyjątkową, charakteryzowaną przez SB jako „fanatyczna katoliczka”. Córka przedwojennego rzemieślnika, introligatora, po jego śmierci w czasie okupacji wraz z siostrą Agnieszką Bieda-Fabiańską, mimo ustrojowych obostrzeń, kontynuowała tradycję prywatnej

przedsiębiorczości. Zajmowała się handlem dewocjonaliami, rzecz – w teorii – typowo częstochowska, ale w warunkach PRL trudna. Starszy brat Andrzeja Lewandowskiego od 1974 r. mieszkał w Stanach Zjednoczonych, brat matki od czasów wojny był w Wielkiej Brytanii.

Andrzej od szkoły średniej, a był absolwentem LO im. H. Sienkiewicza, aktywnie działał w duszpasterstwie akademickim. Na studiach bliższe kontakty utrzymywał jedynie z kolegami z duszpasterstwa: Adamem Schabem, Stanisławem Łabędowiczem, Adamem Dziewiątkowskim, Grzegorzem Stawarskim. Zaręczony był z Marią M. i wraz z miłością swojego życia zdecydował się na wyjazd do USA; oboje w Polsce nie widzieli dla siebie szans. Maria uzyskała paszport, wyjechała legalnie i zastała za granicą; Andrzejowi paszportu odmówili. Wtedy przyszedł mu do głowy szalony plan ucieczki przez „zieloną granicę”. We wrześniu 1976 r., wkrótce po „akcji powielaczowej”, wyjechał do Bułgarii. Tam podjechał pociągiem w pobliże granicy tureckiej i nocą, przez góry, próbował dostać się na drugą stronę. Nie znał terenu, nie znał miejscowych, został zatrzymany przez bułgarską Straż Graniczną. Po zatrzymaniu 20 września pobito go, trafił do celi z kryminalistami. W czasie śledztwa 66 dni siedział w izolatce, dostając głodowe porcje jedzenia. Kolejny miesiąc celę dzielił z kryminalistą romskiego pochodzenia, ten systematycznie go bił. 13 grudnia 1976 r. sąd skazał go na karę 3 lat więzienia i 500 lewa grzywny, w styczniu 1977 r. wyrok został utrzymany w rozprawie apelacyjnej, podwyższono grzywnę do 1 000 lewa. W lutym Lewandowski wysłał list do polskiego ambasadora, prosząc o interwencję, by karę mógł odbyć w polskim więzieniu. Z pismami i prośbami do władz występowała także matka Jadwiga, odwiedziła Andrzeja w więzieniu w Sofii w sierpniu 1977 r. Specjalnie z USA przyleciał na widzenie brat.

Andrzeja Lewandowskiego zwolniono 2 marca 1978 r. na mocy amnestii wydanej przez władze bułgarskie. Po jego przybyciu do domu, koleżeństwo z duszpasterstwa zorganizowało uroczystość powitalną, wraz z mszą św. odprawioną przez ks. Skubisia. 14 marca Andrzej wystąpił o przywrócenie praw studenckich, powoływał się na dobre oceny i członkostwo w SZSP; prośba została załatwiona negatywnie. Narzeczona, Maria M. wyszła w Nowym Jorku za mąż, podłamało to Lewandowskiego. Zaprzestał działalności w duszpasterstwie, wytrwale ponawiał starania o paszport, próbował podejmować różne prace. Organa władzy nie zapomniały: zaczęło go ścigać wojsko; SB przeprowadziła rewizję w jego domu, szukając sprawców wysadzeniem pomnika Lenina w Nowej Hucie, objęto go obserwacją podczas wizyty Jana Pawła II. W 1979 r. zauważono powrót do kościoła; Andrzej miał już nową narzeczoną, Ewę G. z Radomska. Zdaniem SB brak było śladów angażowania się w działania opozycyjne³. Po utworzeniu w 1980 r. NZS Politechniki Częstochowskiej upomnieli się o Andrzeja kolegdy. Przywrócono go na uczelnię; działał w NZS, wybrano go przewodniczącym uczelnianej organizacji. Zajmował się przywożeniem i sprzedażą książek „z drugiego obiegu”, dzięki kontaktom „przedsierpniowym” miał najlepiej zaopatrzoną księgarenkę w mieście. Internowany w stanie wojennym, siedział do końca czerwca 1982 r. Po zwolnieniu wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

IV

Andrzej Lewandowski dokonał świadomego wyboru politycznego, był przygotowany, by płacić za swoje marzenie o wolności. Absurd tamtych czasów – a miejmy nadzieję, że nie naszych czasów – powodował, że nawet niewinna apolityczna inicjatywa traktowana była jak wrogi spisek. Tak było z grupą studentów I roku Wydziału Budownictwa Maszyn Politechniki Częstochowskiej, mieszkających w Domu Studenckim nr 7. Chłopcy mieszkający w jednym pokoju akademika, uczestnicy duszpasterstwa, zawiązali nieformalną grupę o nazwie Towarzystwo

3 IPN Ka 027/322, SOR Pływak.

Miłośników Muzyki, Kultury i Sztuki. Towarzystwo tworzyli Waldemar Hojka, Zygmunt Zybala z okolic Tarnobrzega, Jan Patocki z Działoszyna, Roman Głowacki z Chlewisk. Zwrócili się do władz DS nr 7 o przydzielenie pomieszczenia i legalizację stowarzyszenia. Dostali odmowę; zdaniem informatora TW „Wodnik” kontynuowali działalność, spotykając się na mieście i nosząc znaczki: biały krzyż na żółtym tle. Z inspiracji SB i KU PZPR władze wydziałowe przeprowadziły z chłopcami rozmowy profilaktyczne. Hojka został usunięty z Politechniki i skierowany do wojska. Pozostałych rozbito, przeniesiono do różnych pokoi w DS 7, oddano pod nadzór aktywistów z SZSP⁴.

W 1977 r. zaprzyjaźnione pary małżeńskie, aktywne w pracy duszpasterstwa, zainicjowały tworzenie grupy wzajemnego wsparcia. Dotyczyło to spraw podstawowych: częstych spotkań, wymiany doświadczeń z budowania rodziny, wzajemnej opieki nad dziećmi, wspólnego przezwycięzania podstawowych problemów dotyczących rodzin. Do tej grupy należeli: Andrzej Kotowicz, student IV roku Wydziału Elektrycznego, Halina Lasok, studentka tego samego wydziału, Edward Kozik, absolwent Politechniki, pracownik Metalplastu, Maria Krysińska, studentka WSP, Adam i Zofia Dziewiątkowscy, studenci Wydziału Metalurgicznego. Zdaniem informatora TW „Rezystor”, przywódcą grupy był Marek Zalewski, absolwent Politechniki, pracownik BIPRORUD. „Rezystor” za najbardziej aktywnych uznawał małżeństwo Dziewiątkowskich i Kotowiczów (Andrzej i Halina z domu Lasok); mieli oni krytykować PZPR, a dodatkowo Zofia Dziewiątkowska agitowała za udzielaniem noclegów pielgrzymom. „Rezystor” donosił z zawiścią o wsparciu udzielanym przez ks. Skubisia, gościł on chętnie na spotkaniach, „załatwiał” pomoc dla nowo narodzonych dzieci, wspierał zarówno duchowo, jak i materialnie⁵.

Ani młodzi chłopcy z DS 7, ani studenckie pary tworzące grupkę wzajemnego wsparcia, nie stanowili żadnego zagrożenia dla panującej partii, kasty i elity. Na Politechnice studiowało ok. 3 tys. młodych ludzi, w duszpasterstwie akademickim uczestniczyło 100-150 osób. Odwaga czynu wyrażała się przemytem powielacza, a nie karabinów AK-47; kolportażem potajemnie drukowanych wierszy Miłosza, a nie wezwań do powstania zbrojnego. Taka jest, niestety, natura dyktatury, że – prędzej lub później – popadnie w paranoję, widząc w każdym objawie niezależności tajemniczą rękę piszącą podczas uczty Baltazara słowa na ścianie: *mane, tekel, fares*⁶.

Możemy się różnić, możemy z niechęcią odrzucać głoszone poglądy, wytykać kłamstwa, „prywatę”, zamianę ideałów na ciepłą posadkę. Ale nie możemy nie pamiętać tych doświadczeń, które nas kształtowały. Musimy szanować pamięć i pamiętać o szacunku dla ludzi, którzy wtedy dawali nam wzór cywilnej odwagi. Musimy umieć powiedzieć, czasem wbrew własnemu przekonaniu: nieważne, w co Ty wierzysz, ważne, byś miał prawo wierzyć w to, co chcesz...

Dziękuję pracownikom archiwum Oddziału IPN w Katowicach za pomoc i udostępnienie materiałów.

4 IPN Ka 027/271, SOR Klan.

5 IPN Ka 027/235, SOR Niewinni.

6 hebr., według przekazu biblijnego przepowiednia napisana tajemniczą ręką, która pojawić się miała na ścianie pałacu babilońskiego władcy Baltazara podczas wydanej przez niego uczty; oznaczać miało: policzone, zważone, rozdzielone.

Elżbieta Jolanta Gola

WYSTAWA TAMARY ŁEMPICKIEJ

JEŚLI OBRAZY I KLIMAT JAKIEJS WYSTAWY są odpowiednikiem twojego nastroju, to wyniesiesz z niej niezapomniane wrażenia. Skojarzenia, domysły, podobieństwa sytuacji i uwiecznione na obrazach relacje międzyludzkie zapadają w pamięć. Obraz i słowo – tematy dopełnione zwiążą treścią wywołują asocjacje, kodują się w neuronach naszego mózgu.

Jej umiejętność stylizowania własnej osoby możemy podziwiać w efektach sesji fotograficznych słynnych fotografów. Tamarę Łempicką okrzyknięto Gretą Garbo XX wieku. Obycie ze światem mody oraz doświadczenia kilkunastolatki zdobyte podczas wielomiesięcznej podróży z babcią Klementyną Deklerową procentują. Są bazą do tworzenia własnego spojrzenia, a w nim najważniejszy jest kolor i światło, a właściwie świetlistość. Jej styl oscyluje między formami kubistycznymi, dając efekt zmysłowości. To efekt corocznych podróży do Włoch i kształcenia umiejętności podczas studiów.

Artystka nikogo nie kopiuje, tworzy własny, niepowtarzalny styl, który jest jak odcisk linii papilarnych. Modeli znajduje nawet w Łasku Bulońskim,

wyczuwa w nich wrodzoną elegancję i jak sama pisze: „Malowałam królów i prostytutki. Nie maluję ludzi, ponieważ są sławni. Maluję tych, którzy mnie inspirują, wprawiają mnie w odpowiednie wibracje”^{*}.

Była ulubioną artystką najbogatszych, a o popularności świadczy zainteresowanie jej pracami takich gwiazd jak: Jack Nicholson, Barbra Streisand czy Madonna. Swoje najważniejsze dzieła namalowała w czasie XX wieku. Interesujący jest fakt, że mężczyzna, który był pierwowzorem rzeźby Augusta Rodina „Pocałunek”, po latach pozował artystce do portretu „Starzec z mandoliną”.

„Niedokończony mężczyzna” to szczególny portret prezentowany w Muzeum Narodowym Krakowa. Portret namalowany przez jego żonę, Tamarę Łempicką. Smutek sączy się z głębi jego oczu, przygina całą postać. Szykowność całej postaci i ubioru zakłóca niedokończony



rysunek lewej dłoni. Artystka w swoim bogatym życiorysie doświadczała wznoszeń i upadków. Ten niedokończony portret daje do myślenia, choć mężczyzna wydaje się być prawie idealny...

Obrazy Tamary Łempickiej wzbudzały sensację i królowały na wernisażach, zawsze na centralnym miejscu. Dzisiaj również budzą wielkie zainteresowanie i zdobywają nabywców. Sposób ich prezentowania na krakowskiej wystawie, muzyka, zaaranżowane zakątki z postacią artystki upozowanej na tle ówczesnych dekoracji dopełniają całość, tworząc klimat tamtego czasu.

Wystawa krąży po Polsce. Od 9 września 2022 r. do 12 marca 2023 roku można oglądać prace tej „wysublimowanej, modnej i bogatej”*, a zarazem niezwyklej artystki w Muzeum Narodowym w Krakowie.

* Cytaty pochodzą z książek Laury Claridge *Sztuka i skandal* oraz *Między art deco a dekadencją*.

28 STYCZNIA 2023 R.

Barbara Strzelbicka

KSIĄŻKOWANIE PO NOWEMU

KOLEJNA ODSŁONA „KSIĄŻKOWANIA” służącego sprzedaży i wymianie książek oraz promocji czytelnictwa, miała miejsce w nowych dekoracjach 19 lutego. Poprzednie edycje odbywały się w holu Klubu „Politechnik”, skąd impreza została przeniesiona do Biblioteki Politechniki Częstochowskiej i objęta patronatem JM Rektora Norberta Szczygiola. Czas pozostał ten sam: niedziela, godz. 10-13.

Pierwsze spotkanie w nowym *entourage'u* wzbudziło spore zainteresowanie, w tym także młodzieży, która głównie oglądała książki i inne wydawnictwa. Promocją wydarzenia zajęli się pracownicy Biblioteki, obecni podczas „książkowania”. W materiałach informacyjnych podkreślono znaczenie integracji lokalnej społeczności ze środowiskiem akademickim Politechniki. Wśród oferowanych znalazły się wydawnictwa Ośrodka Informacji Patentowej i Politechniki Częstochowskiej. Oczywiście nie zabrakło bogatej i różnorodnej oferty Księgarni – Antykwarni „Niezależna” Zbigniewa Biernackiego oraz stoiska Towarzystwa Galeria Literacka, oferującej Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” oraz książki wydane w serii Biblioteka Galerii.



Barbara Strzelbicka

MISTRZOWSKA FOTOGRAFIA



BOHATEREM SPOTKANIA W RAMACH WARSZTATÓW „Fotografuj z nami!”, które w Klubie CSM „Nasza Praca” prowadzi Marcin Szpąderski, był Piotr Dłubak, specjalizujący się w fotografii portretowej i teatralnej, związany od wielu lat z Teatrem im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Pretekstem do spotkania był album „Mgnienie”, wydany w 2021 r. przez Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych z siedzibą w Konduktorowni z okazji jubileuszu 30-lecia pracy Artysty, zawierający portrety ludzi kultury związanych z Częstochową (o czym pisaliśmy w „Galerii” nr 59 i 60).

Obydwa wątki – portretowy i teatralny – w sposób naturalny, a przez to doskonały, połączyły się dzięki obecności na spotkaniu portretowanych aktorek: Teresy Dzielskiej, Sylwii Oksiuły-Warmus i Agnieszki Łopackiej, wspomnieniami i anegdotami ubarwiających pokaz fotografii. Ich autor pozostał głównym bohaterem rozmowy, opowiadając o okolicznościach powstania zdjęć, o szczegółach technicznych, o relacjach z ludźmi teatru. Wiele wizerunków dzięki temu zyskało swoją opowieść, snutą w niezwykle przyjaznej atmosferze. Oczywiście stał się wniosek, że aby być fotografem teatralnym, trzeba dysponować nie tylko talentem, ale także wrażliwością i wyczuciem, które pozwolą na zaakceptowanie przez tak wymagające środowisko, jakim jest zespół teatralny. Przypomniano także, iż Piotr Dłubak bywa twórcą plakatów teatralnych.

Ze względu na obecność pasjonatów fotografii pojawiły się wspomnienia związane z częstochowskim środowiskiem fotograficznym, nostalgicznie wspomniano mistrzów, którzy pomagali w zdobywaniu doświadczenia i znajdowaniu własnej drogi. Zauważalne było, że dla wielu adeptów fotografii mistrzem stał się teraz Piotr Dłubak.



Barbara Strzelbicka

GŁOSY KOBIET



„GŁOSY ZAJMUJĄ MIEJSCA” to niezwykły spektakl, przedstawiony 25 lutego w Domu Poezji – Muzeum Haliny

Poświatowskiej. Jego autorką jest Anna Jurgielewicz, młoda częstochowianka, absolwentka Wydziału Wzornictwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, która zawodowo doskonaliła się w Hiszpanii, ma już na koncie sukcesy w projektowaniu. Zajmuje się także badaniem umiejętności słuchania w aspekcie komunikacji międzyludzkiej. W 2022 r. uzyskała stypendium Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie sztuk plastycznych, przyznane na realizację słuchowisk w miejscach publicznych. Jedną z owych realizacji był spektakl w Domu Poezji, będącym dawniej domem rodzinnym częstochowskiej poetki.

Do performance’u zostały zaproszone częstochowskie pisarki związane z nurtem feministycznym, bowiem tematem słuchowiska były problemy związane z dorastaniem oraz odczuwanie kobiecości. I tak: Katarzyna Zwolska-Plusa czytała fragmenty swojej powieści *Prząśniczki. Opowieści rodowe*, Sylwia Góra – fragmenty książki reportażowej *Kobiety, których nie ma. Bezdomność kobiet w Polsce*, a fragmenty powieści Wioletty Grzegorzewskiej *Guguley* czytała aktorka Agata Ochota-Hutyra. Repertuar został wzbogacony o kilka utworów Haliny Poświatowskiej w interpretacji wykonawczynie przedstawionej jako Maria: wiersze *rzecz najmniejsza*, ****(moje ciało jest jak bezpański pies...)* i prozę poetycką *Jak sporządzić mumię byka*.

Czytanie odbywało się na zaimprovizowanej na podłodze scenie, na której znalazła się lampa oświetlająca uczestniczki, wokół niej rozrzucone były pełniące różne role poduszki. Panowała atmosfera skupienia, pozwalająca na wybrzmienie zawartych w tekstach emocji, podanych łagodnie, bez epatowania słuchaczy – za pośrednictwem słów.

Barbara Strzelbicka

WIERSZOWANIE PRZY KAWIE

W DNIU PISARZA, obchodzonym 3 marca, w OPK „Gaude Mater” Artur Gielezy, związany z Klubem Literackim „Złota Jesień”, Kołem Literackim Anafora i z Towarzystwem Galeria Literacka promował czwarty tomik swoich wierszy, zatytułowany *Rozmyślanie przy kawie*. Książka skomponowana została z wierszy w języku polskim oraz z ich przekładów na język angielski, niemiecki, rosyjski i ukraiński, uzupełniona o fotografie. Rozmowę z autorem prowadziła Aneta Podsiadlik, pytając



o ulubione lektury, o źródła inspiracji, o dotychczasowy dorobek i o plany na przyszłość. Znany z krótkich utworów autor, również krótko i zwięźle odpowiadał na pytania, zadawane także przez gości. Na spotkaniu obecna była Małgorzata Rabęda, tłumaczka wierszy na język niemiecki, która przyznała, że praca nad przekładem nie była trudna. Wybór tekstów zawartych w tomie zaprezentowała Sylwia Oksiuta-Warmus, aktorka Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie podczas minispektaklu. Nazwała czytane teksty „gielezykami”, co przypadło do gustu zarówno autorowi, jak i obecnym na spotkaniu gościom. Usłyszeliśmy także jeden wiersz w autorskim wykonaniu. Z krótkim recitalem wystąpiła Barbara Anna Wierzbicka, pianistka i wokalistka, wykonując własne kompozycje, w tym jedną do słów Artura Gielezego. Autor, z zawodu inżynier, zamierza rozwijać swoją poetycką pasję, ale także chce się poświęcić – po amatorsku, rzecz jasna – swojej wielkiej miłości, teatrowi. Spotkania promujące tom zaplanowane zostały także w Kłomnicach (18 marca) i w Kłobucku (14 kwietnia).

Tomasz „Aztenty” Barański

KOBIECY PORTRET

POSTAĆ WSZECHSTRONNIE UTALENTOWANEJ artystki Altei Leszczyńskiej jest w naszym mieście dobrze znana (członkini m.in. Związku Polskich Artystów Plastyków, Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej, a także brytyjskiego The Royal Photographic Society, Photographic Society of America i Fotoklubu Jurajskiego), dlatego gdy ma miejsce wernisaż nowej wystawy tej plastyczki i fotograficzki, urodzonej w Katowicach, a mieszkającej i tworzącej obecnie w Blachowni, jest to duże i oczekiwane wydarzenie. Wystawy, jakie prezentuje, są efektem uprawiania przez nią fotografii, malarstwa olejnego, grafiki warsztatowej, a także performance’u i video. Jest także autorką dwóch powieści: *Podwójna miara* (2009) i *Brat* (2010). Artystka znana jest w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Wrocławiu, Poznaniu i innych miastach.

Ale do rzeczy. Jest początek marca, a więc (Międzynarodowy) Dzień Kobiet i w tym klimacie w Regionalnym Ośrodku Kultury w Częstochowie 6 marca b.r. odbył się wernisaż wystawy Altei Leszczyńskiej pt. „Laleczki”. Będąc zaprzyjaźnionym z Artystką, mogłem liczyć na ekskluzywne oprowadzenie mnie po wystawie. Na moje oczywiste pytanie, skąd taki tytuł, Artystka odparła, że głównym tematem są modelki, ucharakteryzowane w studiu na porcelanowe lalki – ich twarze wydają się nieruchome, skóra woskowa, a oczy szklane. Część fotografii zatytułowana jest „Królewna Śnieżka”, inna – „Tabu” – zawiera lalki z horroru, kolejna – „White wedding” (Biały ślub) – opowiada o pannie młodej ubranej w białą suknię, a „Kobieta w kąpeli” jest opowieścią o kobiecie spełnionej. Uzupełnieniem były zdjęcia wykonane we młynie w Rogoźniku, gdzie artystka znalazła, jak sama powiedziała, wyjątkowe, tajemnicze światło.



Dokonując otwarcia wystawy, dyrektorka ROK-u podkreśliła, że jest to wszechstronne i pełne przedstawienie kobiecości. Głos zabrał także Sławomir Jodłowski, kierujący galerią „Fotopodbudka”, mówiąc, iż jest to dobry obraz, bo pokazuje różne oblicza i wielkie możliwości kobiety.

Ekspozycja została uzupełniona o pokaz slajdów oraz o opowieść autorki prac, która wspominała, jak zaczęło się jej zainteresowanie fotografią. Stało się to dzięki dziadkowi, pochodzącemu z okolic Lwowa i parającym się tradycyjną, rzecz jasna, fotografią, a proces jej powstawania obserwowała mała Altea, co zapamiętała jako bajkę. Ilustracją tej opowieści był pokaz starych rodzinnych fotografii. Artystka podkreślała oczywistą cechę swoich fotografii, a mianowicie ich malarskość, co łatwo zauważyć, gdyż wizerunki są niezwykle sugestywne, niektóre przerażające, wręcz apokaliptyczne. Źródłem inspiracji jest dla Altei Leszczyńskiej popkultura, a prace podporządkowuje własnej artystycznej wizji, pozostawiając szerokie pole dla indywidualnej interpretacji widzów.

Gratulujemy Artystce, która jest członkinią Towarzystwa Galeria Literacka!

Artur Gielezy

JURAJSKA POEZJA



25 MARCA W SIEDZIBIE GMINNEJ BIBLIOTEKI Publicznej w Olsztynie odbyło się zorganizowane pod patronatem Biblioteki spotkanie „Poezja łączy”. Wydarzenie rozpoczęło się wystąpieniem Dyrektora Biblioteki Anny Nocuń, która przywitała gości i przedstawiła kluby poetyckie: Jurajski Klub Literacki Jura-Wers oraz Janowski Klub Literacki, znany ze spotkań z cyklu Jurajska Jesień Poetycka.

Janowski Klub Literacki reprezentowali: Ireneusz Bartkowiak, Joanna Krzyżańska, Marek Monikowski, Ryszard Sidorkiewicz, Ewa Szczygieł i Grażyna Ziętek, natomiast Klub z Olsztyna: Daniela Dziągłewska, Anna Jędryka, Emilia Kawecka, Łucja Szota i Ryszard Sidorkiewicz, członek obydwu klubów. Uczestnicy zaprezentowali swoją twórczość, przedstawiono również wiersze Anny Grzanki i nieżyjącego Jerzego Tawłowicza.

Oprawę muzyczną spotkania zapewnił zespół w składzie: Monika i Kamil Cisowscy oraz Mikołaj Borkowski, który wystąpił z repertuarem piosenek z poetyckimi tekstami. Uroczystość zakończyła się podziękowaniem wygłoszonym przez Panią Dyrektora Gminnej Biblioteki Publicznej członkom klubów literackich oraz licznie przybyłym na poetycką biesiadę gościom.

W KRĘGU GALERII. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2022, wydano w serii „Biblioteka Galerii”.

Zbiór opowiadań autorek i autorów związanych z „Galerią”. Składa się z tekstów wznowionych (Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Wiesława Owczarek, Małgorzata Franc, Ida Jadwiga Łubińska, Elżbieta Jolanta Gola, Andrzej Piechocki, Bogdan Knop) i nowych (Jakub Bartoński, Jacek Szczerbak, Krzysztof Prokop, Maciej Rudlicki, Agnieszka Oknińska, Rafał Socha, Tomasz „Aztenty” Barański, Paulina Wysocka-Morawiec). Książka została dofinansowana ze środków Miasta Częstochowy. [BS]



ROMAN MAŁYNOWSKI, *Słodkie życie*, przeł. Bohdan Zadura, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2023, wydano w serii „słowa/granice”.

13 opowiadań ukraińskiego prozaika, eseisty i wydawcy (rocznik 1985) w przekładzie Bohdana Zadury, zredagowanych i opatrzonych posłowiem Olgi A. Wiewiory. Oryginalna wersja opowiadań ukazała się w wydawnictwie „Meridian Czernowitz” i została wpisana przez ukraiński PEN Club na listę najlepszych książek 2021 r. Sylwetka pisarza wraz z opowiadaniem *Bankiet* była prezentowana w „Galerii” 61. [BS]



ARTUR GIELEZY, *Rozmyślanie przy kawie*, Częstochowa 2023.

Czwarty tomik wierszy autora, tym razem wzbogacony o przekłady na język angielski (Dorota Jaworska), niemiecki (Małgorzata Rabęda), ukraiński (Oksana Danyliuk) i rosyjski (Lana Strelbitska i Maria Szymańska) oraz o autorskie fotografie. Słowem wstępnym tomik poprzedziła Magdalena Kozłowska, która podkreśliła filozoficzny wymiar utworów autora znanego dotąd z wierszy o miłości. [BS]





Jan Ciesielski

NASZA SKRZECZYWISTOŚĆ

Po ulicach chodzą ludzie,
Po chodnikach jeżdżą auta,
Pies już nie śpi w swojej budzie,
Człowiek dla człowieka – małpa.

Ref.: Spontaniczność kierowana,
Spontaniczność wtórna,
Spontaniczność nakazana,
Spontaniczność bzdurna.

Słowa nie są już ostoją,
Dzień wronami wstaje z rana,
W mediach karmią paranoją,
Rzeczywistość zamazana.

Gęby znane już dogłębnie
Złote myśli posrebrzają,
Ktoś ma zdanie wciąż odrębne,
Ciężko ranne zorze wstają.

Krytyk jest w krytycznym stanie,
Muzyk gra o życie w totka,
Prawda jest na drugim planie,
Góra z dołem się nie spotka.

Brak wciąż światła na oświatę,
Na cel zbożny – dziadowanie,
Teatr ledwo trzyma rampę,
Filharmonie – dotowane.

Znawcy kraczą przez rok cały,
W każdym kącie jakieś piski,
Na Giewoncie śmieci zwały,
Zadeptano szafran spiski.

Wodne ciekiby ścieki,
Gdzie wychodek, często smrodek,
Rodak w Świecie wciąż kaleki,
Ktoś nam mąci mętą wodę.

Wciąż ci sami bój zażarty
Toczą, grając w zgrane karty,
Wysyłkowa sprzedaż bublei,
Zamiast orłów – stada wróblei.

Morał musi być moralny,
Prawda być nie może naga!
W krąg bezsensu niezatapialny
Oraz w głupocie – powaga!



GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa,
Anna Jędryka, Maciej Rudlicki.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD:

J.M. Krasucki, Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

DRUK:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:



Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Sylwia Oksiuta-Warmus, foto: Piotr Dłubak

mała **GALERIA**



Sylvia Oksiuta-Warmus, foto: Piotr Dłubak